Marzec — 1860.

KOŚCIUSZKO W BERVILLE.

OBRAZEK CZĘSTOCHOWSKI

PRZEZ

KAZIMIERZA RADECKIEGO.

Fortunny to komu szczęście z Niebieskiego grodu
Z łaski dano, co jest ku czci sprawion Panu Bogu

Żywot człowieka poczciwego przez *Mikołaja Reja z Nagłowic.*

I.

Któż z was nie słyszał o Fontainebleau? — o tem miejscu smutnego pożegnania; gdzie, kiedy Wola Najwyższa odjęła wielkiemu mężowi nadal moc do świetnych czynów jego, — on sam i jego żołnierze, żegnając się rzewnemi uściski, jak dzieci płakali: spoglądając na orły swoje i na chorągwie, których szczęty po całéj Europie rozsiane, na drogie te pamiątki przebrzmiałéj swéj chwały, — zalewali się łzami bez nadziei; a potem cały ten orszak żałobny rozszedł się do rodzinnych zagród niby do grobów, — a ich wódz najmilszy tak przez nich czczony, oddał się w ręce cudze, aby pokutować i orli swój lot uwięzić na skale płukanéj

morzem niezmiernem; aby codziennie paść oczy tęskniące za swymi kipiącą burzą, a brać do serca ostatni hart, na którym mu zbywało wśród bojów i uwielbień świata, — hart pokory, co jeden ustala na drodze do Nieba.

Miasto samo niewielkie, nad dziesięć tysięcy mieszkańców nieliczące, leży w dolinie okolonéj ze wszech stron lasem na dwie lub trzy mile głębokim. Knieja ta zasłana jest wzgórzami wielkich kamiennych mas obrosłych rzęsistemi wrzosy, nad których wonną podścielą rozpościerają się bujne krzewy, sosny lub kilkowiekowe dęby. Olbrzymie głazy ubierające wzgórza, wydają się jakoby potwory morskie odziane łuską, lub też olbrzymy pokotem we zbrojach leżące; a cały ten ogrom różnopotwornych skał, wydaje się być więzieniem jakichsiś zuchwałych duchów, którym tu długa naznaczona pokuta, za to, że każdy z nich chciał światem rządzić, nadymając się swą pychą, i wbrew woli Bożéj usiłował ludzkości całéj zakreślać kierunek: to też teraz każdy duch taki, zaklęty w głaz na liczne wieki, patrzeć musi ze swego więzienia, jak Wszechmocna wola przez maluczkich spełniać będzie myśl swoją na ziemi, rozwijając w człowieku coraz wyższe życie, a takie, jakie sam Stwórca naznaczył jemu.

Fontainebleau, miasto noszące smutne wspomnienie, ma też wyraz jakiegoś uroczystego, nadziemskiego już pokoju: miejsce to było prawie ostatnim punktem, zkąd życie wielkiego Męża zeszło z ziemi Francuzkiéj. To też duch opiekuńczy tego miejsca zdaje się być smętnym na modlitwie Aniołem, z obwisłemi skrzydły, wzywającym do życia wyższego, a jęczącym nad tem plugastwem co go otacza w około. Duch miejsca, czemu nikt nie zaprzeczy, jest wszędzie: a jest dobry lub zły, silny lub słaby, zgubny lub zbawiający. Ztąd to lud polski, ten najlepszy znawca na drodze duchowéj, wyraża

się tak mądrze w téj mierze, mówiąc: „w tem miejscu pokutuje“ — to jest, że po spełnieniu jakiegoś występku przez człowieka, po jego śmierci bez odrobienia winy i zmazania rachunku, duch jego stał się niewolnikiem tu przykutym, aby ekspijować grzech swój stósownie do wyższego wyroku. Z téj mądrości najczystszéj też idzie, że chłopek nasz w boleści ducha czy ciała, udaje się zazwyczaj po ulgę do cudownego miejsca z tą wiarą, że wydobrzeje przez łaskę Bożą: a kiedy padnie na kolana przed cudownym Obrazem, to jęczy i żali się duch jego, właśnie jako przed najlepszym Ojcem i Matką, gdzie na bolesne swe rany niezawodne zawsze lekarstwo znajduje. Dla tego też ja nie lubię Wersalu, bo to miejsce najohydniejszemi stratowane było nierządy i stało się pobytem plugawych duchów pokutujących tam za wszeteczeństwa; Fontainebleau, skupia mego ducha i daje mu lot wolny ku Bogu: bo najwyższe życie jakie się tam zjawiło, był bohater upadły na drodze ziemskiéj swéj chwały, a tu z małą cząstką swego rycerstwa, bo z tymi tylko co płakać z nim razem śmieli, korzący się przed wyrokiem, co ich ze znikoméj wielkości szczytu strącił.

Fontainebleau jest cichem ustroniem, wolnem od owego zgiełku innych francuzkich miast, gdzie przesilony handel, prawie jedyna widoma cecha żywotności, w swój burzliwy wir wszystko porywa; ozdobione jest ono pięknym kościołem nowoczesnéj architektury, i nadewszystko piękniejszym a niezmiernym pałacem, w którym każdy ze znakomitych monarchów Francyi dobudował coś swego. Lewe skrzydło tego gmachu stanowi dziedziniec Henryka IVgo, korpus sam wypełniony wielkim pałacem Franciszka Igo, gdzie i wielu innych francuzkich królów probowali smaku swego w budownictwie; a po drugiéj stronie na prawem skrzydle, wspaniałe dzieło Napoleona Igo jest najpiękniejszą częścią pałacu, gdzie

obszerny plac broni, zwany dziedzińcem Konia Białego. Ten obszar wspaniałych monarszych budowli, podał pewnemu Anglikowi myśl, w chwili gdy ten gmach oglądał: „To nie jest pałac, z podziwieniem zawołał, ale zbiegowisko pałaców!“.

Wtyle po za pałacem, jest wielki park ubrany przecudnie w drzewa, kwiaty i wody. Staw pod skrzydłem pałacu Napoleona mieści ogromne karpie, które dla publiczności miłą rozrywkę stanowią: każdy z przybywających kupuje sobie kawał chleba od biednych kobiet, umyślnie tam na ten cel chleb sprzedających, i rzuca go kawałkami w wodę; a roje olbrzymich złotołuskich lub posiwiałych od starości żarłoków, dobijają się o niego. Są i takie karpie, które jako znak dostojeństwa ozdabia złoty pierścień przewleczony przez górną ich szczękę. Nie umiem powiedzieć czem ci wodni dygnitarze dosługują się takiéj dystynkcyi: czy odwagą, czy rasą, czy tuszą dobrą nareszcie? ale uważałem że i u tych niemych istot, złoty znak taki podnieca pewną arrogancyą, a zastępy karpiego pospólstwa z uszanowaniem rozstępują się przed każdym takim dekorowanym. Łabędź tylko biały, nieulękły ani karpiów ani ludzi, wywiera tu absolutne panowanie swoje, zręcznie kawały chleba porywa, i dzióbem swym jakby mieczem siecze w około łuskowe rycerstwo; skarcony przez publiczność za zuchwałość swoją, odpływa na środek stawu zwolna i wspaniale, wijąc długą swą szyją na znak uprzejmego pożegnania czy też dumnéj pogardy. Ale powróćmy jeszcze do pałacu.

Skrzydło Napoleona najwięcéj ma interesu: tu mieszkał papież Pius VII wczasie pobytu swego w Fontainebleau, tu nadto wszystko przypomina Cesarza. Sala tronowa z cyframi i godłami jego, wszystkie sprzęty, kobierce i malowidła kilkunastu pokoi, wiernie przechowały cechy pierwszego Cesarstwa. W samym korpusie,

kaplice świętego Saturnina dolna i górna, niosą ujmę świętemu miejscu gustem Ludwika XIVgo, który na rozkosz pchnął ducha francuzkiego; rozkosz ta zatruła wszystko, a na świętem miejscu przedstawia się ona dla pobożnego oka, właśnie jak owo spustoszenie i plugastwo, o jakich mówi Ewangelia. Uchodźmy ztąd, aby odetchnąć swobodniéj w długiéj galeryi obrazów, noszących cechę świętych wspomnień Francyi. Tu Ludwik święty, król francuzki, pieniędzmi przysłanemi na okup swój własny, uwalnia żołnierzy swoich z kajdan Mahometa: widzim na obrazie jak Basza chciwszy od żyda, patrzy się łakomie na skarby, i nasyca już nieczystego ducha swojego rozkoszą jakiéj nabędzie za złoto; a więźnie modlą się do Zbawiciela, choć w kajdanach jeszcze błogosławiąc świętemu monarsze i wodzowi swemu, który własną niewolą i skarbami Francyi na wolność ich wykupuje. Daléj, Joanna d'Arc, prowadzona głosem z Nieba, znajduje miecz przeznaczony dla niéj przez Boga za ołtarzem kościoła w Fierbois; inny jeszcze obraz przedstawia Dziewicę Orleańską na kolanach przed wizerunkiem Najświętszéj Panny: jedną rękę trzyma na sercu, a drugą wznosi miecz prosząc, aby błogosławieństwo Niebios uświęciło to narzędzie dokonanych i dokonać się jeszcze przez niego mających cudów. Piękny to ideał ta Orleańska Dziewica! Mówiąc tu o niéj, przypomina mi się obraz jéj z przeszłoroczněj wystawy w Paryżu, przez pana Benouvilla. Przedstawił on Joannę d'Arc z dziwnym wyrazem uroku, prostoty a zarazem zachwycenia i świętości. Piękne dziecko, z obliczem anioła, która patrzy w świat z całym urokiem nadziemskiego tchnienia, — siedzi przy swojem kółku do przędzenia; widzi przed sobą okropność wojny — płonące wsie i miasta; a nad tem nad łuną pożarów, na Niebie, Święte Duchy Posłanniczki Boże z wyciągnionemi ku niéj rękami, podają Dziewicy miecz, którym

w imie Boże ma zgromić wroga i oswobodzić ojczyznę. Wyraz świętego przerażenia i nieładu zachwycenia, oddany jest przecudnie w tym obrazie. Do niego, rzecz niezawodna, musiał z Nieba wziąć artysta natchnienie, i przejąć się temi wyrazami, wyrzeczonemi przez Joannę, podczas jéj inkwizycyi:

— „Kiedy widzę święte, chciałabym do Raju pójść z Niemi;
Tak! słyszę ten głos co na mnie woła:
O, Joanno! przypasz miecz i walcz za twą wiarę —
Idź ocalić ojczyznę...
Idź, idź córko pól! Niebo pójdzie z Tobą". —

Prosimy o przebaczenie, w tem, że może zadługo zatrzymaliśmy się przed obrazem Dziewicy Orleańskiéj, a jak to mówią, komu w drogę temu czas! — więc do lasu.

Opuszczając park, nie możemy pominąć sławnych winogron Fontainebloskich: szczepy ich pierwotne, miał przywieść z sobą Ludwik święty z wyspy Cypru. Rozrastają się one teraz wzdłuż muru, długiego na 2 kilometry, od południowéj jego strony, który północną swą stroną oddziela miasto od parku. Wychodząc bramą parku, u końca téj zieleni winogradu, mamy przed sobą na prawo w dolinie stacyą drogi żelaznéj, a na lewo postępując przez sosnowy las, drogą wijącą się coraz wyżéj, dochodzi się na wierzchołek góry, z któréj piękny jest widok na równiny po za lasem, aż do brzegów Sekwany, któréj wody cały ten uroczy widnokraj srebrną opasują wstęgą; a daleko w głębi rysuje się wieża katedralna w Montereau, mieście sławnem stoczoną bitwą na jego polach, już ku schyłkowi świetnego zawodu Napoleona. Ta droga i to wzgórze noszą imie *Przechadzki królowéj Amelii.*

Od tego miejsca zapuszczając się w las drogą wiodącą ku miastu, na samym brzegu spadzistéj góry, spotykamy kamienny krzyż, zbudowany przez Polaka; to też ta góra nosi imie *Kalwaryi*. Ztąd najpiękniejszy jest widok na miasto. Zstępując z téj góry ścieżką krętą po nad którą są groty i przepaście, u jéj końca przychodzimy do kaplicy, zbudowanéj przy drodze z Fontainebleau do Melun, właśnie u stóp góry świętego Ludwika. Kaplica ta stoi niejako na świadectwo cudownego wydarzenia, a którego wspomnienie wiele pobożnych serc świętem podaniem aż do dni naszych przechowało.

W roku 1661, miejscowa legienda opiewa, pod koniec miesiąca listopada, jakiś pan d'Auberon, dworzanin księcia Kondeusza, a zarazem kapitan w pułku jego, spieszył konno połączyć się ze swoim dworem w Fontainebleau naówczas bawiącym; kiedy rozhukany koń zwalił go z siebie, wlokąc z góry po kamieniach za nogę uwięzioną w strzemieniu. Położenie jego straszniejszem jeszcze czynił coraz gwałtowniejszy bieg zdziczałego rumaka. Ale jak przysłowie niesie: „Kiedy trwoga to do Boga", na szczęście naszego rycerza, do ratunku jemu posłużyła, szczególniejsza pobożność jego do Najświętszéj Panny. Gdyż zaledwie, mimo śmiertelnego swego przestrachu, już nie usty ale tylko w duchu podniesionym obudził błagalną modlitwę o ratunek do Matki Zbawiciela; kiedy natychmiast rozpędzony jego biegun stanął jakby wryty, i dał jeżdżcowi czas do wydobycia się z tego zgubnego położenia. Rzecz najdziwniejsza, że rycerz d' Auberon powstawszy, uczuł się zupełnie zdrowym, a całą jego szkodą był podarty ubiór i stargane włosy. Padł więc na kolana, a wznosząc ku niebu dziękczynne oczy, ujrzał wśród konarów rozłożystego dębu, jaśniejącą w chwale swojéj, opromienioną jasnością nadziemską, najświętszą swoją Zbawicielkę. Na zawdzięczenie w bogobojném sercu cudu takiego dokonanego na sobie,

rycerz ten kazał właśnie na tem samem miejscu gdzie był cudownie uratowany, zbudować kaplicę *Najświętszéj Panny ratunku*. Święty ten pomnik, tak jak dziś istnieje, ozdobiony jest krzyżem i opasany kratą. Budynek sam składa się z galeryi mającéj po sześć kolumn po obu stronach ołtarza, a dwa filary wchodzą w mur stanowiąc ozdobę półkolnego ołtarza, oświeconego tylko blaskiem padającym na niego przez żelazną kratę. Zaledwie stąpiłeś nogą w téj kaplicy, a natychmiast uderzy twe oczy piękne malowidło na jéj podniebiu, przypominające jak można najwierniéj chwilę niebezpieczeństwa i cudu. Uderzy ciebie naprzód piękna budowa konia i jego rozhukana postawa; mimo kipiącéj na nim piany i muszkuł jak struny wyprężonych, koń ten nieruchomie stoi jakby skamieniały i wryty w ziemię, a okiem zwróconem ku panu swemu zapytywać się zdaje: „Kto mnie zatrzymał?“ Ale przestrach który zlodowaciał konia, opuścił już serce jeźdźca wiszącego jeszcze za nogę uwięzioną w strzemieniu, jeźdźca, który jakkolwiek wybladły, całą swą duszę przywołał do oka, i choć upadły na ziemię podniósł do góry błagalne ręce, bo tam opodal na starym dębie, jaśnieje blask nadziemskiéj światłości, a na tem tle niezgłębionéj przezroczystości ukazuje się wizerunek opromieniony *Najświętszéj Panny ratunku*. To *objawienie się* wszystko tłómaczy.

Okrążając miasto, przebywa się wszędzie leśne gęstwiny, po których rozsiane w pewnych odległościach, wyniosłe wzgórza skaliste, noszą odróżniające ich nazwiska. I tak przebywa się *Skałę dwóch siòstr*, co mchem wiekowym obrosła, aby dostać się do *Skały świętego Germana*, gdzie cudem natury, wszystkie skały sformowane są z kryształów, tak pięknie ułożonych, że podróżni jako osobliwość odłamują ich cząstki młotkiem i dłótem, i jako interesującą pamiątkę miejsc tych zachowują. Daléj wstępuje się między dwa pasma wynio-

słych skał, między któremi w głębi rozpostarta dolina zarosła bujnemi wrzosy, a u jéj końca *Płacząca skała*, sączy łzy swoje bez ustanku kropla po kryształowéj kropli, po nad zwaliskami dawnego klasztoru. Cała ta okolica ponuréj piękności nosi nazwisko *Franchard.* Ztąd zwracając się drogą ku Fontainebleau, na lewo mamy las najwspanialszych dębów, pomiędzy któremi patryarchalne do 4 metrów mają obwodu, jest to *Bukiet królewski*; na prawo, okolica leśna i skalista, nosi na sobie cechę jakiegoś uroczystego spoczynku. Przez wierzchołki sosien i dębów, bieleją się w około skaliste szczyty głazami usłane. Litość mnie brała patrząc tu na jedną młodą sosienkę, która stojąc na pochyłości góry zwanéj *Montaigii*, piastuje na rozdartem swem łonie ciężki odłam skały, który się na nią stoczył z wysoka; wątłe jéj ciałko skazane jest rozrastać się tak w boleści, acz przywalone ciężarem co jéj rozdziera wnętrzności! Widok na miasto z góry Montaigii jest prześliczny. W tem miejscu właśnie, po upadku pierwszego cesarstwa, odbyła się tkliwa scena, któréj przemilczeć nie mogę.

Po bolesnem pożegnaniu z ukochanym swym wodzem, ostatnia garstka tych wojowników, co po dokazaniu cudów waleczności, straciwszy zwycięztwa nadzieję, ginęła potem pod Waterloo w rozpaczy wołając: „Stara gwardya umiera, ale się nie poddaje!“ — Zastęp złożony z kilkunastu ludzi, uniósł łzami zalany, godło zwycięztw swoich do lasu, nie chcąc wypełnić strasznego rozkazu, iżby złożyć swój sztandar w ręce nieprzyjaciela. Tu właśnie na Montaigii, w miejscu dzikiem otoczonem skałami i lasem, szukali oni schronienia, aby utaić drogą dla siebie pamiątkę. Ale nieprzyjaciel nastawał i odkrył ich kryjówkę, nim zdołali coś postanowić o losie swéj chorągwi; pozostawało im do wyboru: albo umrzeć w upor-

czywéj jéj obronie, albo też złożyć ją w ręce wroga, któryby ją znieważył.

— „Koledzy! zawołał stary kapral, otoczyć wieńcem chorągiew naszą i pod nią zginąć“.

— „A nie mamy wiele czasu do stracenia, bo już słychać aliansowe bębny“ — dodał stary gwardzista.

— „Grzmot ich coraz lepiéj słyszę, przybliżają się wprost ku nam“ — inny się odezwał.

— „ To orzeł Francyi, pod nim imie Cesarza, daléj napisy: Wagram — Jena — pod takiemi godłami miło jest umierać“ — mówił głosem uroczystym posiwiały chorąży, cisnąc do serca drzewiec sztandaru.

Łzy potoczyły się perłami ze wszystkich źrenic — ocierano oczy i trzaskano panewkami karabinów.

Aż najstarszy z żołnierzy, który w ważnych okolicznościach głos zabierał, ale co powiedział to stać się musiało, bo słowa na wiatr nigdy z ust jego nie leciały, ale w czyn zamieniać się musiały, — tak, że nieraz sam Cesarz z uśmiechem na ustach rady jego posłuchał; pokręcił teraz siwego wąsa, i dał znak że mówić chce. Uroczyste nastało milczenie, a stary gwardzista tak się odezwał:

— „Bracia! sztandar nasz, ta święta pamiątka sławy naszéj, naszéj miłości gorącéj dla Cesarza, dziś pójść nie może na taką poniewierkę abyśmy go dobrowolnie w nieprzyjaźne ręce złożyli. Niech ten święty szczątek w téj smutnéj chwili kiedyśmy właśnie co pożegnali ukochanego Cesarza, a teraz sami rozstawać się mamy, cześć od nas zasłużoną odbierze. Wnoszę więc, koledzy, aby sztandar nasz spalić, a popioły jego wypić z winem; tym sposobem zabytek ten drogi sercu każdego z nas, we wnętrznościach własnych pogrzebiem. Uświęcony pod rozkazami Cesarza Napoleona, popiół ten ze sztandaru niech się stanie dla nas niejako komunią z Duchem bohatera Francyi!“

— „Zgoda, zgoda!“ — zawołali wszyscy z radością, i żarzące się opodal węgle położono w rozpadlinę skały, na których spłonął za chwilę święty szczątek, a popiół z niego zbierano jakby relikwie, już przy huku bębnów i bielejących się mundurów cudzoziemskich na zakrętach drogi wijącéj się na górę.

— „W ręce twoje, kolego!“ — zawołał kapral, wychylił czarę ze szczyptą dosypanego popiołu i podał ją staremu gwardziście.

— „Za zdrowie kaprala-Cesarza, twoje kapralu i wasze towarzysze broni!“ — zawołał stary gwardzista — zapłakał, wychylił czarę i podał naloną znowu sąsiadowi.

— „W Imie Boże!... za szczęście Francyi!... za zbawienie Narodów!“— przy tych okrzykach czara całą koléj obiegła, a każdy toast był zaprawiony szczyptą popiołów ze spalonego sztandaru.

Jednostajny huk bębnów grzmiał coraz to mocniéj, aż nareszcie wśród biesiadników grona, ukazał się oficer cudzoziemski i przemówił do nich groźnie:

— „Nierozsądni! wiem żeście z sobą unieśli sztandar wasz... Ten tak zuchwały postępek jest obrazą dla waszego najmiłościwszego króla. Jednak mogę gniew jego sprawiedliwy przebłagać, jeśli wasze buntownicze godło natychmiast w me ręce złożycie.“

Na te słowa stary kapral pokręcił siwego wąsa, a przybliżając się z naloną czarą do oficera:

— „Komendancie! powiem ci szczerze, zawołał, że spełnić to czego żądasz, jest już dla nas rzeczą niepodobną...“ —

— „A to czemu?“ zapytał oficer.

— „Bo, odparł spokojnie kapral, wpatrując się z dziwną radością w ostatnią naloną czarę, sztandar nasz spalony, a ostatnia szczypta jego popiołów z tem oto zmięszana winem. Koledzy! dodał, mówiąc do obecnych

niech w téj uroczystéj naszéj biesiadzie, tę ostatnią jeszcze kroplę wychylę: Za zdrowie nieszczęśliwego naszego Cesarza.“

Kapral wychylił, a stary gwardzista dodał zwracając się do oficera:

— „Teraz, komendancie, rób jeśli możesz powinność twoją; musiałbyś naraz w tyle uderzyć serc ilu nas tu widzisz przed sobą, aby zniweczyć drogą pamiątkę jakiéj tu szukać przyszedłeś.“

Oficer cudzoziemski stał osłupiały i niemy.

— „Koledzy! zawołał znowu kapral, po chwili uroczystego milczenia, rozejdźmy się teraz do zagród naszych; a niech z téj drogiéj pamiątki przechowanéj we wnętrznościach naszych, każdy bierze siłę do walczenia przeciwności otaczających nas w około.“ —

Zstępując z Montaigii zawsze przez las, ku zachodniéj stronie tuż pod miastem znajduje się bażantarnia. Jest to przestrzeń mająca może półtory wiorsty kwadratowéj, a mieszcząca w swym obrębie gaiki, małe pólka, trawniki, oraz piaszczyste płaty, wszystko tak urządzone jak najmiléj smakuje naturze bażantów. Te piękne skrzydlate zastępy chodują się tu z wielkiem staraniem; póki są młode dostarczają im mrówczych jajek, które za pewne wynagrodzenie dzieci i miejscowi ubodzy zbierają po lesie; starszym bażantom dają tworóg z mleka, a dorosłym już pszenicę. Niekiedy to srebrno i złoto-pióre ptastwo w zuchwałym swym locie wyrywa się za granice bażantarni, aby w przestronych lasach bujać i oddychać sobie wolno, szeroko: ależ ta zakazana im rozkosz, nie raz ich drogo kosztuje; bo u granic rządowego lasu, gdzie we własnościach prywatnych polować wolno, okrutny strzelec czyha łakomie na tę piękną i smaczną zwierzynę.

W rządowych lasach nikomu polować niewolno: zające, króliki dzikie, sarny i jelenie żyją sobie bezpiecznię

w lasach Fontainebleau. Raz tylko do roku zjeżdża tu Cesarz z swym dworem na łowy, ale wtedy cała zabawa i wszystkie myśliwskie zabiegi na tem polegają, aby zgonić wspaniałego jelenia. Bez wystrzałów, cały zastęp dostojnych myśliwców, z psiarnią wyborną pędzi za rogaczem, na którego padnie smutny los znaleść się na ich drodze. Wtedy przestraszone zwierzę szuka wszelkich sposobów i kunsztownych wybiegów, aby ujść grożącéj sobie śmierci; ale wyborne psy, do tego układane umyślnie, gonią z całym zapałem tego króla puszczy. Wielu z nich, to prawda, legnie pod ciosami rozsrożałego z przestrachu jelenia, — ale nareszcie, obsaczony dokoła i upadający z sił swoich ostatkiem, odbiera cios kordelasem od najdostojniejszego myśliwca.

Nie opuścimy lasów Fontainebleau bez wspomnienia jeszcze bażantów: ten piękny i prawie domowy ptak ulubił leśną okolicę; widać że ona przyjazna jest jego naturze. Dla tego znalazł się tu jeden właściciel, który rok rocznie wychowuje tysiącami bażantów, a to w ogrodzie swoim stósownie do ich wygody urządzonym. Dobrze on na tem wychodzi, gdyż jak opinia niesie publiczna, cały jego a dość znaczny majątek powstał z tego przemysłu. Mówią że rok rewolucyi 48go był dla niego najpomyślniejszym; wtedy albowiem wszystkie bażanty rządowe wystrzelano, tak, że on pozostał sam jeden z licznym zakładem swoim i wszyscy amatorowie bażantów do niego jednego udawać się musieli, płacąc mu za nie tyle co zażądał.

Obeszliśmy więc okoliczny las, wspomnieli znaczniejsze nazwiska części jego, zatrzymując się nad każdą skałą, uderzającą już to pięknością swoją, już ważnem jakiemś wspomnieniem. Ależ ta cała piękność skał, rozsianych odlegle po lesie, zostałaby była nazawsze niedostępną pustynią, gdyby się był nie znalazł człowiek, co ukochawszy nad wszystko tę piękną i dziką naturę,

nie był dla odkrycia jéj wdzięków poświęcił trudów całego życia i dostatniego mienia. Przepaści gęste, krzewiste zarośle i bujne wrzosy pokrywające tu ziemię, najpiękniejsze widoki skał tych niedostępnemi czyniły. Jaszczurki tylko, węże i żmije dzierżyły tu bezpiecznie rozległe swe panowanie. *Kochanek lasów*, tak go tu nazywają, pan Danecourt, zrodzony w téj dzikiéj ustroni, zachwycał się jéj urokami zaraz od dziecka. Nie bez niebezpieczeństwa, które młodzieńcza odwaga za nic sobie ważyła, zwiedził on i poznał całą piękność téj dziewiczéj natury; a jako duch każdego Francuza, ma tę zaletę że pragnie doznaną rozkosz i szczęście z innymi natychmiast podzielić; tak i pan Danecourt, powziął ten zamiar prawie olbrzymi na niego, aby to nowe leśne Eldorado dla wszystkich otworzyć, a nawet dla drobnych dzieci i lękliwych niewiast dostępnem je uczynić. Płacił więc sam robotników, którzy przez skały wybijali ścieżki, układali wschody, wycinali zawalające przejścia zarośle. Ale pan Danecourt nie był panem Fontainebleau; strażnicy leśni zdziwieni patrzali że niedostępna knieja otwierała się tajemnie gościną dla każdego przychodnia; a gdzie niedawno gniazda były gadu, pięknie ułożone kamienie wzywały do bezpiecznego poczynku. Bo pan Danecourt dzieło jakiego dokonywał pokrył tajemnicą; nie mając ufności czy w wykonaniu zamierzonego planu znajdzie opiekę a nawet zezwolenie rządu, niechciał puszczać na niepewność losu swéj oblubienicy, aby została pogardzoną, lub aby jéj rzucono niechętne tylko starania. Znał dobrze że on sam jedynie był zdolny, staraniem swojem miłośnem odkrywać i okazywać do uwielbiania nieznane wcale wdzięki Fontainebloskich lasów. Robotnicy więc, karczowali drzewa, łamali skały, kiedy *kochanek lasów* stał na straży, a za ukazaniem się rządowego dozorcy jakby złego ducha, donośny jego świst wszystko do kryjówek zapędzał.

Biedni strażnicy w głowy zachodzili jakim sposobem dzieją się te cuda: widzą ścieżki, upiększone groty, niebieską farbą nakreślone znaki za których idąc kierunkiem dochodzi się w jakie przecudnie urządzone miejsce, — a dojrzeć i uchwycić nie mogą ręki, co tych nieustannie mnożących się trudów dokonywa. Aż nareszcie jeden z odważniejszych strażników, zaczaił się podstępnie, a owocem jego zdrady, było to że odkrył narzędzia grabarskie składane w niedostępnem prawie podziemiu. Za tym śladem pochwycono naostek wielkiego buntownika, z garnkiem niebieskiéj farby i pędzlem w ręku. Na tę wiadomość, całe miasto jednozgodnym entuzyazmem uniesione, udało się do prezydenta miasta, aby urzędową swą powagą wsparł tak szlachetne usiłowania *kochanka lasów*. Pan Danecourt, cały pomięszany, rumieniąc się jakby winowajca, rad nierad musiał się stawić przed urzędem; gdzie nadspodziewanie odebrał uprzejme podziękowania za pracę i koszta jakie łoży na upięknienie lasu; a przy tem oświadczenie, że dla przyjścia mu w pomoc w tak chwalebnych jego staraniach, miasto zostawia dla niego swą kasę otwartą, upoważniając go aby czerpał w niéj dowoli. Danecourt odtąd nieposiadał się z radości; podwojone jego starania, uczyniły wszystkie skały w kniejach niedostępnych najprzyjemniejszemi przechadzkami. Gniazda żmij jadowitych z całego lasu zniknęły, gdyż urząd miejski płaci do dziś dnia za okazaną sobie głowę gadziny; a nie zbywa tu na śmiałkach do tych łowów; był jeden mieszkaniec w Fontainebleau, który nabył takiéj zręczności, że po kilkanaście żmij chwytał codziennie, i to bez najmniejszego ukąszenia. Słusznie więc powiedzieć można, że całą dzisiejszą swą swobodę, urok i tak słynną piękność, okolice te winne są czułym staraniom *kochanka lasów*.

II.

W Fontainebleau znalazłem w aktach tamecznego notaryusza, pana Bouchonnet, pamiątkę szacowną dla serca każdego Polaka: jest nią Testament własnoręczny Kościuszki, zupełnie dotąd nieznany, oblatowany i złożony tam dnia 4go listopada 1817 roku, a więc we 20 dni po skonie bohatera. Testament ten wniósł tu do akt pan Bonnissant notaryusz z Moret pobliskiego miasta, jako mianowany Egzekutorem przez Testatora.

— „Przed nami Ludwikiem Stefanem Benard, słowa są tego wnoszącego aktu, notaryuszem królewskim w Fontainebleau, niżéj podpisanym, stawił się pan Franciszek Marek Bonnissant, notaryusz królewski w Moret, tamże zamieszkały. Który dnia dzisiejszego w Fontainebleau osobiście nam złożył: 1° *Testament własnoręczny* pana Tadeusza Kościuszko, spisany na arkuszu prostego papieru, 2° Inny papier który służył za kopertę. Testament zaczyna się od wyrazów: — „Ceci est mon Testament“ a kończy się: „huit cent sèize — Thadée Kościuszko“ — a na kopercie jest napis: — „Ceci est mon Testament Thadée Kościuszko“. — Po których to pism złożeniu, pan Bonnissant zażądał aktu złożenia, a to w myśl wykonania rozporządzenia pana Prezesa Trybunału cywilnego 1éj instancyi miasta Fontainebleau, wydanego po wywodzie słownym opisującym rzeczony Testament, pod dniem 31go października 1817 roku.

Następnie pomieniony Testament wraz ze swoją kopertą dołączone zostały do aktu niniejszego, zostawszy poprzednio podpisane i zacyfrowane przez tegoż pana Bonnissant, w obecności notaryusza i dwóch świadków. Z czego akt sporządzono w Fontainebleau d. 4go listo-

pada 1817go. Podpisano: Bonnissant — Haye — Leford — Benard". —

W rejestrze aktów notaryalnych, pod rokiem 1817, zapisano jest: Testament de Monsieur Thadée Kościuszko, héros polonais, — a na właściwéj sobie półce, znajduje się oryginał własnoręcznego Testamentu Kościuszki, pisany po francuzku; a jest on taki: Na kopercie, pieczątka z laku czerwonego przedstawiająca dwóch Aniołów obok siebie stojących, ze spuszczonemi skrzydły, a w miejscu adresu, napis: Ceci est mon Testament — Thadée Kościuszko.— W kopercie, zamknięty arkusz papieru, obejmujący Testament, napisany po francuzku, pięknie i bardzo czytelnie, własną ręką Kościuszki. Oto dosłowne jego tłómaczenie:

„Niżéj podpisany Tadeusz Kościuszko zamieszkały w Berville gminie Genevraye departamencie Sekwany i Marny, zostający nateraz w Solurze we Szwajcaryi.

Nie chcąc być niespodzianie zaskoczony przez śmierć, bez ogłoszenia ostatnich moich rozporządzeń, czynię obecny mój Testament i ogłoszenie woli, całkowicie spisany moją ręką, jak następuje:

Chcąc dać pannom Zeltner córkom pana Piotra-Józefa - Andrzeja - Ludwika Zeltner, właściciela zamieszkałego w rzeczonem Berville gminie Genevraye pod Fontainebleau i zmarłéj pani Anieli - Karoliny-Adelajdy Drouyn de Vaudeicil de Lhuys, dowody przyjaźni jaką mam dla nich, i zawdzięczyć w ich osobach uczucia poszanowania i starań przyjaznych, jakie odbierałem z ich strony i ze strony ich ojca i matki, przez przeciąg lat 15stu mieszkania mego z niemi, a zapewnić rzeczonym pannom przyzwoite utrzymanie.

Daję i zapisuję pannie Tadei [1]) - Emilii - Wilhel-

---

[1]) Ta właśnie Tadea, uposażona tu przez Kościuszkę, była ukochanem dzieckiem swego chrzestnego ojca: sam on ją uczył, i lu-

minie Zeltner, mojéj chrzestnéj córce, lat 16 mającéj, urodzonéj w Paryżu 20go Messidora VIIIgo roku, — co odpowiada 9mu lipca 1800 roku, sumę 60,000 franków, jednorazowie wypłacić się mającą, a to licząc na monetę i wagę dziś kurs we Francyi mającą.

Daję i zapisuję również pannie Maryi-Karolinie-Julii-Małgorzacie Zeltner, starszéj córce pomienionych pana i pani Zeltnerów, urodzonéj w Solurze we Szwajcaryi 26go maja 1796 roku, sumę 35,000 franków, także jednorazowie wypłacić się mającą, licząc na tęż samą monetę, wagę i kurs.

Które-to obiedwie sumy wynoszące razem 95,000 franków, przynosić będą procent prawem przepisany licząc od dnia zejścia mojego, bez żadnych innych prawnych kroków i zabezpieczone będą wraz z procentami swemi, na najczystszym majątku ruchomym i nieruchomym, jaki pozostanie w spadku po mnie dnia zejścia mojego, a mianowicie i szczególniéj na kapitałach w gotowiźnie jakie się okażą we spadku po mnie we Francyi, bądź w ręku pana Hottinger, bankiera mego w Paryżu, bądź w ręku innych bankierów, dłużników lub depozytorów sum lub pozostałości mnie przynależnych: która to suma ma być odebraną po mojéj śmierci przez Egzekutora mego Testamentu, poniżéj wymienionego, a przez niego doręczoną rzeczonym pannom Zeltner, jeśli te będą zamężne; ale jeśliby nie były zamężne obowięzuję go aby umieścił pomienioną sumę w ręku jednéj lub kilku osób,

---

bił się z nią bawić; a kiedy pani Zeltner pragnęła dla kogo łaskę jaką wyjednać u Jenerała, — interes proszącéj osoby poruczano naówczas Tadei, spodziewając się niezawodnie pomyślnéj wtedy odpowiedzi. Pani Zeltner czyniła to jeszcze i dla tego, aby uprzyjemniać Kościuszce tym sposobem wyświadczane przez niego dobrodziejstwa; znała albowiem aż nadto, że można je było łatwo otrzymywać od człowieka, którego serce najżywszą znajdowało przyjemność w dopomaganiu ubogim i cierpiącym. (*Przypisek Autora*).

tak jak mu się to wydawać będzie najbezpieczniéj i najkorzystniéj; procenta czyli dochód z sum tak umieszczonych, pobierane będą rok rocznie przez rzeczonego Egzekutora mego Testamentu za jego pokwitowaniem, a przez niego doręczane każdéj z rzeczonych panien Zeltner, a to w części na każdą z nich przypadającéj, i służyć mającéj na ich utrzymanie, dopóki za mąż nie pójdą.

Życzę sobie i postanawiam, iżby rzeczone panny Zeltner nie miały prawa odbierać ani rozporządzać czy to w całości czy w części sumami im zapisanemi, dopóki będą niezamężne; ale skoro tylko zamąż popochodzą, każda z nich prawomocną będzie rozporządzać sumą sobie zapisaną, a Egzekutor mego Testamentu, uwolnionym zostanie od obowiązku odbierania i doręczania im rzeczonego procentu, który naówczas one same bezpośrednio odbierać będą mogły.

Mianuję Egzekutorem mego niniejszego Testamentu pana Bonissant ojca, notaryusza w Moret, departamencie Sekwany i Marny, prosząc go aby wziąć raczył na siebie obowiązek ten, a zarazem przyjąć pour diamant i jako zakład mojéj przyjaźni sumę 5,000 franków, którą jemu daruję i zapisuję niniejszem; a ta suma będzie podobnież do odebrania na najczystszéj pozostałości ze spadku po mnie, a mianowicie na kapitałach w gotowiżnie znaleść się mogących, bądź w ręku pana Hottinger, bądź gdziekolwiekindziéj, jak to się wyżéj powiedziało.

Odwołuję wszelkie Testamenta i Kodycyle, jakiebądźkolwiek mógłem był przedtem napisać; a jedynie do obecnego przywiązując wagę zupełną, chcę aby wyrażał ostatnią mą wolę.

Zrobiono w Solurze w Szwajcaryi 14go czerwca 1816 roku.

Na oryginale jest podpis: „*Tadeusz Kościuszko*“.

Powyższy Testament pozostał tylko jak droga historyczna pamiątka, gdyż prawnie obowiązującym stał się inny późniejszy, sporządzony przez Kościuszkę na 5 dni tylko przed jego skonem.

Artykuł 3ci tego ostatniego Testamentu, uczynionego na dniu 10go października 1817go roku, wyrażał:

„Zapisuję resztę tych moich funduszów, wynoszącą około 3,000 franków, i to wszystko coby żnalazło się więcéj, dla ubogich; a 1,000 franków przeznaczam na koszta mego pogrzebu, z warunkiem że nieść mnie będą ubodzy“.— Nadto, złożył sam na ręce Egzekutora swego Testamentu we Szwajcaryi, pana Amiet (którego zaszczycił zupełnie swojem zaufaniem), różne sumy do rozdzielenia między osoby, którym ich położenie nie dozwalało mieścić się na liście potrzebujących wsparcia a jednakże ubogie.

Artykuł 6ty tegoż Testamentu obejmował to zastrzeżenie:

„Proszę Notaryusza pana Ksawerego Amiet, żeby po mojéj śmierci spalił wszystkie papiery pisane moją ręką po polsku“. — Chociaż z boleścią serca, musiał jednak Notaryusz spełnić wiernie i tę część rozporządzeń Kościuszki. Widać, nasz bohater znał dobrze, iż po jego skonie Polacy małą odnieśliby korzyść z pism jego, obok najdroższéj i wyższéj nad wszystko cokolwiek mógł napisać pamiątki, będącéj dla Polaka świętą spuścizną,— a nią jest żywot Kościuszki tak wzniosły i czysty przed samym Bogiem.

Dla tego też po jego skonie, cała Polska jakby po stracie własnego ojca płakała, a znajomi i przyjaciele bohatera Polski, po całym świecie żal ten podzielali. Bez różnicy wyznań ani stanów, smutek objawiał się u wszystkich, jakby po stracie członka własnéj każdego rodziny. Ileż mielibyśmy na to dowodów, ale między innemi, przypomniemy obchód uroczystego nabożeństwa

w Wilnie, dnia 10 grudnia 1817go roku odprawionego w Bóżnicy Izraelitów tamecznych, za pokój duszy Tadeusza Kościuszki. Kiedy zebrany Kahał korzył się w prochu przed Jehową, kantor zaśpiewał Hebrajski Tren, ułożony umyślnie i stosowny do tego smutnego obchodu. Oto myśl tego Trenu, jeśli nie dosłowne znaczenie:

1.

„Przeważny Mąż dzielnością wszedł na Niebios górę:
Powagą miecz uświęcał, róg swój wzniósł nad nami.
Głowa domu Swych Ojców dawał nam podporę.
Na kark nasz miecza nie wzniósł gdy gniew miotał Wami.
Włóczni, dzidy nie ciskał w ziem naszych granicach;
To też ostoi sława Jego i w Bóżnicach.

2.

Prawość Jego pod Nieba — łaskawość w ramieniu.
Męztwem swem zaszczyt zrobił Polskiemu imieniu
Sławy Jego wojennéj świetność dziś jest taka,
Że weseli świat cały — i aż do robaka.

3.

To też nie mar siedlisko dziś Jemu mieszkaniem.
Chociaż starzec, nie ujrzał Polski przed skonaniem.
Powróć się! powróć do nas — i z nami bądź jeszcze....
Zgarnij stęsknionych synów pod skrzydła twe wieszcze.

4.

Jak ptak, gdy w klatce drzwiczek wyłamie zaporę —
Równym lotem z padołu uniosłeś się w górę:

Mieszkaniec u Bożego tronu w Jeruzalem,
Dzielisz Niebieską Chwałę — kiedy Boga chwalem.

5.

O, podnieś Twoje stopy wzbudzone Twą Duszą!
Niech prochy co je gniotą życiem się poruszą!
Na obłoku Twéj sławy spuść się w Ojców kraje
I patrz: Polska żyć będzie, za cześć co Ci daje....

6.

Upominek miłości, ofiarę wspomnienia
Przyjmij! — a patrz łaskawie na wszelkie gromadki:
Wspólne są względem Ciebie wszędzie uwielbienia.
Jeżli za zbyt ubogie świat uzna te datki
Od Ludu Hebrajczyków? Ty, za dań miłosną
Przyjm je — jak kwiat, tem milszy, że woń dał przed wiosną".

Nie mogę przemilczeć jednego jeszcze czynu, którym dowiódł Kościuszko, jak szczerze lud ukochał. Już może przeczuwając bliski swój koniec, d. 2go kwietnia 1817 roku, stanął on przed Notaryuszem w Solurze, i kazał jemu spisać akt następujący, nadający wolność wszystkim jego poddanym:

„Czując głęboko, są słowa tego aktu, że niewola jest przeciwną prawu natury oraz pomyślności Państw, oświadczam że znoszę zupełnie poddaństwo w majętności mojéj Siechnowice, położonéj na Litwie, w województwie Brzeskiem, a to co się tycze mnie i przyszłych właścicieli téj majętności.

Ogłaszam przeto włościan téj wsi za obywateli wolnych i właścicieli bezpiecznych na ich ziemiach, jak je dotąd osiadali. Uwalniam ich od wszelkich danin, ro-

bocizn i posług osobistych bez żadnego wyłączenia, jakim podlegać byli przymuszeni aż do dnia dzisiejszego, dla dworu swego. Polecam im tylko, dla ich własnego dobra, założenie szkoły.

Dopełniwszy tego uroczystego aktu, oddaję na własność, jako dowód uczuć moich, dwór pomieniony Siechnowice, z gruntami do niego należącemi, siostrzenicy mojéj Katarzynie Estko i dzieciom jéj, etc.".

Kiedy po spisaniu powyższego aktu, Notaryusz odprowadził Kościuszkę do jego mieszkania, ujrzał tam kanarka latającego sobie swobodnie po podniebiu izby; uśmiechając się więc pan Amiet zapytał gospodarza, co za przyczyna iż tego ptaszka nie udarował dotąd jeszcze zupełną wolnością?

— „Jest to zbyt licha istota, odpowiedział mu na to dawny Dyktator, z podobnymże uśmiechem, onaby zginęła od zbytecznéj wolności...".

Święta to prawda, wielki nasz Mężu! Jakkolwiek lekkie i słodkie jest brzemie wolności, do niesienia jego potrzeba ofiary i trudów; niedołężnych, samo sobą zagniecie.

III.

Jesień, jest najprzyjaźniejszą porą roku, dla leśnych okolic otaczających Fontainebleau: jaśnieją one wtedy całym urokiem swéj piękności, wszystko stoi na dobie i układa się do harmonii; ponura nawet natura niezmiennych skał, przy blasku zieleniejących brzóz i woni kwitnących wrzosów, nabiera pewnego widocznego życia, i martwością nawet swoją podwyższa wydatniéj po-

waby roślinności. Wtedy widzieć można po całym lesie rozstawionych artystów, którzy chwytają ten pełny wdzięk leśnéj natury, i wysileniami sztuki starają się unieśmiertelniać go na papierze lub płótnie. Żadna galerya, żadne atelie malarza nie dostarcza im tyle wzorów przejmujących równą żądzą naśladowania istniejącéj już piękności: tu wszystko proste, niewinne, czyste i piękne, wymaga tylko sumiennéj wierności artysty, aby odtworzone sztukę, stało się arcy-dziełem nazawsze.

I dla mnie miła jesienna pora stała się pobudką do odetchnienia wonią lasów — zapragnąłem żyć jako artysta; ale nie będąc malarzem ani nawet rysownikiem, zapragnąłem podnieść uczucie moje, co każdemu wolno, aby żyć tem życiem wyższem do którego wzdycha każdy a niewielu realizuje, nie wyłączając z tego i artystów. Myśl wyższa wiodąca do wyższego celu — to silna dźwignia na drodze prawdziwego postępu, wiedzie ona coraz wyżéj do góry, aż tam gdzie na samym szczycie stoi ideał dla świata, *dla światów*; dla każdéj chwili i dla wieczności; tym ideałem krzyż, drogowskaz Niebieski. Szczęśliwy kto stawił nogę na téj jedynéj nieobłąkującéj nieznikającéj przez wieczność drodze. Tą ożywiony myślą, postanowiłem zwiedzić miejsce, ztąd o mil dwie, gdzie Tadeusz Kościuszko przeżył lat kilkanaście, — wybrałem się z Fontainebleau do Berville.

Piękny dzień miesiąca września, jaśniał w pełnym swym blasku: pora letnia przy swoim schyłku, ma te same powaby co jéj początek; tylko tam serce czuje więcéj nadziei, a tu już więcéj tęsknoty. Wychodząc z lasu, ujrzałem wzgórzyste pasmo uwieńczone w olbrzymie głazy, a u spodu rozpościerała się obszerna zielona równina, na któréj pasło się stado pięknego bydła. Postępując daléj drogą piaszczystą pod górę, przebyłem jeszcze mały lasek, aż zsunąwszy się na drugą stronę góry, ujrzałem wioskę Montigny, podobną bardzo do na-

szych polskich. Po drugiéj stronie téj wioski, gdy przebyłem most na rzece Loing, ujrzałem nareszcie cel mojéj podróży — posiadłość Berville: nie jest to ani nawet wioska, bo cała osada składa się z domu właściciela o piętrze, z innego obszerniejszego mieszkania dla służących i z niewielkich zabudowań gospodarskich. Do téj osady prowadzi z Montigny droga po nad kanałem wysadzana kasztanami i lipami; a tuż przed bramą wiodącą na dziedziniec, szumi piękny kryształowy wodospad na kanale.

Zastałem teraźniejszego posiadacza majętności Berville, pana Boutard, człowieka w pewnym już wieku, przy wnijściu do domu; powitał mnie uprzejmie, a gdy mu oznajmiłem cel mego przybycia, widoczne zadowolenie zajaśniało na jego twarzy, stawał się dla mnie tak gościnnym jakby dla swego dawnego znajomego. Po chwili powitania, oświadczył mi sam gotowość oprowadzenia mnie po swoim domu. — „A, to wasz Napoleon! — wyraził się tak, mówiąc o Kościuszce, — odbieram tu niekiedy wizyty pańskich współziomków, i wielkiem dla mnie jest szczęściem patrzeć, jakie wysokie i tkliwe wrażenie obudza w nich widok téj okolicy“. — Wyszliśmy potem na dziedziniec, gdzie, nie bez pewnego żalu, spostrzegłem, że pilne starania dzisiejszego właściciela nad upiększaniem swéj posiadłości, zatarły tu już wiele śladów naszego bohatera.

Nie uszło to uwagi pana Boutard, gdyśmy więc wstąpili na piętro, przemówił do mnie ze wzruszeniem, wskazując na ogród przez okno: — „Patrz Waćpan! gdzie teraz są te kląby kwiatów, oczyszczone drzewa, wygracowane i piaskem usypane ulice — zastałem kupy błota i śmieci; nie tak wiem zostawił Berville Jenerał, bo starsi mieszkańce tych okolic nieraz mi mówili z uwielbieniem, tak o Kościuszce jak i o rodzinie państwa Zeltnerów, i wychwalali ówczesne a zatarte potem powaby téj po-

siadłości". — A gdyśmy się znaleźli w pięknym i wesołym pokoju na piętrze, z którego przecudny był widok na rozległe łąki i wioskę Montigny: — „Ten tylko pokój, — dodał pan Boutard ze znaczeniem, Jenerał na swe mieszkanie zajmował, — reszta domu należała do rodziny państwa Zeltnerów. Porobiłem i tu pewne upiększenia, na które, jak widzę, nieprzyjaznem okiem spoglądasz; ale cóż miałem począć — dom cały zagrażał ruiną".— Potem mówił wpatrując się we mnie z uśmiechem: — „Jednak na mą zaletę powiedzieć mogę, że ten żelazny słup, który pan widzisz przed sobą, ocaliłem sam od zniszczenia. A dowiedz się pan że filar ten, to pamiątka po Jenerale: upewniano mnie że własną ręką postawił go tu Kościuszko, kiedy raz podczas burzy pułap się nad nim załamał. Widzisz pan że uszanowałem tę pamiątkę? niech tak sobie stoi!". — Podziękowałem panu Boutard za tę jego czułą delikatność, a wnet uczułem w sobie budzącą się jakąś radość serdeczną, niewypowiedzianą; wszystko w tem miejscu przedemną nadziemskim blaskiem jaśniało: woń kwiatów, powiew wiatru, szum wody, przezroczystość atmosfery, — lała jakiś dziwny urok, nieznany dotąd mym zmysłom. Następnie mój przewodnik, gdyśmy się znajdowali zawsze w pokoju Kościuszki, otworzył szafę i pokazywał mi pamiątki, zostawione mu w upominku przez gości zwiedzających Berville. Między innemi, znajdował się tam obraz przedstawiający dom urodzenia Kościuszki w Mereczowszczyznie na Litwie, i znana litografia portretu jego z Pologne pittoresque, tem tylko pamiętna że ją tu zostawił Adam Mickiewicz. Dołączyłem z méj strony do tych pamiątek List Kościuszki pisany do pana Ksawerego Zeltner, a raczéj przyjacielską instrukcyą daną jemu na piśmie, kiedy ten ostatni wyjeżdżał do Polski, w sierpniu 1817 roku. Oto wyrazy tych rad zbawiennych, w polskim przekładzie:

„Ażebyś nie przestawał być godnym rodziny twéj, samego siebie i mojego pośrednictwa, należy ci odczytywać codziennie, iżby się dobrze wyryło w twéj pamięci to, od czego zawisło twoje szczęście, a co jest jak następuje:

„Wstawać o 4éj latem a o 6éj godzinie w zimie. Twoja myśl pierwsza wznieść się powinna ku Najwyższemu i uwielbiać Jego przez minut kilka; potem natychmiast zabrać się do pracy z uwagą i roztropnością, lub do przepisanego ci zatrudnienia z najpilniejszem staraniem, czy też do kształcenia się w jakowejś umiejętności, któréj znajomość gruntowna przydać ci się na co może. Strzeż się kłamstwa we wszelkich stosunkach życia, a bądź szczery, rzetelny, zawsze prawdomówny; nigdy nie próżnuj, bądź czynny i pracowity, nieco surowy nawet względem siebie samego, ale pobłażający dla innych, lękaj się miłości własnéj, aby nie zostać samolubem; nim cokolwiek wymówisz, albo komubądź odpowiesz, zastanów się pierw dobrze i rozważ, abyś zamierzonego nie chybił celu, lub też głupstwa nie powiedział. — Nie opuszczaj choćby i najmniejszéj sposobności okazania się wdzięcznym dla osoby, która ci wyświadczyła jakie dobrodziejstwo; uprzedzaj jéj chęci, jéj życzenia; bądź zawsze uważny, a działaj z największą oględnością i zarazem uprzejmością, wyszukuj sposobności dla wyświadczenia komuś przysługi. A że w tamtym kraju będziesz cudzoziemcem, podwajaj twą usilność do okazywania zdolności twoich, iżbyś sprawiedliwie pozyskiwał ufność i wyższość nad krajowcami, a to przez istotną zasługę twoją i obszerniejsze wiadomości. Jeśli ci ktoś powierzy jaką tajemnicę, dochowaj jéj święcie; we wszelkich postępkach twoich bądź prawy, szczery i otwarty bez przesady: przy sporach nierozprawiaj wiele, tylko staraj się wykazać prawdę spokojnie ale jasno. Z każdym bądź grzeczny i przyzwoity, miły i uprzejmy

w towarzystwie, zawsze ludzki i wspierający biednych stósownie do możności. Czytaj książki uczące, tak dla ozdoby umysłu, jak dla ulepszenia serca twojego. — Nie zniżaj się nigdy do zawierania złych znajomości, ale żyj z osobami dobrych obyczajów i imienia; zgoła postępowanie twoje niech się podoba każdemu, a osoba u któréj bawić będziesz, niech w niem nigdy nic nagannego nie znajduje [1]).

(podpisał) *Tadeusz Kościuszko.*"

Zeszliśmy potem do jadalnéj sali: — „Pozwól mi Waćpan, ozwał się Boutard, abym wychylił z tobą skromny toast; a na uczczenie pamięci bohatera, wychylimy go burgunckiem winem, bo jak słyszałem to wino było najulubieńszym napojem dyktatora." — Na te wyrazy, młody człowiek może dwudziestoletni nalał 3 kieliszki; pan Boutard podnosząc z nich jeden, zawołał: — „Pamięci mego poprzednika, mieszkańca Berville i za zdrowie wszystkich ludzi dobréj woli!" — Łza potoczyła się do mojéj czary, uścisnąłem rękę zacnego gospodarza i jego siostrzeńca, gdyż nim był wspomniony młodzieniec; po czem nastała chwila uroczystego milczenia. Wtedy spostrzegłem że p. Boutard usiłował odgadywać czemby mógł mi największą sprawić przyjemność; zbadał mnie więc jednem jeszcze spojrzeniem, a biorąc za dubeltówkę: — „Ja i mój siostrzeniec, uprzejmie przemówił, wyruszaliśmy na polowanie, właśnie w chwili pańskiego przybycia; pozwól więc że teraz pożegnamy ciebie. Polecę pana opiece mojéj gospodyni, i proszę być w moim domu jakby u siebie. Wybacz że nas zapalonych myśliwców czas nagli.... a śliczny dzień do polowania, chcielibyśmy dziś położyć trupem przynajmniéj z tuzin kuropatw, — które jeśliś łaskaw, razem jeszcze zjemy."

---

[1]) Copié sur l'authentique de Zeltner, à Soleur, le 24 Novembre 1844. (Przypisek autora).

To oświadczenie pana Boutard bardzo mnie ucieszyło gdyż będąc na wsi, nie chciałem stracić sposobności aby się napić dobrego mleka. Z ochotą więc dałem się poprowadzić panu Boutard do jego folwarku, — gdzie polecając mnie swoim domownikom, pożegnał mnie uprzejmie i szybko się oddalił.

Tu, znalazłem się w nowym żywiole: lud wszędzie jest jednaki — prosty, szczery, czujący. Trzeba tylko otworzyć i ułatwić jemu pole wylewu, należy z serca przemówić do serca; to on wszystko wypowie i nauczy nas wiele, bo on tak pełen jest uczuć i mądrość jego tak wielka! Delikatniejsze mając serce jak ucywilizowana spółeczność, zamyka się w sobie przed każdym, w kim dostrzeże próżności lub chęci popisywania się przed nim ze swoim sztucznym rozumem. Widząc w czeladnéj izbie kilku obiadujących robotników, pozdrowiwszy ich uprzejmie, zawiązałem z nimi rozmowę. W ciągu niéj dowiedziałem się, że Kościuszko jest tu szanowany z całym urokiem cześci, przez dzisiejszych nawet mieszkańców tych okolic. Opowiadali mi ci prości ludzie, że w sąsiedniéj wiosce Genevraye, żyje dotąd jeszcze siedmdziesiątletni starzec, który służył niegdyś u Kościuszki; Père Thibaut, to było nazwisko starca, nie raz im opowiadał o cnotach i dobroci swego pana; jak często jemu, młodemu wtedy chłopcu, dopomagał Kościuszko w pracy w ogrodzie; że był niewypowiedzianie dobrym panem-karą u niego największą było zgromienie ostrzejszémi wyrazami, ale te nigdy godności człowieka nie poniżały, nie obrażały, — tylko przemawiały do przekonania, dla zobaczenia jasno i uznania własnéj swéj winy. Raz tylko, wyznawał père Thibaut jeszcze ze smutkiem, upornem kłamstwem tak dokuczył jenerałowi, że dostał od niego policzek; ależ po tym razie jakby piorunem rażony, poczciwy chłopiec w żalu utulić się nie mógł, rzucił się do nóg Kościuszki, który po tem przyznaniu się

jego do winy, do serca go przytulił, a nawet się przed nim tłómaczył, że jedynie dla jego własnego dobra, musiał się uciec aż do tak gwałtownéj kary.

Pamięć ta o Kościuszce, ożywiająca całą tę piękną okolicę, podała za rządów króla Ludwika Filipa, mieszkańcom tutejszym myśl, aby na cześć jego obchodzono corocznie święto jego pamiątki przez wiejskie zabawy. Przygotowano już do tego wszystko, usypano wzniosłą mogiłę, posiano ją kwiatami, maire wioski Montigny czekał tylko odpowiedzi na swe podanie aby zaprowadzić tę uroczystość; kiedy niespodziewanie nadszedł rozkaz wstrzymania wszystkich tych przygotowań; święto to dozwolonem nie zostało, dla przyczyn rządowi tylko wiadomych. Ze wszystkich więc zachodów do téj fety, sama jedynie mogiła rzęsistem kwieciem porosła na wspomnienie czcigodnego męża do dziś została. Widać że wyższe wyroki, dozwalały na uczczenie pamiątki Kościuszki wznosić tylko pomniki z ziemi, którą on pod rodzinnem niebem, aż do tyle ukochał, że garść jéj na swojem sercu donosił aż do śmierci.

Raz jeszcze rzuciłem uwielbienia okiem na wszystko co mnie otaczało w Berville, aby żywsze unieść wspomnienie miejsc tych tak dla mnie drogich; następnie, pożegnawszy domowników pana Boutard, puściłem się drogą ku Genevraye, wiosce o kwadrans drogi ztąd odległéj. Ścieżka którą postępowałem, wiła się w górę ku kościołkowi zbudowanemu z ciosowego kamienia w kostkę, podobnych temu wiele w Wielkiéj Polsce widziałem. W tym skromnym przybytku Pańskim, upadłem na kolana aby westchnąć za duszę Tadeusza, który teraz z wysokości niebieskich czuwa nad naszem zbawieniem.

Gdy wyszedłem z kościołka, zeszliśmy się z proboszczem: pozdrowiłem go i schodziłem obok niego ku wiosce leżącéj na dole. Proboszcz, niemający więcéj nad lat 40 wieku, nie znał osobiście Kościuszki, ale

słyszał tu o nim wiele, o jego cnotach i licznych dobrych uczynkach; boż cała ta okolica tak powabna i cicha, nosi na sobie niezatarte o nim wspomnienie. Kościuszko jest niejako duchem opiekuńczym miejsc tych.

— „Wiele dobrego słyszałem o tym zacnym mężu,— przemówił do mnie proboszcz, skoro mu oświadczyłem że przyszedłem zwiedzić Berville, jako miejsce kilkonastoletniego pobytu Kościuszki. — Dowiesz się pan o nim interesujących szczegółów, dodał proboszcz, od ojca Thibaut, mieszkańca téj wioski, który będąc jeszcze młodym chłopcem, zostawał w obowiązkach u jenerała. Wiele mi o nim opowiadał ten starzec dziś już sędziwy; a rozmowa z nim o tem, jest jedną z największych przyjemności mego życia, które tu w tem ustroniu trawię spokojnie na modlitwie i ukazywaniu moim parafianom drogi zbawienia. Jeszcze wyznam Waćpanu, że po każdéj takiéj rozmowie z ojcem Thibaut, ożywiony na duchu i umocniony na ciele odchodzę; bo też starzec nieraz przypomina sobie i opowiada mi rzeczy tak tkliwe, że łzy płyną z jego oczu, a ja słuchając rzewnego opowiadania, razem z nim nieraz się napłaczę!...

„Otóż mieszkanie tego którego szukamy, — przemówił proboszcz, ukazując mi piękny wiejski domek, gdyśmy zeszli z góry i stanęli na drodze prowadzącéj pośrodku wioski po nad ogrodami i winnicami.

„Czy jest ojciec Thibaut w domu?“ zapytał proboszcz pięknéj, może czternastoletniéj dziewczynki, która z niewinnym wdziękiem zrywała bujne winogrona i układała je w koszyku.

— „Nie ma dziadka u siebie, odpowiedziała dziewczynka z pokornem spojrzeniem, — jest on teraz w polu przy pracy, ztąd daleko a dopiero o zmroku powróci.“

Przykro mi się zrobiło, że przynajmniéj na teraz pozbawiony byłem miléj sposobności pomówienia o Kościuszce, z tym staruszkiem, który tak był szczęśliwy,

że mógł aż do łez poruszać, przypominając te ciche chwile które mąż ten w Berville przepędził. Pożegnawszy więc dziewczynkę spojrzeniem a proboszcza ukłonem, puściłem się w mą drogę ku Montigny, z powrotem do Fontainebleau.

Piękny dzień września miał się już ku schyłkowi: promienie złote słońca ukoronowały wierzchołki drzew wznoszących się na wzgórzu, szedłem sam milczący w głąb tego lasu wymownego swem uroczystem milczeniem; a serce moje a myśli moje — były tak rzewne, kochające, odmłodzone! Wydało mi się wtedy jakobym był pielgrzymem, co przebywszy wielki obszar jałowéj pustyni, cudownie ujrzy przed sobą drzewo piękne, rozzieleniałe, a na niem owoce mające w sobie dar nieśmiertelności. Pielgrzym ściągnął po nie swą rękę z trudów omdlewającą, a skoro owoc zerwany do ust swych doniósł, — zwątlone siły jego odzyskały rzeźwość młodzieńczą, myśl pokorna wstąpiła w jego duszę, która niebieskiego nabrała blasku; wtedy serce pielgrzyma żywiéj bić, goręcéj kochać zaczęło. A com z ówczesnych myśli moich dochował aż do dziś w pamięci, wspomnienie samo tego, rozpogadza, rozpędza teraz i najdrobniejsze chmurki żywota; bo myśli te moje — były jedną gorącą modlitwą do Boga.

KONIEC.

KRAKÓW

w roku pierwszym

ZA CZASÓW KONFEDERACYI BARSKIEJ *).

Ze zbioru Podań i Wspomnień krakowskich

JÓZEFA MĄCZYŃSKIEGO.

Po zawiązaniu konfederacyi w Barze w dniu 1szym marca 1768 roku przybyli wkrótce zausznicy króla Poniatowskiego do Krakowa głosząc po okolicznéj szla-

---

*) Co się w Krakowie działo w tym pierwszym roku, również w trzech następnych latach toczącéj się wojny, dajemy wiadomość z przechowanych w rękopismach: 1) Dyaryuszów Wojciecha Mączyńskiego i Tomasza Krzyżanowskiego obywateli krakowskich; 2) Notaty bezimiennego konfederata; 3) Wyjątki z pisma p. t.: Pro Memoria; 4) Wyjątki z pamiętników ks. Stokłosińskiego Benedyktyna z klasztoru tynieckiego w łacińskim języku napisanych. 5) Z pamiętnika zakonnika także z tego klasztoru ks. Wojciecha Tomaniewicza, a który wprzódy był kapitanem artyleryi koronnéj i należał do konfederatów broniących Tyńca.

chcie, iż ta konfederacya wylęgła się z fanatyzmu Jezuickiego, a skończy się z nieszczęściem kraju, i namawiali aby dla uniknienia tego, zawiązali antykonfederacyą krakowską. To było powodem niepewności co zrobić, a ztąd ociąganie się i dla tego gdy do téj konfederacyi przystąpiła szlachta lubelska, halicka i inna, województwo krakowskie dopiero to zrobiło w dniu 21 czerwca 1768 roku, w dzień wtorkowy.

W dniu tym już przedpołudniem widziano w mieście, iż szlachta w tym celu zjeżdża się na zamek krakowski, jakoż zebrało ich się tam 63 osób, i o godzinie 2giéj stanął związek konfederacyi województwa krakowskiego, spisany akt wszyscy podpisali i wykonali następną przysięgę:

„Przysięgam Panu Bogu w Trójcy śtéj jedynemu, Najświętszéj zawsze Pannie Niepokalanie poczętéj Maryi i Tobie Głowo Kościoła Śty Ojcze Papieżu, iż wiary śtéj katolickiéj rzymskiéj, ojczyzny i wolności sercem i orężem, aż do ostatniego bronić będę, i do myśli konfederacyi barskiéj we wszystkiem stósować się, punkta w téjże wyrażone zachować i dopełniać, i owszem dla wzmocnienia sił niniejszéj konfederacyi wszelkich sposobów zażywać. Sekretu powierzonego nikomu bądź to płci białogłowskiéj, bądź męzkiéj najprzyjaźniejszéj nie wydam. Władzy konfederacyi we wszystkim posłuszny i wszelkiéj karze gdyby na mnie uznaną była podlegać powinienem i bez wiedzy komendy jeneralnéj od konfederacyi nie odstąpię i nie wyjadę. — Od czego mnie żaden spowiednik absolwować nie może ani z tego obowiązku uwolnić nie powinien, na co za wiarę, wolność i ojczyznę idąc na obronę — życie, fortunę i honor konsekruję w imie Chrystusa samego. Jeżelibym w czem bynajmniéj przestąpił niech krew najświętsza za mnie wylana potępi; Rany Jego na duszy zranią. Śta Ewan-

gielia i wymówione słowa niech mnie zagubią. Tak mi Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego. Amen.“

Marszałkiem konfederacyi krakowskiéj obranym został Michał na Czarnocinie Czarnocki stolnik ziemi Stężyckiéj dziedzic Secymina. Zamek oddanym został panom konfederatom przez przystępującego do konfederacyi starostę krakowskiego Karola z Wielopolskich Myszkowskiego jenerała Mało-Polski wraz zamku starościańską załogą. Poczem nowo obrany marszałek na czele konfederatów otoczony radującym się ludem przeszedłszy procesyonalnie drogę ze zamku do rynku, o w pół do czwartéj przybył na ratusz krakowski. Tu od oczekującego Magistratu powitan ustami burmistrza miasta Jana Kozłowskiego, zawezwał przedewszystkiem do wykonania przysięgi magistrat wraz z zwołanemi uderzeniem dzwonka ratuszowego, czterdziestu mężów wybranemi na ten rok z mieszczan i gminu. — Burmistrz zażądał aby do jutra przysięgę odłożyć, gdyż potrzeba narady wspólnéj bo przysięgać mają imieniem całego miasta. Lecz na to zezwolić nie chciano, a że niezgoda mogłaby złem się jakiem dla miasta zakończyć, więc przysiężono. Następnie odebrawszy klucze od wszystkich bram miejskich, takowe zaraz zamknąć rozkazał marszałek Czarnocki, polecając straż baszt, murów i bram w około Krakowa we dnie i w nocy uzbrojonym jego mieszkańcom i garnizonowi miejskiemu, który jak już poprzednio garnizon zamkowy złożył przysięgę na wierność konfederacyi.

Jak zajęto się dozorem aby to polecenie wypełniono i jak to polecenie wypełnionem zostało smutny zaprawdę miano tego dowód w dniu następnym to jest 22go czerwca. W dniu tym bowiem z rana o godzinie 8méj tak panowie prześwietnéj konfederacyi, jak i Magistrat Krakowa i jego mieszkańcy napełnili kościół Archiprezbyteryalny w rynku krakowskim, aby podczas wotywy

z wystawieniem Najświętszego Sakramentu celebrowanéj przez księdza Garlickiego kapelana konfederatów zanieśli prośbę do Boga o szczęśliwe powodzenie tejże prześwietnéj konfederacyi.

Lecz jeszcze się wotywa nieskończyła a tu słychać głos alarmowy z dzwona maryackiéj wieży i krzyczącego przez tubę strażnika, że licznie nieprzyjaciel wkracza na przedmieście Lubicz.

Nie chciano dać wiary temu, bo nikt niestety nie wiedział, aby wojska rosyjskie znajdowały się tak w pobliżu Krakowa, iżby mogły ten niespodziewany a nagły napad zrobić.

W tem posłyszany huk z armat nieprzyjacielskich potwierdził okropne doniesienie, tem okropniejsze, iż wczorajsze polecenia nie wykonane, bezbronnem czyniły miasto. Tę niesforność i bezład niepodobnem było wśród po wszechnéj trwogi zamienić w ład i sforność. Ztąd też kiedy nieprzyjaciel około godziny 9éj przypuścił atak do bramy Floryańskiéj nie więcéj nad 12 ludzi mających kilka nabojów i kilka kul dawało mu odpór. Szesnaście armatnich strzałów padłych we wrota téj bramy, mocno je uszkodziwszy już prawie wolny wstęp do miasta dawały nieprzyjacielowi. W tem jakieś zamieszanie widać w szeregach szturmujących, zaczynają się cofać, a gdy wstrzymujący ich wódz jenerał Panin pada w same usta ugodzony ze strzelby Marcina Oraciewicza pasamonika, nagle ustępują unosząc go z sobą, jako też poległego przy nim pułkownika Bock, a zostawując po przed bramą rannych i zabitych dwudziestu ośmiu. Uniesionych pochowano na Wesołéj po przed murem ogrodu klasztornego PP. Karmelitek bosych [1]).

---

[1]) W miejscu tem książę Repnin nadzwyczajny poseł Cesarzowéj Katarzyny w Polsce, temu jenerałowi a swemu synowcowi postawił potem krzyż kamienny do dziś dnia na grobie jego stojący.

Obrońcy bramy odwrót ten uważając za nastąpiony z powodu zgonu wodza szturmujących, winszowali Oraciewiczowi, że tym tak szczęśliwym strzałem uratowa Kraków.

Lecz ten ratunek przybył od Boga przez protekcyą Matki Najświętszéj, którą podczas szturmu po murach bramy Floryańskiéj wraz z śtym Kazimierzem i z śtym Janem Kantym chodzącą widziano, a któréj widok jak zeznali ranni Rosyanie był ich popłochu powodem. Do utwierdzenia wiary w tę cudowną obronę Krakowa, przyczynić się może i to, że na tak liczne strzelanie z armat i ręcznéj broni, żaden z walecznych obrońców bramy nie zginął, i tylko bezbronnych przez ciekawość przypatrujących się rzemieślników stolarczyka i kowalczyka, tudzież palacza miejskiego i studenta nazwiskiem Bętkowskiego zabito.

Ten cud jak jedni mówią, a jak drudzy szczęśliwy wypadek, ocalił Kraków, ale jest to pierwszy dowód że obrano marszałkiem konfederacyi krakowskiéj człowieka najmniejszego pojęcia o swych obowiązkach niemającego.

Od dnia następnego to jest 23 czerwca robią konfederaci wycieczki na rozłożonych Rosyan w okolicznych wioskach od strony Prądnika, z niewielką wprawdzie stratą swoich ale też i ze żadną korzyścią nad nieprzyjacielem. Najprzychylniejsi patrząc na to co się dzieje nic dobrego nie wróżą, bo pan marszałek Czarnocki w tem oblężeniu Krakowa wykrzykując: „*Dawaj wina póki stanie Secymina*“ bankietuje z kolegami zamiast oczyścić okolice z tak nielicznego nieprzyjaciela.

Pierwsza taka wycieczka w dniu tym 23cim była na wiadomość, iż Rosyanie w kilkadziesiąt koni wpadłszy na Wesołą stojący tam klasztor i kościół PP. Karmelitanek bosych napadli. Lecz nim się zebrano na tę wycieczkę oni już rabowali po Kleparzu a dopadłszy do

tak zwanego Solnym Składem dworcu, gospodarza w tym zabijają a Szaniawskiego starostę małogowskiego starca tu na rezydencyi osiadłego z ludźmi jego w niewolę zabrawszy wrócili do obozu swego pod Czyżynami bez starcia się z naszemi.

W następnych dniach dopiero z większą gorliwością wzięto się do ubezpieczenia Krakowa i wytaczano armaty na szańce, wały zamkowe i bramy. I zaczęła się szlachta zgromadzać i sprowadzono żołnierza komputowego z Lanckorony, Dobczyc, Przemykowa, Nowego Targu i z innych miejsc.

W dniu 28 czerwca przypadli Rosyanie pod klasztor PP. Wizytek na Biskupie i zaczęli to przedmieście jako też i na Pędzichowie rabować. Przeciwko tym konfederaci wyjechawszy, kilku na placu trupem położyli, dwóch żywcem zabrali i w zdobyczy na tych zabitych posiedli blisko do 200 czerwonych złotych, szpinkę dyamentową i guz czyli konchę szczerozłotą rubinami sadzoną, a o czem piszemy aby dać wyobrażenie jak w tych rabunkach bogacili się Rosyanie.

Tego samego dnia była i druga potyczka, którą zwiódł z Rosyanami na czele swojego oddziału pan Pruski, rotmistrz, między Brzeżanowem i Wolą Duchacką. Oprócz wielu rannych Rosyan, których uprowadzili, zabito dziewięciu. Ze strony konfederatów zabitych było trzech, to jest z towarzyszów usarskich: Kamiński, Białobrzeski i luzak pana rotmistrza Pruskiego. Rannych było pięciu a między temi Korytowski Rajmund suscepłant grodu krakowskiego [1]), któren jako szlachcic a dawny wojskowy choć już posiwiały rzucił pióro a wziął się do oręża i jako porucznik był w tym oddziale.

---

[1]) Jest to ten sam godzien pamięci mąż, który w roku **1771** ułatwiał konfederatom opanowanie zamku krakowskiego a jeden z męczenników za wiarę i kraj, bo wzięty w niewolę 9 lat w niéj cierpiał.

W dzień następny 29go czerwca jako w święto śgo Piotra i Pawła nierobiono żadnéj wycieczki ani broniono się Rosyanom gdyż spokojnie w obozie siedzieli. Dopiero w południe dnia 1go lipca pokazało się parę setni kozackich na drodze mogilskiéj. Lecz to spostrzegłszy z baszty mikołajskiéj furty rzeźnicy broniący téj baszty, wycelowali śmigownicę a to tak dobrze iż gdy wystrzeliła spadł z konia jak mówiono ich pułkownik na czele jadący i kilku kozaków, poczem cofnęli się zaraz.

W dniu 5 lipca dotarli już Kozaki aż pod klasztor PP. Wizytek. Przeciwko nim wyjechali konfederaci i 7miu na placu położyli, ranili przytem wielu. Z strony konfederatów zginął jeden pocztowy. Pana Ossowskiego towarzysza kula na wylot przeszyła, lecz żyje i wróżą mu życie.

Następnych dni wzmagały się siły konfederatów, gdyż z różnych stron przybywali do Krakowa i w tych dniach bywały liczne podjazdy szczęśliwe dla konfederatów bo żaden z tych nie zginął. Rosyan zaś po kilku na placu padało i żywych chwytano.

W dniu 11 lipca przed wieczorem niebo okryte zostało chmurami i z dnia noc się zrobiła, potem dał się słyszeć wielki grzmot jeżeli grzmotem można nazwać nieustający prawie huk do tego tak silny jaki słyszymy gdy piorun uderza. A podczas tego huku łyskało się znowu tak ciągle jakby pożar ogarnął niebios sklepienie, co wielki popłoch i trwogę po mieście roznosi, gdyż każden to uważał za rozpoczęcie się tych zniszczeń w których znikły z kuli ziemskiéj nie takie jak Kraków miasta a krocie ludzi śmierć znalazło. Jęczały dzwony kościoła, świeciły w domach poświęcone gromnice co od gromów chronią, a to nie powstrzymuje ani grzmotów ani błyskawic, i tak było prawie do północy, bo w pół do dwunastéj niebios sklepienia można rzec, rozwarły

się, gdyż nadzwyczajna jasność zaświeciła i wypadły nie policzone pioruny. Z tych o dwóch czyli jak niektórzy utrzymują o trzech to wam powiemy, iż uderzyły w kościół śtéj Anny. W kopule wszystkie okna zostały wybite, gzymsy pootłukane, w kościele sztukaterye gipsowe po obu stronach nad ółtarzami poodbijane, nad chórem i w facyacie od ulicy pilastry potrzaskane, a nad wieżami dachówka była oderwana. A o jednym z tych piorunów znów to, iż uderzył w karczmę przy Prądniku i jedynastu Rosyan zabił.

Podobnie straszną burzę ale do tego z ogromnym gradem pamiętają tylko starzy ludzie i dziwnem zdarzeniem nawiedzony był tą Kraków także 11 lipca w r. 1702. A dzień ten był im pamiętnym bo w nim August IIgi na czele 30to tysiącznego wojska wyruszył z Krakowa przeciw zbliżającym się Szwedom, a wyruszył z małą nadzieją zwycięztwa bo w dniu tym także Stanisław Szembek prymas a natenczas biskup kujawski z polecenia tego króla wywozi skarby królewskie ze zamku zabezpieczając te od Szwedów gdyby Kraków opanowali. A gdy się tak stało ztąd też burza ta od wielu była wzięta za przepowiednią opanowania znowu Krakowa przez Rosyan i przecierpienia tych nieszczęść na jakie wówczas jego mieszkańcy skazani zostali. Nie przychylni konfederacyi a złośliwi, mówią, że co dotychczas nie dokazali konfederaci w swych wycieczkach z Krakowa, to dokazał piorun téj burzy zabijając w karczmie 13 Rosyan.

W dniu 12 lipca doniesiono Czarnockiemu marszałkowi, iż będący na warcie w bramie sławkowskiéj porucznik z garnizonu miejskiego imieniem Ciszek, poszedł na mur ponad zwodem téj bramy i z armat tu stojących powydobywał kule. Gdy się o tem przekonał sam marszałek wraz z burmistrzem, zaraz go do więzienia na ratusz zaprowadzić kazano. Tu gdy się wzięto do niego,

wykryto, iż ten zbrodzień przekupiony od nieprzyjaciół rublami, chciał im tym sposobem ułatwić zdobycie téj bramy. Ale tu szło o to jeszcze, jakim on sposobem zniósł się z Rosyanami, i czyli w Krakowie jest więcéj jemu podobnych zdrajców. I dowiedziano się o tem gdyż jak go rozciągniono na ławie a pachołek podniósł bat w górę, on wyśpiewał co tylko wiedział. A wiedział że Icek tandeciarz z Kazimierza znosi się z Rosyanami gdyż on go do tego namówił poparty nąmową 80 zaledwie rublami, ale z obietnicą złotych gór gdy to zrobi. Przywiedziony Icek na ratusz, gdy się wypierał tego, użyto znów bata a po trzech cięciach potwierdził co Ciszek powiadał i zeznał że on to zrobił z namowy oficera kozaków rosyjskich, a przynajmniéj mówiącego że nim jest, któren przebrany za żyda nie wie jaką drogą przybywa do Krakowa. Gdy się zaś zapytano jego, czyli wie kiedy ma być w Krakowie? nie odpowiedział, tylko zaczął sobie coś mruczeć po żydowsku. Podczas tego mruczenia jeden z drabów miejskich umiejący po żydowsku, bo przechrzta, posłyszał, że on wymówił głośniéj to nazwisko, jakiegoś żyda Jam Tob i zawiadomił o tem pisarza miejskiego któren zaraz krzyknął na niego:

— Gadaj żydzie bo już Jam Tob przyznał się do wszystkiego, bo jak nie będziesz gadać, to ci brodę każemy ogolić, a znasz zapewne tę historyę z waszéj księgi Szcywat Nyssarar o tym żydzie który z grobu powstawszy opowiadał jak wielkie męki cierpi iż umierał z ogoloną brodą!

To tak przeraziło owego Icka, iż zaczął się trząść i trzęsącemi rękoma chwycił się za brodę a zdawało się że ją ciągnie ażeby się przekonać czyli ją ma jeszcze. Widać, że to przekonanie uspokoiło go poniekąd, gdyż był w stanie choć bełkocącym językiem uczynić wyznanie, z którego dowiedziano się iż on wzywał tylko pomocy zmarłego rabina krakowskiego co się zwał Jam

Tob aby mu przypomniał co napisał w swéj Niszny jak w takim razie postąpić mu wypada bez obrazy Boga. A że pomiędzy żydami tak głupie jak on żydy znajdą w swych tałmudach zawsze tego co szukają bo choćby najmędrsze rady i nauki przekręcą jak chcą, więc i jemu musiało się coś takiego przypomnieć co go skłoniło jak mniemał bez obrazy Boga do następnego potem wypowiedzenia.

— Kiedy ten kozaczy syn takie biede zrobił mnie, niech on wespoły cierpi, więc doniosę sławetnemu sądowi, iż dziś wieczorem mamy się zejść z niem w kruchcie staréj bużnicy.

Po tych wyznaniach kazano go odprowadzić do więzienia a postanowiono postępując daléj, przedewszystkiem przekonać się czyli on prawdę mówi o tym rabinie Jam Tob. Sprowadzono więc zaraz na ratusz dwóch tak zwanych Nelamdinów nauczycieli z bużnic i dwóch belferów z ich szkół i zapytano ich czyli znają Jam Toba.

— Aj waj krzyknęli wraz, któżby go w naszem mieście nie znał!

A jeden z nich za najmądrzejszego miany Mosiek Fragner powiedział:

— Nawet między Amhanrecani co się to nic nie uczyli a są podług Talmudu obrzydliwością, nie będzie taki żeby o Jam Toba niesłyszał.

— Gdzie on mieszka?

Zapytany odpowiedział:

— W Niebie!

Poczem dowiedziano się od niego, że prawdę mówił ów Icek tandeciarz i powzięto tę wiadomość, że ten Jom Toban był poprzednio rabinem w Pradze czeskiéj, a jako wielce uczony a pobożny był powołan na rabina do Krakowa lecz umarł już w roku 1657.

Po téj zaspokajającéj wszystkiéj inkwizycyi zaczęto radzić jak tu pochwycić owego szpiega rosyjskiego i

gdy uradzono kazano przyprowadzić z więzienia Icka i powiedziano mu iż wieczór pod strażą dwóch konfederatów za żydów przebranych uda się na miejsce umówionéj schadzki i tam czekać będzie przybycia tego szpiega. Ale mu także powiedziano że ta straż uzbrojona będzie pistoletami i gdyby bądź w przechodzie bądź tam spostrzegła jakikolwiek i komukolwiek dany znak ostrzeżenia, wtedy mu palną w łeb z pistoletów. Na tę wyprawę wybrał sam pan Marszałek znanych mu z przebiegłości i z odwagi konfederatów. Ci zaś tak postąpili, że szczęśliwie nie zwracając niczyjéj uwagi przyprowadzili owego żyda i puścili do tego przedsionka bużnicy, a sami postawili się na straży po przed tą kryjąc się w sąsiedniéj szynkowni. Zaledwie w téj zawołali, aby im dano wódki, a widzą jak jakiś żyd wchodzi do tego przedsionka. Wtedy jeden drugiego zapytał: — On czyli nie on? — i obaj się zgodziwszy, iż zdradza go kozacza mina, w moment stanęli w drzwiach tego przedsionka trzymając do przybyłego wymierzone pistolety, ale nawzajem do siebie wymierzone w rękach jego zobaczyli i równocześnie usłyszeli świst kulek obok ich uszów przelatujących. I pewnieby od tych trupami leżeli, gdyby w téj chwili strzelania nie zatrząsł nim kryjący się po zanim ów jego spólnik ów żyd Icek. Na tak tym sposobem rozbrojonego przeciwnika rzucono się, a ujętego wśród tłumnie zgromadzonego żydowstwa posłyszanemi wystrzałami, wyprowadzono go i wśród wzmagającéj się liczby różnego stanu ludzi zawiedziono na Ratusz.

Ale dodać tu musiemy, iż on w chwili ujęcia oderwał przyprawioną brodę i rozdarł na piersiach swoje żydoskie ubranie i zobaczono dwa na tych zawieszone orderki i mundur oficera kozackiego. I że w dalszym pochodzie zrzucił z siebie i to ubranie a wtedy, coś tak ujmującego w jego twarzy ujrzano, coś tak poszanowa-

nie jednającego w jego postawie, iż nie widziano w nim ujętego szpiega ale jednego z tych męczenników, którzy wszystko przecierpieć zdołają dla Boga i ojczyzny. Gdy go zaś na ratuszu zaczęto badać wtedy mową wykrywającą w nim Litwina, nacechowaną jakąś poufałością i otwartością tchnącą, zarazem wdziękiem pełnym powabu i tkliwości to tylko powiedział:

— Wiem, że śmierć mnie czeka, ale i wiem, że napróżno mnie badacie o to jak się zowię, bo ja mojéj rodzinie nie zrobię téj hańby, iż jeden z nich zginął jako szpieg. I to wiem, czego wy nie wiecie, że nie szpiegiem, ale tym katem co mi ten łeb strąci zostałbym gdybym mógł, czegom łaknął zasycić pożerającą mnie tę nienawiść i zemstę ku tym im głupszym tym dumniejszym panom waszym, myślącym, że przodków chwalebne czyny wystarczają do pokrycia podłości i zbrodni ich potomków nie pomnącym, iż topią się szczenięta gdy się odrodzą.

To i co więcéj wypowiedział wykrywało, iż przez pogardę czyli też niesprawiedliwość jakiegoś pana stał się zaciętym nieprzyjacielem i wrogiem Polaków co skłoniło jednego z sędziów do powiedzenia:

— Jego mściwe serce, a mężne jak widać mogłoby go z czasem uczynić dla nas drugim Chmielnickim, któryby powtórnie sprowadził na kraj nasz nieszczęść brzemie jak tamten. Więc rozum radzi, aby się go pozbyć zawczasu, a nie unosić się tą nam wrodzoną wspaniałomyślnością, jak tego świadectwo mamy w dziejach narodu, ale obok tego i naukę jak drogo opłaconą ta wspaniałomyślność przez nas została.

Potem przemówieniu choć wszyscy sędziowie zgodnie zawołali „śmierć zdrajcom i szpiegom“ i aby śmiercią był ukaranym zawyrokowali, ale każdy z nich pragnął aby znalazł ułaskawienie tak ich serca dla siebie zniewolił.

I takby się pewnie stało, gdyby on szaleć nie począł. Bo czyliż to nie było szaleństwem, że przybyłemu księdzu, który go na śmierć przygotowywać miał, ani chciał powiedzieć jaka jego wiara, czy katolicka, czy grecka, ale mu zaczął prawić takie gorszące brednie, że te katolikowi pisać i katolikowi czytać ani się godzi. Co tak przeciw niemu wszystkich oburzyło, iż powtórzyli za jego sędziami śmierć zdrajcom i szpiegom, dodając a jeszcze takim bez religii potworom mogącym się stać łatwo plagą spółeczności ludzkiéj.

I wykonanemi zostały zapadłe wyroki śmierci na nim i na żydzie Icku, lecz gdy temu prawie już nie żywemu ścinał kat głowę on stał i patrzał na to co czeka tak spokojnie, iż nie drgnął żaden muszkuł w jego twarzy. Ani w oczach ani w niczem żadnéj zmiany nie widziałeś i w téj chwili i w téj ostatniéj kiedy nie dającemu zawiązać sobie oczów błysnął mu życia go pozbawiający miecz kata.

Patrząc na to niemożna było oprócz innych wywołanych wówczas uczuć nie pomyśleć, że religijne wychowanie tego nieszczęśliwego, byłoby go może zamieściło w liczbie tych bohaterów, którzy żyją i żyć nie przestaną w naszéj pamięci.

W dniu 16 lipca pomnożył liczbę konfederatów podczaszy N. N. [1]) przybyły do Krakowa w towarzystwie 600 ludzi tak konnicy jako i piechoty i przedpołudniem zwykłą wykonali przysięgę na rynku Krakowskim. — Z przybyciem tego postanowiono zwieść potyczkę z Rosyanami, jakoż w dniu 18 lipca popołudniu o 2giéj go-

[1]) Nie wymieniamy jego nazwiska dla tego, że go za zdrajcę uznano a znamy z dziejów jak do wydania tak strasznego wyroku skorzy jesteśmy w chwilach niepowodzeń i nieszczęść. Więc chociaż z tego co wam powiemy sądzić można że był nim, jednak od ogłoszenia jego nazwiska wstrzymujemy się z tego powodu i z innych które mamy.

dzinie uderzono na obozujących pod Prądnikiem. Konfederatom w początkach poszczęściło się i ze wszech stron okoliwszy nieprzyjaciela wielu na placu trupem położyli i taką trwogę roznieśli, iż poczęli błagać o pardon.

Na to ich błaganie Konfederaci wstrzymali się żądając aby broń złożyli, gdy wtem obie strony spostrzegły nadchodzącą znaczną pomoc Rosyanom z Czyżyn, co im dodało odwagi do dalszego odporu a Konfederatów zmusiło po dwógodzinnéj walce do powrotu do Krakowa. W téj potyczce znaczną klęskę ponieśli Rosyanie, bo mało który nie był ranny a zabitych mieli 156. Ze strony zaś Konfederatów poległo 53, ranionych było 28 a w odwrocie wzięto dwóch towarzyszów i porucznika zamkowego.

Dnia 20 lipca o godzinie 11téj przed północą przybył do Krakowa Bronicki Marszałek Konfederacyi Sanockiéj z 4,000 ludzi tak konnych jako i pieszych. Miał i kilka armatek dość amunicyi i tę noc na rynku i ulicach miasta przepędzili. Z nim wtedy przybył książe Lubomirski Marcin, który chcąc poświęceniem swojem dla kraju zatrzeć popełnione występki, uzbroił pułk huzarów złożony prawie ze zbiegów z wojsk pruskich, austryackich, z opryszków podgórskich i z temi chciał dać pomoc oblężonemu Krakowowi. Ale ci rabusie zaraz téj nocy popełnili kilka kradzieży, a nawet gwałtownych, bo z wyłupieniem drzwi kramów pasamoniczych. Magistrat powziąwszy o tem wiadomość i widząc nie w klubach karności trzymaną tę rzeszę i obawiając się aby Lubomirski coś podobnego nie zrobił jak przed laty, gdy napadł szląskich kupców jadących z płótnem i zrabował [1]), zaniósł prośbę, aby jego huzary jako kon-

[1]) Musimy tu dodać, że nie uszło mu to bezkarnie, bo własny jego ojciec Antoni starosta Kazimirowski za poprzednie zboczenie

nica mniéj w oblężonem mieście przydatna z Krakowa wyruszyła w góry. Ale Lubomirski uprosił panów marszałków i pozostał lecz nie nadługo, bo gdy znów podwładni jego odarli na ulicy kobietę, magistrat ponowił prośbę aby opuścił Kraków. Zgodzono się na to i wyszedł dnia 26 lipca a obrona Krakowa nieponiosła ztąd żadnéj straty, bo męztwo jest jedną z cnót a te jego huzarom obce były jak się to okazało, bo zaraz w pierwszéj utarczce z nieprzyjacielem pod Makowem uciekł w 13 koni na Węgry do teścia swego, a za nim rozpierzchły się jego huzary.

Trzeciego dnia po powyższem wzmocnieniu się załogi Krakowskiéj, to jest 23go lipca już pod wieczór gdyż kwandrans na 7mą, naglony od swych podwładnych dowódzców zdobył się pan marszałek Konfederacyi Krakowskiéj na niespodziany napad nieprzyjaciela rozłożonego na przedmieściu Wesoła a Piaskami wsią miejską, i ruszono na niego i była potyczka żwawsza jak dnia 18go lipca, bo nieprzyjaciół zastali więcéj i z bateryą kilku armatami uzbrojoną. Lecz pomimo tego dzielnie się sprawili Konfederaci a zmierzch nocy położył koniec walce po 9téj godzinie i nieodstąpili z placu przez nadeszłą noc i dopiero z ranną zorzą dnia następnego

z uczciwéj drogi oddawszy go do swego regimentu w Kamieńcu stojącego załogą gdy się zrowu o téj zbrodni dowiedział, ujął go jako zbiega z tego regimentu i zawiózł do téj fortecy oddając pod sąd wojenny. A jak drugi Brutus domagał się przewodnicząc temu sądowi, aby śmiercią był ukarany; lecz sąd skazał go na wieczne więzienie. Ojciec atoli a z nim cała rodzina pragnąc aby wyrok był jak najściśléj wykonany wyjednali sobie u Augusta III. iż w skutku zniesienia się z dworem wiedeńskim był przewiezion z Kamieńca do fortecy Monkacz na Węgrach. Tu dowcipem, wielu talentami i piękną postawą pozyskał względy komendanta twierdzy jenerała Hadyka i miłość jego córki. Zkąd poszło, iż ten jenerał za pośrednictwem dworu wiedeńskiego po uzyskanem od Augusta III. dla niego ułaskawieniu dając mu za żonę swoją córkę wrócił go Polsce.

Konfederaci wrócili w mury Krakowa zabierając z placu boju swoich zabitych i rannych. Ze strony Rosyan zebrano trupów i rannych aż 3 sienne wozy a Konfederatów 16 poległych a między temi Pilicz chorąży z pod pancernéj chorągwi a rannych 11 różnego stopnia.

Postanowili Konfederaci aby część ich obozowała na Krzemionkach i w tym celu w dniu 26 wieczorem wyruszyli z Krakowa, ale czyli to przypadkiem czyli zdradą zastali tam już czekających Rosyan więc się cofnęli tracąc 3 ludzi a Rosyanie rozłożyli na téj górze swój obóz Na drugi zaś dzień to jest dnia 27 lipca przed wschodem słońca Rosyanie otoczyli całe miasto swojemi pikietami. Gdy te pikiety w następny dzień objeżdżał jakiś jenerał rosyjski, wtedy z wału zamkowego strzelono do niego tak trafnie iż został zabity.

Dzień 29 i 30 spokojnie przeminęły aż do wieczora w którym Rosyanie zaczęli strzelać z armat do miasta z trzech stron od Krzemionek od Zwierzyńca i Wesołéj i strzelali do 3ciéj po północy bo noc była jak dzień od świecącego podtenczas księżyca będącego w pełni. Wśród tego strzelania, gdy Czarnocki marszałek województwa Krakowskiego przekonywając się czyli miasto jest jak należy strzeżone objeżdżał bramy, wtedy gdy wjechał w środek bramy Floryańskiéj koń jego ukląkł przed będącym w téj obrazem Najświętszéj Panny. Co przypomniało pojawienie się Jéj podczas pierwszego uderzenia na tę bramę nieprzyjaciela. Gdy zaś jak wtedy tak i w tę noc jego strzelanie ani w murach ani w ludziach żadnéj straty nie zrobiły, na podziękowanie za Jéj opiekę odbyła się o godzinie 9téj w dniu następnym przed tym obrazem wotywa i powiedział stosowne kazanie ksiądz Garlicki kapelan Konfederacyi. A że była to niedziela poświęcona czci Śgo Ignacego Lojoli fundatora OO. Jezuitów, więc wołał do słuchających aby jak ów Święty szukając rycerskiéj sławy w obronie

Pompeiopola, serca drugich już w oblężeniu słabiejące posilał swem mężnem sercem, żeby oni także takiemi byli naśladując go i to nie tylko w tem ale także szczególniéj w ślepem posłuszeństwie zwierzchnikom jak on który mawiał: — „By mnie Ojciec Śty w łódzce spruchniałéj bez wiosła i żaglów i bez sternika wyprawił i za morze płynąć kazał, jabym to z ochotą uczynił". A z was panowie Konfederaci coście poprzysięgli takie posłuszeństwo może nie jeden w téj chwili myśli: A coby to była za rostropność? Tak się i tego Świętego gdy to mówił zapytano, a on odpowiedział. „Rostropność nie tak temu służy co usługuje jak temu co rozkazuje".

Tak zachęcał panów Konfederatów ksiądz Garlicki do naśladowania Śgo Ignacego, nie tylko w tem ale podobnie i w innych cnotach przez których wypełnienie dostąpić człowiek musi czego pragnie. O gdyby te ziarna prawdy siane tu przez tego z cnót i z wymowy słynnego kapłana mogły być zasiane w sercach wszystkich Konfederatów a zasiew ten nie przepadł, nieomylnie wtedy powstrzymane byłyby te nieszczęścia w które nas nieposłuszeństwo i niezgody w téj Konfederacyi wtrąciły.

W dniu tym 31 lipca, a potem nabożeństwie, zebrało się jako ochotników 40 Konfederatów i bramą Mikołajską wyszli na Wesołą. Tu w stojącym dworku Archipresbitera Panny Maryi (Nro) napadłszy na będącą w niem komendę rosyjską zabili jéj komendanta i 20 żołnierzy, innych poranili i rozpędzili. Konfederaci nie mieli czasu do zabrania broni i innych rzeczy bo po téj zaledwie pół kwadransowéj utarczce z pomocą nieprzyjacielskie wojsko dostrzegli; śpiesznie do miasta powrócili mając tylko 3ch lekko rannych.

Z dnia 31 lipca na dzień 1 sierpnia to jest z niedzieli na poniedziałek już po północy Rosyanie Kazimierz zajęli bo był tak niedbale strzeżony iż bez żadnego wystrzału to nastąpiło. Natychmiast postąpili pod miasto i poczęli

wyrąbywać drzwi do Grodzkiéj bramy. Ale tu strzałami z bramy, z murów i baszt powitani, odstąpili, a za odstępującemi wyruszyli z miasta pp. konfederaci, i zmusili ich ustąpić za most stradomski. Tu rozpoczął się bój trwający do 9téj godziny rannéj, bój z wahającem się zwycięztwem na obydwie strony, bo już Rosyanie ośm armat zabrali i już cofali się konfederaci, lecz w nowym napadzie odebrali z tych trzy i wyparli ze Stradomia, który okrył się ich trupami, a szczególniéj wał pod Bernardynami i przed bramą Grodzką. Ale pp. konfederaci ponieśli dość znaczną stratę, gdyż rachowano zabitych i w niewolę wziętych do 200.

Po tem odparciu Rosyan od Krakowa zażądali zawieszenia broni, i konfederaci zgodzili się aby trwało przez dwa dni. Po upływie których w dniu 4 sierpnia o w pół do 9éj ponowili Rosyanie swój szturm do miasta a to z trzech stron to jest od bram: mikołajskiéj, sławkowskiéj a głównie grodzkiéj trwający do w pół do 2éj po północy; będący na to przygotowani konfederaci, a głównie mieszczanie krakowscy odparli ich dzielnie strzałami z armat i moździerzy wyrzucającemi kule, granaty i kartacze, a zniewalającemi Rosyan do zaniechania dalszego szturmu po stracie przeszło 200 ludzi, kiedy pp. konfederaci zaledwie trzech i to nie śmiertelnie rannych mieli.

Chcąc Rosyanie Kraków zmusić do poddania się, umyślili zapalić go i to ogniem ze spalonych przez nich przedmieść. I w dniu 5 sierpnia o godzinie w pół do 2éj po południu rozpoczęli to palenie a naprzód od stajen biskupa Sołtyka i od dworku księcia Augusta Czartoryskiego wojewody ruskiego położonych za Wiślną bramą. Z drugiéj zaś strony miasta zapalono Kleparz w którym gdy zobaczono palący się kościół śgo Floryana naszego patrona od ognia, wtedy to trwogą przejęło mężczyzn, a słyszałeś lamentujące a wołające kobiety: „Biada, o

wielka biada nam, bo to znak, że nas ten patron tylu cudami sławion już opuszcza.“ I spalił się wtedy ten kościoł tak, że go potem prawie zupełnie odmurowywać musiano. W tym dniu pożaru zniszczył ogień w sąsiedniéj Kleparzowi ulicy Lubicz piękny dworzec rodziny Pernusów zamożnych niegdyś mieszczan, a szerząc się daléj objął nową i starą Wesołą, w któréj spalił się kościół ſgo Mikołaja.

W dniu następnem to jest 6go sierpnia zapalono znów Nowy Świat, a na Piasku młyny królewskie a ogień ztąd w tych przedmieściach wszystko wypalił tylko stały wśród płomieni nietknięte dwa kościoły które też ocalały a to kościół OO. Karmelitów i OO. Kapucynów.

W dniu 7 sierpnia palono daléj Piasek około tak zwanego Górnego Młyna, Pędzichów i Biskupie, i wtenczas spalił się w tym ostatniem przedmieściu stojący kościół wraz z klasztorem PP. Wizytek.

W czasie tego trzech dniowego pożaru wśród palących się domów i świątyń walczyli Rosyanie z konfederatami, którzy codziennie wycieczki z miasta na tych podpalaczy robili. Ale oprócz tych walk były wtedy i inne a to Rosyan z bezbronnemi mieszkańcami palących się przedmieść, bo nietylko różne gwałty popełnione, a do ratujących swoje domy lub sprzęty strzelano i niemało przez nich zabitych spaliło się wraz z tem co im Bóg dał. O byłato o pomstę do Boga wołająca klęska bo niszcząca tyle niewinnych rodzin, odbierająca tylu niewinnym życie!

Nieświadomi innych zdarzeń, gdyż jedne nie doszły naszéj wiedzy, a drugie jako mniéj na wiarę zasługujące trudno powtarzać, przeto z tych tylko to jedno dajemy jako opowiedziane przez tę że tak ją nazwiemy mężną Polkę. Była to Marya Popielecka jedna z tych odznaczających się pięknością w Krakowie tak zwanych mączniczek, która to opowiadała:

„Kiedy paliły się Górne Młyny i kiedy dom rodziny naszéj tuż za temi położony ogarnął ogień, wtedy mój ojciec zabrawszy z skrzyni co miał grosiwa zawołał na mnie prawie bezprzytomną:

— Maryno, zdejm i weź krucyfiks z nad łoża mojego bo ten najdroższy mi skarb po ojcach jak ich tak i naszem zbawieniem będzie.

I był zbawieniem bo gdyśmy ledwie z palącego się domu wybiegli chwyta mnie za rękę jakiś oficer rosyjski, ojciec wydrzeć mnie usiłuje, lecz w tem szamotaniu ten potępieniec z wydobytym pałaszem ciął tak w głowę ojca, iż pada bezprzytomny. Na ten widok ja nie wypowiem com uczuła, ale to wam powiem, że jak wściekła rzuciłam się na tego mordercę ojca mojego, a będąc tylko zbrojna wspomnionym krucyfiksem, ugadzam niem tak w skronie oficera że zdaje mi się iż nieżywy padł na ziemię. Bo w téj chwili ojciec odzyskuje przytomność, a wspartego na moich ramionach uprowadzam nie spojrzawszy nawet co się za nami dzieje.“

Ale temi pożarami nie uzyskali Rosyanie zamierzonego celu, choć w ten straszny czas wśród dnia dymy jakby mgłą okrywały Kraków, a w nocy od łony rozpostartéj na niebie aż widno w nim było, w te dnie i nocy padał na miasto jakby ognisty dészcz z iskier palących się jego przedmieść. Jednak nad tem miastem nad którem łzy wtedy wylewać trzeba było, widoczną Bóg rozciągał swoją niewysławioną opiekę, bo chociaż wszyscy co żyli w Krakowie z niewypowiedzianą odwagą i wytrwałością ratowali go od pożaru, ale to było nad ludzkie siły gdyby je nie sparła Opieka Boska.

Minęły można powiedzieć szczęśliwie te opłakane trzy dni dla Krakowa, i tak minął i czwarty, a to dzień 8 sierpnia, w którym Rosyanie o godzinie 11téj przed północą podstąpiwszy pod mury miasta, dawszy do

nich zaledwie kilka armatnich strzałów, odpędzeni zostali od wypadłych na nich z miasta konfederatów.

W dniu 9tym równo ze wschodem słońca, wysłanym był od marszałka Czarnockiego do Rosyan, jak mówią z propozycyą kapitulacyi Wielogłowski konsyliarz, lecz wrócił bez téj zawarcia, ale ustały strzelania i dzień ten można nazwać dniem wypoczynku z obu stron, gdyż był spędzon bezczynnie przez Rosyan, konfederatów i Krakowianów.

W następny dzień 10go sierpnia o godzinie 9éj z rana na podziękowanie Bogu za tak cudowne ocalenie Krakowa a polecenie dalszéj opiece, była solenna wotywa z wystawieniem Najś. Sakramentu w kościele Najś. Panny Maryi przed wielkim ołtarzem na którym zamieszczono obraz Najś. Panny Maryi Łaskawéj, bo przez nią najłatwiéj nam uzyskać od Boga to o co prosimy. Przez całą tę wotywę nietylko magistrat ale mnóstwo mieszczan i pospólstwa klęczało z zapalonemi świecami.

Potem o godzinie 11éj wyszło z miasta blisko 200 piechoty konfederackiéj bramą poboczną przy zamku, i tuż prawie pod tym zwiedli bójkę z Rosyanami w któréj zginęło 16, a ze strony konfederatów 3, a rannych było 4. Lecz za ten napad znów Rosyanie zaraz po południu zapalili tamże ponad Wisłą będące ogrody królewskie, starościańskie i Smoleńsk cały wśród którego pożaru zgorzał kościół Bożego Miłosierdzia na tym Smoleńsku i będący przy nim szpital, założony przez Jana Żukowskiego.

W czasie tego pożaru zapalił się w mieście w ulicy kanonnéj dom księdza Franciszka Potkańskiego sufragana i oficyała krakowskiego, i ogień cały ten dom ogarnął, a w téj chwili kilka bomb i kul rosyjskich padło w miasto. A chociaż te ani żadnéj straty w ludziach a nawet szkody w zabudowaniach nie zrobiły i chociaż tylko ten jeden dom ogień spalił, jednak to rozniosło wielką trwogę w mieście, gdyż się przekonano,

że ogień ten był podłożonym wewnątrz domu przez jakiegoś podpalacza i zaczęto mniemać, iż Rosyanie mają w Krakowie ludzi im sprzyjających, a raczéj ich zwyczajem przekupionych dla dopięcia zamierzonego planu pożaru Krakowa wśród którego ten zdobyć im łatwiéj będzie.

A że jak byli i są u nas zawsze tak ograniczeni ludzie, którzy w spadłych na nas nieszczęściach zawsze tych powód znajdują jak się im zdaje w zdradzie a do tego są tak bezczelni, iżby niewiedzieć kogo tym zdrajcą zrobili, więc też wtedy krzyknęli wraz, że ksiądz sufragan chcąc sobie wyjednać wszechwładną protekcyę Rosyi, dla pozyskania jakiegoś biskupstwa, sam był tym podpalaczem, zwłaszcza że nie swego ale kapitulnego domu. A tak został za zdrajcę uznanym przez nich ten czcigodny kapłan, któren już od 30tu lat przodkując duchowieństwu dyecezyi krakowskiéj jako sufragan dał liczne dowody, że obcą dla niego była żądza znaczenia i bogactw, bo dość powiedzieć, że co tylko posiadał to obracał na pomnożenie chwały Bożéj i na wsparcie bliźnich.

Ale nad tych głupców znaleźli się jeszcze głupsi, którzy o tem posądzeniu od wszystkich rozsądnych z oburzeniem przyjętem donieśli temu starcowi. Wówczas powiedział on tylko: „Odpuść im Boże tak jak ja im odpuszczam, bo nie wiedzą co czynią.“ Ale to zadało mu bolesną ranę i przyczyniło się, iż postanowił złożyć sufraganią, jakoż ją zaraz złożył oświadczając, że starość jego już go niezdolnym uczyniła do wypełniania jak należy przyjętych obowiązków w zastępstwie więzionego podówczas od Rosyan biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka. Tym co zrobił najlepiéj upokorzył i zawstydził swoich nieprzyjaciół dając im dowód, że ani sufraganem, ani biskupem być nie chce.

Jedynastego sierpnia w pół do 10éj przed południem, a dnia 12go o godzinie 4 rano wyjeżdżali konfederaci

za miasto bramą sławkowską. W pierwszem dniu w krótkiéj utarczce, po przed Wizytkami, ś. Floryanem i Pernusowskim ogrodem zabitych mieli 6 a rannych 9; nieprzyjaciół jak sądzono, przeszło 20 trupem położono. W drugim dniu po żwawéj walce zmusili do odwrotu Rosyan, ale prawie cały dzień bo aż do 6éj wieczornéj godziny uganiali się za niemi w położonych w téj stronie przedmieściach, gdyż w odwrocie znaczna część Rosyan szukała ocalenia kryjąc się tu w spalonych domach. W dniu tym stracili 23, a rannych mieli 17 konfederaci, Rosyan zabitych i rannych najmniéj trzykroć tyle.

Po skończonéj téj bójce znowu zapalono w ulicy Długiéj na Kleparzu i poza ulicą Warszawską pałac i zabudowania na tak zwanym Szlaku, zkąd ogień rozszerzył swoje zniszczenie i w téj ulicy spalił starożytny kościół śgo Krzyża, bo już w roku 898 tu stojący, i kościół śgo Walentego z szpitalem zarażonych trądem.

Po bezczynnie przeszłym dniu 13ym, w którym Rosyanie zmocnili się przybyłą pod Kraków dywizyą jenerała Krasotnikowa rozpoczęli w dniu 14 o godzinie 3 po południu strzelać z armat do murów mikołajskiéj furtki a chociaż przeszło 200 razy strzelili nieuszkodzone zostały, a oni odstąpili. Że w następny dzień 15 sierpnia było święto Wniebowzięcia N. M. P., więc ustanowiono odbyć po mieście uroczystą procesyę, jakoż o godzinie 9éj wyruszyła z kościoła N. Maryi Panny na rynek krakowski z Najś. Sakramentem, i obrazem Najśw. Panny Łaskawéj niesionym przez dyakonów w dalmatykach, w asystencyi wszystkich zakonów w mieście będących jako też konfederacyi, magistratu, pp. kupców i cechów. Ksiądz Bodurkiewicz Kazimierz kanonik krakowski mąż dla cnót i nauki wielce w tem swojem rodzinnem mieście od wszystkich poważany, celebrował na téj procesyi.

W południe przysłał jenerał Apraxyn wezwanie aby Kraków się poddał, bo w przeciwnym razie, gdy ten

zdobędzie, to wszystkich w nim wymordować rozkaże. Ale mu dano tę krótką odpowiedź: *Iż strachy nie na Lachy.*

Nadeszły potem niestety gorzko opłakane dnie dla Krakowa a to z dniem 16 na 17ty sierpnia, to jest z wtorku na środę, bo wtedy po północy przed godziną 3cią Rosyanie uderzyli na miasto z trzech stron, to jest do bramy Sławkowskiéj, Nowéj i do furtki mikołajskiéj. Najsilniejsze z tych uderzeń było na bramę sławkowską, bronioną przez kupców, cech krawiecki i konfederatów. Na Rondel przed tą bramą który za czasów króla Sobieskiego poczęto murować, a dotychczas niedokończono, Rosyanie wprowadzili swoje armaty i niemi wrota w téj bramie wystrzelili. Lecz powstrzymani zostali tak ogniem broniących jako też tem, że im trzeba było przebyć fosę bo most zwiedziono a nawet zniszczono. Ale do téj przebycia byli przygotowani miawszy z sobą drabiny, więc tych używszy przechodzić poczęli. W tym przechodzie jak dużo ich trupem położono aby pojąć, dość wiedzieć, że ich trupami tak się zasypała fosa, iż po tych na drugą się stronę dostali. Zostali panami bramy a jéj obrońcy cofnęli się w miasto uprowadzając kilka armat, i rozpoczęła się po przed tą bramą nowa walka. Dowódzcą broniącym tu miasta był Bronicki, marszałek konfederacyi sanockiéj, ten część wojska z 3 armatami ustawia w bocznéj przecznicy od strony Księży Pijarów, pomiędzy basztami ciesielską a stolarską, a drugą częścią pod nim walczących znów 3ma armatami zajął miejsce po przed kościołem śgo Marka. Tak wzięci Rosyanie w krzyżowy ogień, choć ciągle się kusili wkroczyć w miasto, ciągle byli powstrzymywani dawanym do nich ogniem, który z nich nie małą po przed bramą wzniósł mogiłę. Wraz trzeba było uderzyć na stojących w przecznicy i ulicy, by nie być w środek wziętemi. Uderzenie takowe trzeba znowu było uskutecznić nagle

i silnie, a tu ciasną bramą zaledwie po kilku wypadających, i do tego dzielących się na dwie strony, łatwo było i bez armat z ręcznéj broni słać trupem, jako też było, a co powstrzymało Rosyan w téj zdobytéj bramie do 9éj godziny rano.

Nową bramę bronioną przez cech rzeźniczy i konfederatów pod dowództwem podczaszego N. N., zdobyli Rosyanie nie po tak morderczéj walce jak bramę sławkowską, bo niespodzianie, a jak inni sądzą, przez zdradę tegoż podczaszego, przeszli bez wszelkiego odporu przez pierwsze mury, i wszedłszy z pomiędzy murów w bramę, o godzinie 7éj rano wrota wybili zmuszając obrońców znowu do ustąpienia i do ulicznéj walki. I rozpoczęła się bez dowódzcy bo ten zniknął. — Na szczęście ksiądz Garlicki kapelan konfederacyi, któren z bramy sławkowskiéj tu przybył, aby jak tam tak tu do obrony w imie Boże walczących zachęcał przypomnieniem że życie swoje niosą za wiarę, za braci swoich, i za całość Rzeczypospolitéj. Lecz zobaczywszy że tylko ich odwaga i poświęcenie powstrzymuje nieprzyjaciela, a brak im dowódzcy, objął nad niemi sam to dowództwo. Wpada on między walczących, a wzniosłszy po nad siebie krzyż trzymany w ręku, rozdziela ich na dwie części, jednych zostawia w leżącéj na prost téj bramy w przecznicy mikołajskiéj, a drugich wiedzie ku Małemu Rynkowi, i tym sposobem podobnie jak przy bramie sławkowskiéj w krzyżowy ogień wziąwszy chcącego wkroczyć w miasto nieprzyjaciela, powstrzymuje. Gdy w tym ataku Rosyan trupem na placu legło 470, i ledwie nie tyle rannych było, a między niem w rękę pułkownik Igielstrom prowadzący ich, cofnęli się wtedy w bramę i ustała z obu stron walka, w któréj ze strony konfederatów zabito 58 i raniono 23, a mieszczan, studentów i rzemieślników prawie w podobnéj

liczbie. Aby dać wyobrażenie o tych walkach przy Sławkowskiéj i Nowéj bramie, dość powiedzieć, że rynsztoki przy nich tak krwią płynęły, jakby spadłym deszczem podczas nawałnicy. Lecz powracając do Nowéj bramy, w któréj powstrzymała nieprzyjaciół, można przyznać, odwaga i przytomność księdza Garlickiego, powiemy, że tu po ustałéj walce wyjechał z téj z trębaczem w parlamentarz, oświadczający, iż wysłanym jest od jenerała Apraxyn komendanta nad całem wojskiem rosyjskiem oblegającem Kraków, z zawezwaniem do poddania się i że zaręczeniem zapomnienia tak miastu, jako i konfederatom wszystkich poprzednich działań. — Wtedy między konfederatami rozpoczął się żwawy spór, bo jedni widzieli niepodobieństwo dalszéj obrony i byli za poddaniem się, a drudzy ani o tem słyszeć chcieli; lecz pierwsi przemogli. Ale nie było takiego coby umowę z Rosyanami zawarł, bo w czasie jeszcze szturmu do miasta zniknął marszałek konfederacyi krakowskiéj, gdyż jak jedni mówili, iż mocno zasłabł, a drudzy, iż do zbytku wołał: „Dawaj wina, póki stanie Secymina" i to go o słabość przyprawiło. Bronicki zaś marszałek konfederacyi sanockiéj, należąc do niechcących się poddać, niechciał w żadne układy wchodzić tem więcéj, że nie wierzył w żadne umowy z tym jenerałem, którego znał działania kiedy hajdamaki wyrzynali Polaków w województwie bracławskiem i kujawskiem, a on oblegał konfederatów w Berdyczowie i jak z niemi tyrańsko postąpił, kiedy tych głodem do poddania się zmusił.

Magistrat przeto miasta Krakowa zebrawszy się na radę w ratuszu, gdy rozważył, że dalsza obrona narazić tylko może na spustoszenie gmachów, na rabunek świątyń, zakładów i mieszkańców, i na różne inny gwałty, i choćby jeszcze zdołano odeprzeć Rosyan, to jakże się tu dałéj bronić, wśród panującego w mieście wielkiego głodu tak na ludzi jako i na konie, iż takowe już po ulicach

padały, a ubodzy z głodu umierali. Rozważywszy to i pomnąc, że już w tem 8miu niedzielnem oblężeniu wyczerpały się i siły ludzkie, do podołania jeszcze dłużéj tym nieszczęściom, które kto przeżył to do zgonu tych niezapomni, a gdy opowiadać to będzie, to nie każdy wiarę da co przecierpieć mogli wówczas Krakowianie. W takiem opłakanem położeniu radzących, krótka była narada, i zgodzono się na poddanie się Rosyanom, i wysłano do jenerała Apraxyna prezydenta miasta Jana Kozłowskiego, lonara miasta Józefa Bałkanowskiego i rajce Macieja Bajera. Tych wysłanników przyjął on jak się zdawało, z serdeczną prostodusznością, mówiąc:

— Iż wiem, że nie w waszéj mocy było niepołączyć się ze zbuntowaną szlachtą, a wreszcie niema i o tem co mówić, kiedy jak kazałem donieść, puszczono jest wszystko w zapomnienie. Ale to wymawiam sobie że musimy oblać naszą umowę, a że prędko tego pragnę, więc ruszajcie napowrót i powiedźce, aby nas po przyjacielsku przyjęto, a my za pół godziny wchodzimy do miasta. Ale, ale gdzież będziemy pić?

Osądził prezydent Kozłowski, że tu na nic się zdadzą wszystkie umowy piśmienne, bo znał czem one były, i są, gdy nas się przeciwna strona nie boi, więc tych nie żądając oświadczył:

— Słowo zapewnienia, jakieśmy usłyszeli od JWgo jenerała jest słowem zabezpieczającem wszystkim którzy są w Krakowie, ich mienie, życie i wolność. Jest słowem wyrzeczonem przez niego w imieniu jego potężnéj monarchini, więc po tem słowie z jéj tylko obrazą możnaby żądać piśmiennych umów, więc tych nie żądamy. Za pół godziny jako przyjaciół oczekują Krakowianie, a ja do siebie proszę tak pana jenerała jako i tych panów pułkowników aby przejeść i napić się co Bóg da.

Poklepał go za to po ramieniu mówiąc: „*Stupajtie.*“

O godzinie 11éj przed południem Nową, Sławkowską bramą i furtką Mikołajską zaczęło wchodzić w miasto wojsko rosyjskie, a to: piechota, kirasyery, karabiniery, rajtary i huzary. Nie weszło jeszcze wszystko wojsko, a już jenerał Apraxyn, jenerał Prozorowski z pułkownikiem Sachatynem przybyli do mieszkania prezydenta i rozpoczęli biesiadę na którą coraz więcéj gromadziło się oficerów, a między temi i pułkownik Igielstrom, a choć ranny równie tęgo pił z innemi.

Gdy tak nas nieobjadano bo jeść co nie było, ale opijano, mówię nas, bo to przyjęcie było na koszt miasta, wtedy wojsko rosyjskie napełniło rynek, ulice, zajmowało bramy, odwachy i zamek, a po wszystkich uliczkach i przeczniczkach straże rozstawiało. I rozpoczęli wielkie polowanie na konfederatów, na którem pochwyconemi zapełnili piwnice w zamku na więzienie im przeznaczone. Na mieście nie widziałeś tylko Rosyan, bo mieszkańcy pozamykawszy się w domach siedzieli strwożeni obawą gwałtu i rabunku. Jakoż bez tych się nie obeszło, a zwłaszcza w domach blisko bramy Nowéj i Sławkowskiéj i w pokątnych ulicach. Wtenczas w klasztorze PP. Dominikanek na Gródku zabito ksienię Maryannę Sędzimirównę i drugą z nią zakonnicę, które gdy zaczęto wyłamywać drzwi do kościoła, wyszły z klasztoru, a stanąwszy poprzed kościoła drzwiami wołały: „Zabijcie, a nie bezcześćcie rabunkiem ten dom Boży.“ I znalazł się między temi żołdakami jeden tak dziki, że krzyknąwszy: „*Chaczy tego*“ rąbnął pałaszem w głowę jedną i drugą, tak iż obie na ziemię padły. Lecz widok zamordowanych tych dwóch służebnic Bożych, uświęconych i wiekiem sędziwem w takie oburzenie powiódł innych jego kolegów, iż stali się mścicielami ich śmierci, gdyż tego mordercę natychmiast rozsiekali, bo nie przestał żaden na jednem cięciu, ale choć już trupa rąbał.

Po tem odeszli, a tak życiem tych świątobliwych dziewic ocalonym od rabunku został kościoł i klasztor [1]).

W szpitalu archipresbyteryalnym Panny Maryi, przy Nowéj bramie 10ciu ludzi także zabito, między temi był mieszkający Badurski, złotnik, ojciec Jędrzeja Badurskiego doktora medycyny, znakomitego z nauk profesora w akademii krakowskiéj, i jeden młody malarczyk broniący im się mężnie, a przez nich na bagnety wzięty i oknem z drugiego piętra wyrzucony. Tyle zaś wówczas wymordowano mieszkańców Krakowa, iż po tem widziałeś większą część cmentarza Panny Maryi zasłaną trupami zniesionemi do pochowania.

Po tych mordach i pijatyce o godzinie 1széj po południu sami Rosyanie rozkwaterowali się po domach mieszcząc się po 30 i 40. Wtedy każdego domu mieszkańcy, a szczególniéj właściciele zaczęli żyć tak, jakby nad ich głowami zawieszonym był miecz na włosie. Oto porównanie za słabe, bo miecz choćby i tak zawieszony bezpieczniéj byłoby mieć nad sobą, aniżeli miecz w ręku u takiego żołnierza, któremu ogłoszono, jak to mówili, iż po wzięciu Krakowa będzie mu wolno pohulać jak któren chce, a on teraz czekał tylko do téj pohulanki rozkazu. W takim stanie wołali oni tylko na właścicieli domów aby im jeść i pić dawali. A gdy jak wiecie już sami co jeść nie mieli, więc nie mogąc zadość uczynić ich pierwszemu żądaniu, uczynili zadość drugiemu, a to i bez rozkazu mogło wywołać tę przyobiecaną pohulankę. Już bowiem w niektórych domach

---

[1]) W pismach, które nam dają wiadomość o tem morderstwie, nie ma nazwiska téj ksieni Poświęcenie się tych dwóch zakonnic dla ocalenia kościoła i klasztoru poszło w tym zakonie w niepamięć, i nietylko o tem nikt w niem nie wie, ale pomimo starań naszych nie zdołano wyszukać jak się zwała przed 95 laty będąca ksieni. Dopiero łaskawa grzeczność Wgo Leopolda Heigenwalda archiwisty, wykryła jéj imie i nazwisko.

pijani żołnierze zaczęli obdzierać mieszkańców, napastować kobiety, i ztąd bitki, które kilku ludzi przypłaciło życiem a wiele poranieniem, między któremi był powszechnie poważany doktor Wadowski, a to tak ranny, iż aby żył mała nadzieja.

Ale w tem popojeniu ich nietylko sobie, lecz i im źle zrobiono, gdyż następny dzień to jest 18 sierpnia rozpoczął się dla nich srogą karą, gdyż jak grad leciały kije, pod któremi upewniano, że do 20 miało życie zakończyć. Ale to dla nich jest chleb powszechny, gdyż co dzień, gdzie się obrócisz widzisz to biegających przez rózgi, to kijami w łytki bitych, to pijanych, krzyczących w niebo głosy, gdy na nich z góry zimną wodę leją. Ale dla mieszkańców Krakowa nie jest chlebem powszechnem patrzeć na to, jak nazwaliśmy, polowanie na konfederatów, które znowu rozpoczęło się w dniu tem 18 sierpnia, ale to nietylko na nich ale i na ich własność, gdy po wszystkich domach chodząc nakazywano, aby natychmiast co jest konfederackie, jako to: szkatuły z pieniądzmi, kufry z sukniami i bielizną, słowem wszystko pod karą śmierci im oddawano. Nie jesteśmy w stanie wykazać co ten rabunek im przyniósł, lecz to wam z największą pewnością powiedzieć możemy, że samych koni zabrano 2,700, gdyż przekonał się o tem Wojciech Mączyński ze spisu złożonego pułkownikowi Suhattyn, będąc przy nim na rezydencyą od miasta naznaczonym.

Wśród tych przetrząsań po domach, wynaleziono w rynku, w domu margrabiów Myszkowskich Czarnockiego marszałka konfederacyi krakowskiéj, którego zaraz w kajdany okuto i na zamek odprowadzono.

Dzień ten dorzucił znów jeden dowód do tak licznych że nie lękliwym ale śmiałym szczęście sprzyja, bo kiedy marszałka Czarnockiego więziono, wtedy marszałek Bronicki wyswobadza się od nieszczęścia jakie tamtego spo-

tkało, wychodząc z Krakowa przebrany jak mówią za żyda, których nie tak jak wszystkich, tylko za cedułami wydanemi w komendzie rosyjskiéj, puszczano i wypuszczano z miasta.

Gdy przekonano się, że między więzionemi konfederatami ani marszałek Bronicki, ani ksiądz kapelan Gorlicki nie znajdują się, a których jak powiedział jenerał Apraxyn: „*Miałbym chęć obedrzeć ze skóry*“, ogłoszono u którychby się z tych który znajdował ma go natychmiast wydać pod karą śmierci, zabraniem wszystkiego i zrujnowaniem dóbr tak świeckich a nawet duchownych. W kilka zaś godzin niecierpliwiący się Apraxyn nakazał szukać tych i innych konfederatów, jako też broni po domach, kościołach, grobach, klasztorach, nie wyłączając żeńskich.

Gdy mu doniesiono, że ich znaleść nie mogą, skrzyczał wszystkich najobelżywszemi słowy i powiedział: jutro i pojutrze dopóty szukać dopokąd nie znajdziecie. Dla uspokojenia swéj złości napełnił wielką szklankę arakiem ze stojącego zawsze z tym gąsiora przy jego łóżku, jak to zwykł robić a to tak często iż pod wieczór gąsior musiano mu na nowo napełnić arakiem.

O tem pijanicy to opowiadał chirurg Piotr Wiżeński [1]):

[1]) Nie było w Krakowie w późniejszym czasie tak wielkie wzięcie mającego lekarza, jakie miał od wszystkich pan Piotr, a leczył on zamożnych i najbiedniejszych. Widziałeś go po całych dniach szybko biegającego po Krakowie łapanego od wszystkich, a wszystkim zadość czyniącego. Dość powiedzieć, często na stradze przekupki pisał recepty, za których napisanie brał co mu dano, mówiąc: obrażałbym nie biorąc. Ztąd zwykle wracał kilkakrotnie na dzień do swojéj golarni, przy ulicy Floryańskiéj pod Nrem . . . będącéj, aby obciążone kieszenie swojéj opończy wypróżnić, bo nie raz z nich wykładał bułki i głowy kapusty. Ten poważany i kochany od Krakowian staruszek, bo liczący lat 88, umarł z żalem powszechnym w dniu 2 sierpnia 1830 roku

— Nie wchodźcie dla czego, bo jeszcze téj tajemnicy serca mego nie mogę wam powiedzieć, nie zważałem jakie mnie nieszczęścia spotkać mogły i zostałem w rodzinnym domu na Kleparzu, choć bez dachu i spalonym. Ztąd mnie wezwano w nocy do chorego a oblegającego Kraków jenerała Apraxyna. Byłto ogromny mężczyzna, a będąc chorym na morzysko, ryczał wtedy jak przybyłem tak, iż takiego ryku jak żyję nie słyszałem, i tylko sobie wystawiałem, że taki ryk rozlegać się może jedynie w puszczy gdy z bolu lub głodu zaryczy chyba lew. Przestraszon jego widokiem i jego rykiem, czego póki żyć będę to nie zapomnę, zadałem mu co miałem pod ręką, a gdy to nie pomogło, rzekł do mnie: „*kak leczyt! ja tebie nauczi durak*“ i kazał mi abym postarał się o opiłki żelazne, i takowe rozpuścił w kubku napełnionym do połowy serwaserem a dolawszy wody do pełności kubka żebym mu wlał do gardła. W przypadku, gdyby przytomność stracił, wtedy kazał chwycić się za nos i kręcić nim dopóty dopókiby téj przytomności nie odzyskał. Wzdrygnąłem się na to i oświadczyłem, że tego nie zrobię, bo z tego można umrzeć, a ja nie chcę brać na siebie téj odpowiedzialności, wreszcie zkąd tu opiłkow i serwaseru dostać. Kilka batów przez plecy, były całą na to com powiedział odpowiedzią. Po których i skrypuł znikł, i przypomniałem sobie gdzie dostać serwaseru i opiłek. Z przydanym mi kozakiem idę na ratusz na Piasku, do mającego w niem sklep Romanowskiego i powiadam że chcę serwaseru. Ten na mnie powstał z gniewem, że go w nocy nachodzę, a co gorzéj wydaję że on ma jakieś towary: Nie miałem czasu jemu się wytłómaczyć, bo go kozak zaczął okładać batem. Ten argument był dla niego jak dla mnie poprzednio tak skutecznym, iż zaczął wołać. „*Już dam, dam. a nie bij.*“ Jakoż zeszedł do piwnicy, gdzie towary ze sklepu przechował, i przyniósł nam

serwaser. Za powrotem zastałem już wyszukane opiłki i przyrządziłem mu to jego lekarstwo. Zacząłem prosić, aby to adjutant wlał mu w gardło i usuwać się ku drzwiom począłem, ale znów kilka batów skłoniły mnie do posłuszeństwa. Wlałem ten płyn w jego szeroką paszczę, ale widząc że mu oczy w słup stanęły, cofam się ku drzwiom chcąc uciekać, lecz znowu przesmagany od nich batem, przypomniałem sobie daną mi instrukcyę dalszéj kuracyi. Chwyciłem przeto ten nos jego ogromny i zacząłem kręcić, szarpać, co trwało z 5 minut, i z mojem zadziwieniem jenerał przychodzi do przytomności, a głosem jakby z tuby się wydobywającym usłyszeliśmy *Haraszo!* Dodam wam jeszcze, że kuracya była radykalna, bo w kwadrans już siedział na koniu.

Po téj wiadomości danéj nam przez wspomnionego Piotra Wiżeńskiego o jenerale Apraxynie, piszemy, iż w dniu następnym, to jest 19 sierpnia do mieszkania jego w kamienicy starosty Barcickiego w rynku, na rogu Wilśnéj ulicy, sam przyszedł ów śledzony ksiądz Garlicki, i gdy oświadczył kto jest, że z nim chce mówić i gdy o tem doniesiono mu, powiedział: „*Nie przychodit li tot buntowszczyk ubit mienia*“, i rozkazał aby go zrewidowano, czy przy sobie jakiéj broni niema. Czemu się stało zadosyć, a on stanął przed nim, i rzekł mu:

— Ogłosiłeś panie jenerale, że śmiercią ukarzesz tych którzyby mi dali schronienie, więc nie chcąc aby dla mnie życie tracili, albo ty panie jenerale tak straszny grzech popełniłeś karząc śmiercią za wypełniony czyn miłosierdzia, sam przychodzę i oddaję się w moc twoją.

Słowa te wymówione spokojnie a z powagą jaką zawsze ten kapłan odznaczał się, a do tego głoszące tak niepojęte przez niego poświęcenie siebie dla nienarażenia innych na nieszczęście, nietylko utłumiły wściekłość takiego jak Apraxyn człowieka, ale go przywiodły do tego, iż go przyjął nietylko z poszanowaniem

należnem jego kapłaństwu, ale i z tą czcią jaką w kimże nie wzbudzi taka odwaga w obronie swych współbliźnich.

Po tem przyjęciu umieścić go kazał w podle stojącym domie pana Bzowskiego, dodawszy mu straż z 4 żołnierzy. Ale takie chwile u tak rozbestwionych ludzi to tak prędko nikną, jak te piękne różnobarwne mydlane bańki, bo ledwo wszedł w to dla siebie przeznaczone więzienie ksiądz Garlicki, a przybył za nim adjutant jenerała i kazał go okuć w kajdany, i oznajmił rozkaz jeneralski, aby mu nie dawano tylko chleb i wodę. A powtarzając zapewne głupi koncept jeneralski powiedział:

— Tak żarliwy obrońca wiary katolickiéj, za którą życie chciał dać, uszczęśliwion będzie, że na post go skazujemy.

Co usłyszawszy ksiądz Garlicki, wzniósł ręce obciążone kajdanami w niebo i te słowa wymówił:

— Odpuść im Boże, bo nie wiedzą co czynią! A po chwili jakby natchniony powiedział:

— *Graeca fides nulla fides* i kiedy Rosya będzie na szczycie swojéj wielkości najboleśniéj uczuje, że bez wiary każdy naród jest jak okręt na rozhukanem morzu z strzaskanym masztem a bez kotwicy.

— *Małczy!* krzyknął adjutant, a uniesion gniewem aż do szaleństwa, uderza swoją pięścią pod brodę tego czcigodnego kapłana.

— Bóg zapłać za to! powiedział mu ksiądz Garlicki, a powiedział mu to z taką łagodnością i pokorą, na jaką tylko zdobyć się może przejęty człowiek nauką Jezusa Chrystusa. Bóg zapłać za to! powtórzył drugi raz, gdyż wierzę, że nadgrodzonem będzie wszystko co cierpiemy za naszą świętą wiarę. Ale i w to wierzę, iż sprawców tych cierpień dosięgnie kara Boża, która aby

cię za żywota spotkała a poprawiła, najserdeczniéj życzę ci młodzieńcze, dla twego szczęścia wiecznego.

Jakie wrażenie na nim zrobiły te słowa obok okazania téj cierpliwości najlepiéj damy wam poznać z tego że padł przed nim na kolana wołając błagalnym głosem: *Prasti winownomu!*

— Powstańcie, bo nie macie o co prosić, powiedział mu ksiądz Garlicki, gdyż jako katolik codzień taką modlitwę ślę do Boga: „*Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy winowajcom naszym.*“ Więc gdybym wam nie odpuścił, toby moje grzechy odpuszczonemi nie były.

— Co wy za człowiekiem dla mnie niepojętym jesteście i niesłychane, a tak serce owładniające rzeczy prawicie. Z ust naszych Popuszków nigdy nic podobnego niesłyszałem.

— I nie usłyszycie, powiedział mu ksiądz Garlicki, gdyż u was niema tych nauk, tych kazań, wprowadzających w duszę ludu nietylko naukę kościoła, ale i uczucia jakie ta nauka ukrywa.

— O gdybym mógł sobie wyrobić jeneralskie pozwolenie do odwiedzania was w tem więzieniu, jakżebym was rad słuchać, aby to moje puste serce zajęły te uczucia.

— To cobyście odemnie usłyszeli, to wam powie każdy z księży naszych. Jeżeli tylko chcecie tego, to ja wam takiego wskażę.

— Nietylko chcę ale i pragnę.

— Kiedy cię młodzieńcze taką łaską Bóg nawiedził, to postaw mnie w możności napisania listu, a stanie się zadość waszéj woli.

— Natychmiast, natychmiast — zawołał i wybiegł.

A tak prędko mieć ten list chciał, iż w 5 minut ksiądz Garlicki pisał list do księdza Józefa Fabiana Dominikana, a promotora podtenczas kaplicy Rożańcowéj, i opisał

w tem całe to powyższe zdarzenie, polecając jego gorliwéj pobożności, aby listu oddawcę na łono katolickiego kościoła nawrócił. Dodając mu, iż to nietrudnem będzie, gdyż poznał w tym młodzieńcu prawdziwego Rosyanina z nierozwiniętym umysłem ale łatwo się rozwijającym, gdy ten oświeci światło nauk, zepsutego złemi przykładami starszyzny, ale sercem prawdziwie słowiańskiem, bo wzniosłem a szlachetnem.

Chociaż księdza Fabiana, z tym listem przybyły adjutant zastał w chorobie, w którą popadł przez to co ucierpiał w czasie oblężenia i po wzięciu Krakowa, jednak niefolgując sobie w tem co za powinność miał, rozpoczął pracę nad jego zbawieniem. I uwieńczył to Bóg, gdyż w dwa tygodnie został on katolikiem, tając to przed wszystkiemi, nie z obawy o siebie, ale aby klasztor nie wystawić na pomstę Rosyan. Poczem w kilka dni, a to we wrześniu umarł ojciec Józef Fabian krakowianin, radując się wielce tem, iż z łaski Boga i te ostatnie chwile życia użył na chwałę Bożą i pożytek bliźnich.

Jak zwał się ten Rosyanin nie dało się nam odkryć, a kończąc o nim tę historyę, to powiemy: że nie wiedział ksiądz Garlicki iż ten adjutant został katolikiem, gdyż w dwa dni potem co zaszło między niemi, a to w dniu 21 sierpnia już wieczorem zdaje się aby ludu nie jątrzyć, wywiozła go kibitka z Krakowa do niewoli rosyjskiéj.

W dniu 22 sierpnia o godzinie 10téj posłyszano ratuszny dzwonek zwołujący magistrat jako też 40tu mężów wybranych z ludu. Przybyły tam prezydent miasta, pan Jan Kozłowski oświadczył, że zgromadza ich na rozkaz samego jenerała Apraxyna, który kazał znać sobie dać gdy się zbierzemy, co też uczynił. Niedługo czekano, a tu wchodzi w izbę Pańską ten jenerał wraz z pułkownikiem Igielstromem. W téj chwili obiega

wszystkich wiadomość, że po przed schodami w zewnętrznéj galeryi ratusza stanęło wojsko rosyjskie, a na galeryi warta nikogo z ratusza nie wypuszczająca. Różni, różnie sobie tłómaczyli co to ma znaczyć i co to będzie, ztąd jednych obawa a drugich już bojaźń owładła, i powstał między niemi szmer, lecz w tem pan prezydent zawołał aby się uciszono i słuchano pisma oddanego mu w téj chwili od jenerała, aby takowe odczytał. Pismem tem nie w imieniu króla, ale w imieniu swojéj carowéj wzywał on aby miasto uczyniło jak nazwano *reces od konfederacyi*. Jakoż nikt przeciw temu się nie odezwał, a uczyniony ten reces do akt radzieckich z podpisami własnoręcznemi wszystkich oddano.

Po tem znowu drugie pismo odczytał pan prezydent, wzywające, aby po zrobionym recesie wykonali *Jurament* na to, iż mieszczanie krakowscy ani bronią, ani żywnością, ani czemkolwiek nie będą dopomagać konfederacyi.

Dotrzymanie takiéj pr ysięgi wielom zdawało się niepodobne, gdyby konfederaci zajęli Kraków, ale każden wstrzymał się od powiedzenia tego, pomnąc na stojących po przed ratuszem żołnierzy. Wzywany od innych do odezwania się Józef Wołkanowski, lonar Krakowa, odezwał się wreszcie ale niefortunnie, bo zaczął przemówienie od słowa: *Niemogę!* I na nim skończył. Gdyż gdy to *Niemogę* powtórzył po trzykroć, nie wiedząc co daléj powiedzieć, wtedy pułkownik Igielstrom zawołał: *Małczi kakda nie możesz.* Gdyby to było nie w takiéj chwili, możeby powstał ztąd śmiech, ale wtedy nikt się nawet sie uśmiechnął. Te słowa zamkły usta Wołkanowskiemu i dopiero po dość długiem milczeniu, sam prezydent odezwał się dla czego lękają się wykonać tę przysięgę. Tu jenerał Apraxyn zerwał się z krzesła, a trzęsąc się od gniewu zaczął wykrzykiwać.

— *I wy buntowszczyczy ja pokażę rozniest was na stichach moich sołdatów.*

Tym słowom i takiego człowieka jakim był ten jenerał, któżby nie dał wiary, a uważając tę przysięgę za przymusową do wykonania téj nie przystąpił. Jakoż po odezwaniu się prezydenta, że uważa iż tę przysięgę wykonać musimy, i pierwszy ją wykona, powtórzyli wszyscy w swéj myśli: musimy! I idąc za jego przykładem ukląkłszy i wzniosłszy rękę ku niebu na przepisaną im rotę, przysięgli.

Spoczął bezczynnie na tych laurach przemocy nad bezbronnemi zdobywca Krakowa, upojon nie chwałą ale trunkami, bo pierwsza była dla niego niczem, a drugie tak umiłował iż bez tych żyć to lepiéj podług niego umrzeć mu było, i tak pić zaczął że nad wszelką miarę pijąc zapalił się w nim spirytus, a z jego ust jak z komina dym wybuchał. Rozbiegli się po mieście jego kozaki aby dostawić doktora. Jakoż wkrótce przywiedli Jana Camelina profesora w akademii, ten jak zwykle w takich przypadkach wlał mu naprzód mleka, a potem użył i innych lekarstw płynnych, ale to nawet w takiéj ilości, że temi i w kominie ogień by ugasił, a tu ciągle się w nim pali i dymy buchają. W tem nadbiega jakiś oficer kozacki i upewnia, a życie daje za jego życie jeżli go nie wyleczy. Zgodzono się aby ratował jenerała, wtedy on koniec swojéj kozackiéj nahajki, tak cienkiéj jak nasz woskowy stoczek na murze, że tak powiemy zaostrzył, a potem wepchnął ją w gardło jeneralskie i przeszorowawszy potem wyjął. Zobaczywszy zaś koniec tego instrumentu zakrwawiony zawołał z radością: *Zdorów!* jakoż w saméj rzeczy zaraz poprzestało się mu kurzyć z ust a po chwili nastąpione wymioty zakończyły chorobę. Narzekał tylko że dużo osłabł i zażądał szklanicy araku. Doktor Camelin sprzeciwił się temu, ale kozacki ten doktor upewnił jak powiedział, że to dobrze

mu zrobi, dodając, że za swoją kuracyą prosi, aby miał ten zaszczyt z jenerałem także araku się napić. I znów pił jenerał jak dawniéj tylko z porady tego kozackiego doktora od tego czasu, gdy przepił się wołał kozaków, a ci chuśtali go i pomimo jego ogromu jak piłkę rzucali co go trzeźwiło.

Na téj hulatyce i pijatyce i na czem więcéj co zgroza pisać przebył ostatnie dnie sierpnia i dopiero w dniu 1 i 2 sierpnia zajął się sprawą publiczną. W dniach tych bowiem chorągwie komputowe oddawszy im konie i broń wysłano z Krakowa na swoje leże. W dniu 3 września znowu z boleścią patrzano jak pędzono ośmset Konfederatów należąc ch do piechoty a nawet rannych na wozach wieziono a jak mówiono aż do Kijowa.

W dniu 5 września uwolnionych z więzień zamkowych Konfederatów należących do zamożniejszéj szlachty i w Krakowie po danem słowie na wolności zostawionych zawezwano do Grodu niby dla uczynienia podobnego Recesu nienależenia do Konfederacyi jaki zrobili poprzednio mieszczanie Krakowscy; ale tu o Recesie i mowy nie było tylko zgromadzonym w zastępstwie jenerała Apraxyn oświadczył pułkownik Sachetty, iż są więźniami i że z Zamku do miasta nie wrócą. Aby zaś ich obedrzeć z tego co mieć mogli w mieście, dodał, że każdemu dla swéj wygody wolno jest sprowadzić na Zamek i rzeczy i służbę swoją, gdyż jenerał Apraxyn nie chce im żadnéj przykrości robić a zatrzymać ich w Zamku przez kilka dni jest zmuszonym, otrzymawszy zawiadomienie o mającym nastąpić napadzie Krakowa przez Konfederatów.

Jakoż co mieli sami kazali przynieść na Zamek i spędzili dzień ten i noc następną łudząc się tą kilkodniową niewolą, bo ledwo świtać zaczęło dnia 6go września a już zbudzeni zostali przez przybyłych z jakiemś pułkownikiem od Rajtaryi żołnierzy rosyjskich, którzy zaczęli

wraz zabierać co który miał i ztąd poszło, iż wielu nie ubranych bez butów i sukien zostało. Tak obdartym nawet z odzieży kazano wystąpić na dziedzieniec pałacu zamkowego. O wierzajcie, że słysząc to ledwo serce z żalu nie pękło. Bo czegóż my to dożyli, iż w tym Pałacu królów naszych, w tym jego dziedzińcu co był świadkiem tylu odbytych tryumfów po odniesionych zwycięztwach, dziś stoją potómkowie tych tryumfatorów jako odarci z szat niewolnicy wśród zwróconych do nich nieprzyjacielskich bagnetów. Zapisujemy wam że między temi widziano potomków Czernych, Pieniążków, Tarnowskich, Zarębów, Stadnickich, Lipskich, Stojowskich, Szembeków, Rylskich i Łubieńskich, a dodajemy wam, że nieodrodnych potomków jak sami przyznacie czytając co następuje:

Po śniadaniu na którem jak widać było dobrze uraczył swych gości pułkownik Igielstrom, przyjechali na Zamek a zsiadłszy z koni w bramie pałacu weszli na dziedziniec. Na tych czele szedł nie pewnym krokiem ale z napuszoną miną jenerał Apraxyn który gdy wszedł na dziedziniec i zobaczył tych nieszczęśliwych wtedy z pod jego brwi, które można tylko porównać do najeżonego szczecią wieprzowego karku, tak oczy mu zabłysły, jak błyszczą oczy drapieżnych zwierząt gdy się rzucić mają na swoją ofiarę. Nie powiemy wam jak wyglądali za nim idący pułkownicy i różnego stopnia oficerowie bośmy nic więcéj nie widzieli zoczywszy idącego w ich gronie Podczaszego N. N. jak tylko jego i jego. Wszedł on z jakim wyrazem twarzy trudno wiedzieć, gdyż ten był tak zmienny, jak gasnącego światła migotanie. I nie mógł być innym wyraz twarzy człowieka, który w téj chwili tracił nawet i wstyd w oczach. Jenerał Apraxyn zatrzymawszy się po przed niemi odezwał się z całą złością jaka unieść podobnego człowieka może a to odpowiedniemi wyrazy i zaczął im

czynić wyrzuty jak nazwał *Udiwitielnoho rozboja* przez połączenie się z Konfederatami a skończył, że za łaskę mieć powinni, iż nie kazał ich zaknutować, tylko jako niewolników wysyła do Kijowa. A urągając się jeszcze z ich nieszczęścia dodał: że tam im będzie dobrze, bo on zna pieczary w Cytadelli Peczerskiéj, w któréj długo ludzie żyją.

Gdy tak okrutny wyrok usłyszeli, wtedy nasz pan Podczaszy N. N. z podpartym bokiem z przymilającą się miną, czyniącą go podobnym do Kozaka w przysiudach, gdy ma rozpocząć swój Kozaczy taniec szedł, a stanąwszy przed niemi chciał przemówić głosem lamentującego Jeremiasza o ich opłakanym losie, lecz dla nich był to głos Judaszowy, więc też ledwie wymówił — Panowie Bracia! na co zaraz zawołali wszyscy:

— Tyś nam przestał być Bratem.

A zakończyło ten chór ogólny wykrzyknienie — Stadnickiego Stanisława:

— Boś został Katem!

Co znowu wszyscy tak jednogłośnie powtórzyli, że im aż echo dziedzińca to potwierdziło powtarzając po trzykroć: Katem, Katem, Katem!

Lecz on na to wszystko jakby głuchy nic nie odpowiedział, tylko silnym głosem zawołał:

— Ja niektórym z was wolność przynoszę.

Na co mu odpowiedział Szembek Kazimierz.

— Ja wolę przecierpieć niewolę a nawet w niéj umrzeć, aniżeli za sprawą twoją uzyskać wolność.

— Tak, tak zawołali znowu niemal wszyscy.

Takie publiczne upokarzające i poniżające pohańbienie oburzyło wreszcie pana Podczaszego N. N., ale nie śmiał i w tym stanie ani słowa do wszystkich powiedzieć i tylko zbliżył się do Zborowskiego, i zaczął do niego tak mówić:

— Pomnąc na związek familijny rodzin naszych....

Tak zaczął mówić, ale nie dokończył, bo Zborowski odwracając się od niego przerwał mu wołając:

— Precz z moich oczów i nie hańb mnie tem wspomnieniem.

I na tych słowach skończyła się ta rozmowa Podczaszego N. N. z temi nieszczęśliwemi gdyż nic się nie odezwawszy odszedł od nich i tylko stając przed jenerałem Apraxyn to powiedział:

— Gnaj ich jenerale w niewolą, to wyleczy tych waryatów.

I potem śpiesznie siadł na konia i pędził na nim z góry Zamkowéj tak, iż da się powiedzieć na złamanie karku. I Bóg wie czyli nie zapragnął śmierci bo może to była ta chwila, w któréj popada się w rozpacz pomyślawszy o tem co się zrobiło, a w któréj śmierć pożądańszą jest dla człowieka nad życie.

Zdarzenie to tak opisane przez naocznych świadków pewnie nie zdoła zbudzić tych uczuć i uniesień w jakie popadli wszyscy bo nawet jenerała Apraxyna zajadliwość powstrzymaną została i miał tyle cierpliwości iż był niemym świadkiem tego co się działo. W świcie zaś jego znaleźli się tacy którzy niemal to czuli, co ci nieszczęśliwi a niektórzy nawet podziwiając ich czyn, pomrukiwali: *Eto prekrasno Eto woschoditielno!* bojąc się tego głośno powiedzieć. Poczem jenerał Apraxyn nie mówiąc już do nikogo ani słowa a za nim inni oddalili się z Zamku.

Lecz pan Podczaszy N. N. nie stracił nadziei i mniemał, co mu się raz nieudało to się może uda po przejściu pierwszych uniesień i będą tacy, którzy zapragną korzystać z jego opieki. Więc według powziętego zamiaru zaczął przez oficerów rosyjskich w dniu tym skłaniać ich do tego. Jakoż znaleźli się tacy, ale wam powiemy na pocieszenie, że tylko pomiędzy temi których ród i nazwa obcą jest dla ucha i serca polskiego, bo

jakiś Garkiewicz, Karbowski, Kalisiewicz i dwóch innych, których nawet jak się zwali nie wiadomo nam. Ale nie był między temi żaden z tych o których wspomnieliśmy i żaden z nich nie okupił swéj wolności tym shańbieniem że ją otrzymuje z łaski zdrajcy Podczaszego N. N.

Do tych jak ich liczono 250 więźniów jeszcze wam dodać możemy następnych: Stroński, Bratkowski, Kopczyński, Bronikowski, Pisarski, Szulikowski, Przyłuski, Biernacki, Krajewski, Czajkowski, Korytowski, Rudnicki, Czerwiakowski, Rudawski, Rylskich dwóch, Wojciechowskich dwóch, Węgierski, Grabowski, Skrzycki, Starowiejski, Otwinowski.

W następną potem dniu noc spędzone z okolicznych wiosek Krakowowi podwody, wjeżdżały w Zamek i zanim dnieć zaczęło już wyjeżdżały, wywożąc Konfederatów.— Ale tą ciemnością nocy nienadługo się pokrył ten czyn gwałtu i tyranii, bo ze wschodzącem słońcem wiadomość o tem obiegać poczęła i w kilka godzin wszyscy już wiedzieli. Można zaś twierdzić, że nie było takiego w Krakowie, któryby nad ich losem nie zapłakał. A jeżeli kto nie zapłakał to dla tego tylko, iż ciężar boleści nawet łzom z oczów wydobyć się niedał. Bo Krakowianom nie tylko oni drodzy byli jako obrońcy wiary i kraju, ale połączyli się oni z niemi tem nierozerwanem a serdecznem węzłem zawiązanem wspólnie wśród przecierpianych nieszczęść w tem oblężeniu Krakowa.

W dniu 7 września, a to we wilią Narodzenia Najś. Maryi Panny od samego rana poczęto zwozić na rynek z Cekauzu armaty miejskie, jako też z bram i baszt armaty cechowe, które gdy zwieziono przybył na rynek pułkownik Sachattin z kilku oficerami a rozpatrzywszy się w tych zawyrokowali co z tą artyleryą zrobić. Z tego wyroku wypadł następny podział, iż co lepszych było

śmigownic, falkonetów, hakownic, to takowe dla siebie zatrzymali Rosyanie, inne zaś zaraz na rynku tłuczono lub zagwożdżano a niektóre zawiezione na most Stradomski utopione w Wiśle zostały.

Jakby na urągowisko wtedy, kiedy to spełniano jęczały, bo nie da się powiedzieć brzmiały dzwony wszystkich kościołów z rozkazu jenerała Apraxyna ogłaszające, że to dzień rocznicy wyboru króla Poniatowskiego. Dzień za który Rosya Bogu dziękować może, a nam należy uważać za dzień zesłanéj kary, bo ten niedołężny król zamiast leczyć chorobliwą Polskę, zadał jéj truciznę z któréj już dni konania się rozpoczęły. Głos tych dzwonów jak było nakazanem zgromadził w kościół Maryacki wszystkie władze miejskie, wszystkie cechy i bractwa i odprawioną została wotywa.

Po odprawionem takiem nabożeństwie prawie zaraz usłyszano ratuszny dzwonek zwołujący magistrat jako też 40 mężów z ludu. Przybywających przyjmował, można powiedzieć pułkownik Igielstrom, ta jak wszyscy utrzymują głowa bezgłownego jenerała Apraxyna. Pułkownik ten kazał hutmanowi ratusznemu, aby mu zwołał tem dzwonieniem Magistrat na który czeka. Gdy już Izba Pańska zapełniła się przybyłemi, wtedy Igielstrom z szatańskim wyrazem twarzy i głosem tego uwodziciela odezwał się do nich. Głosił on jako dowód łaski wypływającéj z zaufania jakie pozyskali mieszkańcy Krakowa to postanowienie jenerała Apraxyna, iż dozwala wszystkim mieszkańcom Krakowskim odebrać złożone karabele i szpady i te nosić, równie dozwala Magistratowi odebrać wszelką broń do strzelania, lecz tę w Ratuszu opieczętowaną zatrzymać. Wreszcie, że im jenerał Apraxyn powierza straż bram, a że baczyć nie przestaną kogo wpuszczać i wypuszczać z miasta będą wykonają Jurament.

Zakończył zaś swoją mowę temi słowy:

— Na podziękowanie jenerałowi Apraxyn za te łaski jutro miasto musi dać bal zapraszając wszystkich oficerów.

Na twarzach wszystkich widoczne było nie tylko nie zadowolnienie, lecz nawet oburzenie, gdy ten rozkaz balowania usłyszeli, ale wszyscy milczeli i nikt mu nie powiedział, że nie czas balowania gdyż stoją jeszcze przed oczyma ich te nieszczęśliwe ofiary pędzone w niewolą a o pomstę do Boga wołające, że nie czas balowania w tem mieście w którem nie zaschła jeszcze krew przez nich w niem przelana, ani uległa się ziemia nad grobami naszych i waszych braci. Ale też Igielstrom nie czekał aby coś podobnego usłyszał, gdyż ledwie wypowiedział ten rozkaz powstał z krzesła mówiąc: Żegnam Panów, i napuszywszy się jak jędyk a brzęcząc ostrogami i pałaszem wyszedł posuwistym krokiem.

I jego nie było a jeszcze chwil kilka nikt nie śmiał się odezwać tylko prawie wszyscy pomrukiwali jakoby chcieli tym powszechnym dowodem oburzenia ośmielić kogo bez narażenia się samemu do wypowiedzenia tego, czego któżby w takim razie nie uczuł.

A wiecie kto był takim? Oto ten niefortunny mówca co jak wspomnieliśmy powyżéj zaczął i skończył swoje odezwanie się w tym ratuszu na tym dla niego nieszczęśliwem wyrazie: *Nie mogę!* Ale tym razem chęć nie była powstrzymana obawą, iż się sprzeciwia woli tych którzy los i życie jego mają w swoim ręku i wniósł na radę, żeby pułkownikowi Igielstrom pomijając inne powody, które mogłyby go oburzyć, przedstawić ten, że nie godzi się dawać bale miastu tylu nieszczęściami do nędzy przywiedzionemu. Gdy rada przyjęła jego zdanie zaraz Prezydent poszedł z tem oświadczeniem do pułkownika, ale też i zaraz wrócił, z tem sprawozdaniem: że gdy to usłyszał, z największym gniewem zawołał:

Dziełaite kak wam ugodno no niezabywajtie czto budiet wam za czto. I wybiegł prawie do drugiego pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dalejże rada w Ratuszu co teraz począć, a gdy większość mniemała, iż niebezpiecznie jest narażać miasto na zemstę takich ludzi, uchwalono że daną będzie *Ochota*, bo na niéj krakowskim zwyczajem w maskach się bawią, więc znajdą się tacy a szczególniéj takie z któremi potańczyć będą mogli. I odbyła się ta ochota w dniu następnem w salach Spiskiego pałacu z zadowoleniem jenerała Apraxyna który oświadczył to Prezydentowi temi słowy: *Wsie napiliś i nakuszaliś kak mogli pereniest.* I prawdę powiedziano bo zacząwszy od niego, który już przed północą odniesiony jak nie żywy do domu został, to z jednemi toż samo zrobiono, a drudzy pokotem zalegli salę bezwładni i bezprzytomni. Byli i trzeci których uszczęśliwiły zrobione znajomości z przybyłemi na tę Ochotę tanecznicami. Nie wspomnielibyśmy o tych, gdyby w ich liczbie nie był pułkownik Igielstrom, który myśląc, że kogo innego uwodzi, uwiedzion został przez znaną w Krakowie z rozwiozłego życia Basię u któréj szedł grzech za grzechem i jeden drugi przyzywał a ogniwa tego łańcucha spajały się aż w ten okuły swoją niewolnicę. I to by niewarte było zapisać, gdyby nie następne zdarzenie.

Chłop Duda z Krowodrzy zastawszy swoją żonę w objęciach junkra Jodomowa u niego na kwaterze będącego zawołał:

— Albo ty mnie albo ja ciebie uśmiercę.

A porwawszy siekierę pod kominem będącą, jeszcze raz na niego zawołał:

— Dobywaj swojego pałasza.

I dobył go i natarł na niego pierwszy, ale ten odważny syn Krakowskiéj ziemi pochwycił lewą ręką pałasz który mu cztery palce tak podrzyna, iż mu je od-

jąć potem musiano, a prawą ugadza go tak siekierą w głowę, iż ten zaraz trupem u nóg jego pada.

Ujęty i oddany pod sąd wojskowy skazanym został za ten czyn na śmierć i był w dniu 16. Września wyprowadzon z miasta, jak to mówią w Krakowie: *Przez Długą ulicę — prosto na szubienicę.* I już do ścięcia głowy zabierał się mistrz, gdy jak koń pędzić może leci na nim adjutant pułkownika Igielstrom wołając znowu jak człowiek najsilniéj może *Pardon!*

Zkąd ta łaska od nieznających sprawiedliwości a tem więcéj miłosierdzia, z podziwieniem pytali wszyscy ale na to pytanie nikt odpowiedzieć nie umiał.

Dopiero późniéj się dowiedziano, że uratowała mu życie wspomniona Basia, a to tak dla niego szczęśliwym wypadkiem: Spędzając czas w zbytkach i rozkoszach z pułkownikiem Igielstron tym nowym swoim kochankiem, ani wiedziała co się dzieje w Krakowie. W tym dnia 16go września rano wyjrzała oknem z jego kwatery którą miał w rynku w domu pod Jaszczurkami i widzi po przed Szmatruzem na przeciw stojącym zbiegowisko ludu i słyszy płacz lamentującéj jednéj z sprzedających tam ogrodniczek i poznaje, że to wdowa po Dudzie starym z Krowodrzy. Czyli z ciekawości, czyli z litości nad nią posyła swoją sługę, aby się dowiedziała co się stało, a ta jéj tę przyniosła wiadomość, że rozpacza, bo jéj dziś ściąć mają syna, za to iż zabił jakiegoś Rosyanina. Gdy to posłyszała pada na krzesło a jéj płacz i jęk rozległ się po wszystkich pokojach kwatery Igielstroma i wszystkich co w nich byli przeraził i zadziwił ale nikt nie śmiał pytać co ten płacz kobiecy znaczy a tem więcéj pośpieszyć do tego pokoju, w którym Bóg wie co się dziać może. I dla tego wpada tylko Igielstrom do tego pokoju którego zobaczywszy Basia rzuca się do nóg jego i błaga o łaskę i miłosierdzie dla Dudy na śmierć skazanego. A gdy ją pyta

zkąd tak rozpacza nad śmiercią jednego chłopa, ona targając sobie włosy wykrzykła.

— Nie pytaj, tylko ratuj, bo jego śmierć to moja śmierć!

A jakim głosem to wykrzykła abyście wiedzieli, to wam tylko powiemy, iż usłyszane te słowa przez Igielstroma upewniały, że co powiedziała to nastąpi. Gdy zaś życie jéj w tych chwilach było uprzyjemniające życie jego, a ten rozpuście oddany człowiek, aby sobie dogodzić na wszystko był gotów, więc też niezważając na jaką odpowiedzialność się naraża przywołuje swojego Adjutanta i wydaje mu rozkaz ocalający Dudzie życie. Słysząc ten rozkaz Basia rzuca się w jego objęcia i ściska i całuje a to tak serdecznie jak nigdy. Ale z tych pieszczot wyrywa się Igielstrom, mówiąc: że musi śpieszyć do jenerała Apraxyna, aby wprzód o tem co zrobił zawiadomić go i przebłagać, oraz nauczyć, że gdy mu o tem doniosą, aby powiedział, iż to z jego rozkazu nastąpiło.

Uradowana i uszczęśliwiona Basia pragnąc jak najśpieszniéj wyswobodzić z okropnéj rozpaczy tę nieszczęśliwą matkę każej biegnąć służącéj z upewnieniem, iż syn jéj żyć będzie.

Co gdy usłyszała od służącéj to wyrzekła:

— W niebie, bo oczy moje widziały jak go tędy na śmierć wieziono.

— Być nie może, bo ja sama słyszałam jak pułkownik Igielstrom wydał rozkaz, aby nie był stracony.

To powiedziawszy odbiega, aby o tem zawiadomić swoją panią, co też zrobiła. Ale, że zrobiła zaraz serdecznie żałować poczęła, bo nią zatrzęsło konwulsyjne drżenie i padła na sofę jak martwa, gdyż w téj chwili ani jéj piersi głosu nie miały, ani jéj oczy łzy uronić nie mogły. Pomimo wszelkiego ratunku na jaki się przywołani przez sługę zdobyć mogli, niezdołano ją, iż po-

wiemy wskrzesić z tego stanu a to tak długo dopóki adjutant Igielstroma nie wpadł do pokoju, upewniając, że uratowany i wołając *Spasion!*

Nie tylko dotąd głucha na wszystko, usłyszała to słowo, ale one było jakby jednem z tych słów, z których wymówieniem cuda się działy, gdyż z téj swéj niemocy powstała i z całą przytomnością umysłu, a z widocznem oburzeniem:

— Ty kłamiesz aby mię pocieszyć.

Ale on przysięgał się jéj na Boga, że to prawda mówiąc: *Klianus Bogom czto prawo gawariu.* Zaczął potem opowiadać, że gdy mu na odwachu powiedziano, iż przed chwilą na plac śmierci wywiezion został, wtedy pędzi na plac wołając *Pardon.* I to wołanie ochroniło go od śmierci bo powtarzane przez innych uprzedziło jego przybycie i powstrzymało miecz kata wzniesiony już nad nim.

— Musiała być wielka radość jego, zapytała Basia.

A dowiedziała się, że przeciwnie, gdyż nawet dał się słyszeć: iż żałuje że znów żyć będzie bo ten świat mu obrzydł na którym sama tylko zdrada.

Usłyszawszy to rzekła, odejdźcie, a gdy tylko że służącą została, siada na krześle a wspartą na ręce jéj głowę Bóg wie jakie myśli zajęły, że nie pieszczące domyślać się można było, bo jéj piękną twarzyczkę smętny wyraz okrył a po niéj stoczyło się kilka łez. Może te myśli innemi nieprzerwane przywieść ją mogły do poprawy, ale na jéj nieszczęście po kilku chwilach tak spędzonych posłyszała głos wracającego Igielstroma, a ten głos u téj zalotnicy inne zaraz myśli wywoływa. Ślad łez ściera z swéj twarzy i przymuszonym je uśmiechem krasi, gdyż jak sądzi radośnie należy jéj przyjąć kochanka potem co dla niéj zrobił. Zostali sami, więc nam nie wiadomo, czyli prawda lub nie prawda posłużyła jéj do wytłómaczenia się zkąd upewniała Igielstroma,

iż śmierci jednego chłopa nie przeżyje. Ale chociaż na drugi dzień również tylko ona i wyswobodzony od śmierci ten Krowodzanin byli sam na sam, to i tak wam wyjaśnić to możemy, gdyż takieśmy słyszeli opowiadanie jego:

— Gdy mi żyć kazano i wróciłem do méj chałupy zastałem ją bezludną i tylko stary Brysiek spuszczon z łańcucha strzegł jéj i powitał mnie wracającego z tamtego prawie już świata. Żona bowiem moja gdy się o tem dowiedziała wyrzekłszy się nawet własnych dzieci oddała je méj pani matce a sama poszła gdzieś w świat nie rozważywszy, że nie ma się mnie bać, bom kiedy zabił jéj uwodziciela tom tylko jéj powiedział:

— Ciebie chociażby należało, aby na ostrzu téj siekiery krew się wasza połączyła, nietknę, boś ty matką mych dzieci.

Ale nie ubiegło i 5 minut a ja już byłem wobjęciach sąsiadów a wkrótce i matki i przyciskałem do serca te moje drogie dzieci, które miały żyć sierotami bez ojca. Potem przywitaniu musiałem im wszystkim prawić com przecierpiał, jak się zemną nie poludzku obchodzono wreszcie jak usłyszałem, że mam być stracon dziękowałem za to Bogu, gdyż śmierć uważałem za konieczną następność a jéj przyśpieszenie za dobrodziejstwo Boże. Skończyłem to opowiadanie z zapytaniem, czyli nie są świadomi co zrobiło, iż żyję. Wtedy się dowiedziałem, iż jakaś dziewczyna przybiegła do mojéj matki i doniosła iż pułkownik Igielstrom wydał rozkaz abym nie był stracony. Tu w radę sołtys i starszyzna, czyli nie jestem winien podziękować mu za to, i uradzono iż należy.

— Kiej tak mówicie, to tam i zrobię. Jakoż na drugi dzień, przywdziawszy świąteczne suknie idę z tym zamiarem do miasta. Gdym przeszedł Sławkowską bramę, a szedł koło klasztoru Marków posłyszałem reformacki dzwonek, a ten mi com zabaczył przypomniał, iż prze-

dewszystkiem należy mi iść w dom Boży, aby modlić się za doznaną nademną łaskę. Jakoż poszedłem, a że to był dzień piętna śgo Franciszka, więc odpustu u OO. Reformatów, tom trafił na sumę i kazanie, które nie wysłuchać miałbym sobie za grzech, przeto dopiero w samo południe dowiedziawszy się, że ten mój zbawca mieszka pod Jaszczurkami, idę do niego. W pierwszéj izbie zastałem dwóch żołdaków, a żem szedł do pułkownika i nie świadom tam ich zwyczaju, przechodzę koło nich nie wyrzekłszy ani słowa. Gdy chcąc iść daléj miałem otwierać drzwi drugiéj izby, przyskoczył z nich jeden do mnie i chwyta pod gardło i pyta: *Gdzie idiosz sukin syn!*

To tak mnie ubodło i rozjątrzyło, że jakiem urznął pięścią w pysk to się aż zatoczył i odleciał odemnie o kilka kroków. Zamiast jego, wszyscy trzéj na mnie się rzucają, ale szukaj tam siły w tak wymorzonych jak są te żołdaki, chlebem i kapuśniakiem żywione, więc jak się wziąłem do nich to w okamgnieniu pod nogami memi leżeli. Lecz to ma się rozumieć narobiło nie małego rajwachu aż go posłyszał, jak zarazem się dowiedziałem sam pułkownik Igielstrom, bo wypadł do téj pierwszéj izby, a widząc swoich żołnierzy na ziemi leżących, podobnież jak z nich jeden, ujął mnie za gardło i podobnemi również słowy jak on zawołał: *Szto ty działajesz sukin syn.* Rozwaga przyszła, i siągnąłem po rozum do głowy, a ten mi rzecze, nie rób co zrobiłeś za sukin syna tamtemu, boby źle z tobą było. Więc mu tylko śmiało odpowiedziałem, że oni chcieli mnie udusić, a ja idę do pułkownika Igielstroma.

— *Szto ty chaczysz z ot mienia podlu mużyk.*

Dowiedziawszy się z tego że to on sam, skłoniłem mu się pokornie do nóg, i powiedziałem kto jestem i po co przychodzę. On zaraz na to jakby inny człowiek łagodniejszym wzrokiem na mnie spojrzał, a przybli-

żywszy się do tych żołdaków krzyczał na nich, ale co krzyczał nie wiedziałem, bo to językiem moskiewskim czy tam kałmuckim alem się domyśliwał że ich łajał, gdym zobaczył jak jednego kopnął, drugiego pięścią pod brodę tak uderzył żem słyszał jak zagrzegotał zębami, a trzeciemu tak ucho zakręcił iż mu narwał, aż krew z niego płynęła a oni stali wyprostowani, nieruchomi, jakby ich głaskał. Po tej rozmowie idąc do drugiéj izby kiwnął na mnie ręką mówiąc: *Pajdy siuda durak!* Gdyśmy w téj obaj byli przyskoczył do mnie zajędyczywszy się tak, iż myślałem że mnie coś podobnego spotka jak tych żołnierzy. Ale wam się klnę na wszystko, że pięścią moją byłem już gotów zamalować go tak, iżbym go był uśmiercił. Lecz na szczęście jego i moje rzekł mi tylko, a co rzekł to już tym kałmuckim językiem nie potrafię powtórzyć tylko naszym, a to tak jakem zrozumiał a nawet to przeinaczając, gdyż nie chcę plugawić ust moich a obrażać uszy wasze, gdyż on rzekł mi iż ja chłop powinienem mieć za szczęście iż taki uśmiercony przezemnie junkier zalecał się do mojéj żony i że za zabicie jego nie ściąłby jak miało być głowy ale odarłby mnie ze skóry. A że żyw jestem to nie jemu mam dziękować. Wskazał mi potem drzwi do trzeciéj izby i rzekł: *Tam stupaj i błagodari i but obiazan.* Co powiedziawszy odszedł zostawując mnie samego w téj izbie. Siakie i owakie myśli przeleciały po głowie, ale żebym ujrzał tę którą ujrzałem gdym wszedł do téj izby ani mi się przyśniło. Ja mam jéj dziękować i być wdzięcznym, gdym pomyślał aż mnie ciarki przeszły i nieświadom byłem co zrobić. W tem oczy nasze spotkały się z sobą i wtedy widziałem, że tak zadrżała jak drży zbrodniarz, gdy mu ofiara jego przed oczyma stanie. Ale to jeszcze nie byłoby mnie wstrzymało od powiedzenia: Wolałbym nie żyć, aniżeli żyć za twą spra-

wą. Lecz ona w téj chwili rzuca się do nóg moich i tylko te ściska, całuje a płacze i jęczy.

To jego opowiadanie przerwano mu i usłyszał: Prawisz nam ona i ona my wiemy wprawdzie, że nią była znana całemu Krakowowi Basia, a nie powiadasz zkąd ona wam życie ocaliła, a wy za to nawet jéj dzięków złożyć nie chcieli.

Prawdać że zabaczyłem więc poprawiając się powiem: Ja nie pamiętam bom był 4ro-letnim chłopakiem, ale pani matka opowiadała, że w Krakowie i okolicznych wioskach jeżeli się nie mylę w roku 1738, było tak iż ludzie z głodu marli. W tym czasie matka moja wracając z Krakowa widzi pod murem Panien Wizytek zmarłą kobietę i dziecię chcące wydobyć jeszcze dla siebie z jéj piersi pokarm. Ten widok kogóżby do litości nie pobudził, więc choć sami kilka dni czem żyć tylko mieliśmy, bierze to dziecię i przynosi do naszéj chałupy i w téj wyżywiło się tem co Pan Bóg dawał. Tem dziecięciem była wspomniona Basia chowająca się zemną, najprzód jakby siostrę kochałem, a potem z laty jako kochankę, któréj tak dogadzałem i nadskakiwałem, że gdybym mógł samo słońce dałbym jéj w podarku. Gdy taką jak mi trudno wypowiedzieć dla niéj miłość uczułem, ona jednego dnia przed 4ma laty jak poszła do miasta tak nie wróciła. Mniejsza cośmy przecierpieli, nie mogąc się wywiedzieć co się z nią stało, bo to jeszcze niczem było w porównaniu tych cierpień które nam sprawiła po trzech dniach, gdyśmy się dowiedzieli że ona dla nas i dla Boga zginęła. Gdyż nie wiedzieć jakim sposobem zapoznała się z synkiem IMci pana Marcina Hallera kupca wrocławskiego a mieszczanina krakowskiego, a ten zrobił z niéj dla siebie cacko, które po roku porzucił. Dowiaduje się o tem nasza pani matka, idzie więc do niéj i gada jéj, że Bogu dziękować ma iż tak się stało. Przebłaga go zaś za swój upadek bo już za zrzą-

dzenie Boże ma, że ona co jéj matką była, a którą na tak ciężką boleść wskazała, przebacza jéj i przychodzi aby ją pod strzechę domostwa zabrać, chcąc ją uratować aby z mieszkania szatańskiego stał się w niéj przybytek czysty.

Lecz musiały diabły posłyszeć to i zbiegnąć się, a pochwyciwszy ją między siebie, zacząć szeptać to co tak upadłéj niewieście aby się nieupamiętała kładą w uszy. I tak ten o rozkoszy, ten znów o zbieraniu pieniędzy za które żyć i ubierać się ze zbytkiem będzie. Inni pytali zapewne dla czego ty masz pracować ażeby żyć i to w nudach i biedzie.

Odbyli oni z nią ten taniec diabelski, z którego wtedy wypuszczają tych, którzy nie odgonią ich czystem sercem w miłości Chrystusowéj, aż ich pod moc swoją podbiją. I tak się z nią stało, gdyż jak opętanéj zaiskrzyły się oczy, a twarz w djabelską się zmieniła, że aż strach brał jak nam pani matka mówiła patrząc na nią. A że tak było to nas najsilniéj upewnia, iż w innym razie nie odważyłaby się nigdy na swoją więcéj drugą matkę krzyknąć temi słowy:

— Do miliona djabłów dajciesz nam spokój, szaloną trzeba być jak wy jesteście, aby mnie co jak widzicie panią zostałam, namawiać iżbym tak jak wy gałganicą przez całe życie była.

Co mojéj pani matce się działo, słysząc to, a nawet czyli jéj wtedy za to jakie słowo wyrzekła, ona sama nie mogła nam powiedzieć gdyż jak mówiła tak ją strasznie serce zabolało, iż aż przytomność straciła. I dziwiła się, że jak gdyby spiąca lunatyczka nie wiedząc nic o Bożym świecie szła i zaszła pod ten sam mur PP. Wizytek, kędy uratowała téj życie na jéj nieszczęście, a na swoje srogie umartwienie. W tem miejscu idący do miasta Zbroja nasz sąsiad spotkał ją zatrzymując i pytając:

— Coż to kochana kumosia nie widzi nas i niepowié nawet jak się nam należy [mówić do każdego: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Jezus Chrystus, powtórzyła za nim a z tem wezwaniem imienia Pańskiego nietylko wraca jéj przytomność ale i taki pokój w sercu, jakby tego nie było co ją spotkało. A że Zbroi do miasta spieszno było, więc z nią więcéj prawie nie mówił, a pani Matka wróciła do chałupy. Nie chciała mi powiedzieć jak świadomością moją odbyła to poselstwo do Basi, i dopiéro po długiem naleganiu i prożbie gdym się zaklął, że zmityguję jéj moją znaną porywczość a nawet Bogu za zesłane udręczenie podziękuję, wtedy to powiedziała com wam w téj chwili powiedział. Gdyście już świadomi zkąd to com mówił, działo się ze mną, gdym przed nią u pułkownika Igielstroma stanął, to wam rozpowiedzieć chcę co zaszło między nami daléj. Ale przypomnijcie mi na czem stanąłem, bo człeku jak widzę przebyte nieszczęścia i cierpienia przytomność i pamięć odebrały.

Lecz gdy usłyszał iż powiedział, że płacząc nogi jego ściskała tak daléj mówił:

Zdawało nam się wtedy, iż widzimy u nóg naszych niewiastę idącą za przykładem śtéj Magdaleny, i początek życia szkaradny pięknie zakończyć mającą. W tem majaczeniu do niéj odezwałem się takiemi słowy: Mnie kazano abym tobie dziękował, a ty u nóg moich. Jeżeli to chwila upamiętania i poprawy, i jeżeli ja cię do tego przywiódł stojąc jako pamiątka przypominająca ci coś uczyniła, wtedy sprawiedliwie iż ty u nóg moich dziękujesz za to, boś ty mnie tylko życie doczesne a ja ci wieczne ratuję. Ty mnie skazujesz na cierpienia w tem życiu spotkać mogące, a ja cię wiodę abyś w przyszłem życiu wieczne szczęście pozyskała. A teraz powstań i chodź ze mną. Pierwsze zrobiła, ale drugie że nie zrobi powiedziała, bo lęka się aby Igielstrom

tem rozgniewany nie wywarł zemsty na mnie i na niéj, lecz przyrzeka wrócić pod strzechę naszą. Gdy próżne były wszelkie namowy aby to zaraz zrobiła, wyszedłem z danem mi jeszcze raz tem przyrzeczeniem. Ale to już 3 dni minęło, a jéj jak nie widać tak nie widać.

On na tem skończył swoje opowiadanie, a jeden z słuchaczy rzekł: I nie będziecie jéj widzieć, bo u takich kobiet czułość, żal, szlachetność, a nawet poświęcenie to znajdziesz, ale poprawa, to tak rzadka jak uchwycenie a nawet zabicie naszego tatrzańskiego ptaka turniowca.

— Ja mam nadzieję, rzekł Duda.

— A ja nie, odpowiadam mu, bo ja dopatruję w życiu człowieczem, że łaska Boża, zsyła na grzeszniki chwilowe upamiętanie, aby ich powieść do poprawy, ale którzy z tego zaraz nie korzystają, to ta łaska podobnie jak błyskawica zaświeci im i znów ich w ciemności zostawia.

I prawdę wyrzekł to mówiący, gdyż cztery dni minęło, a jéj jak nie widać tak nie widać wchodzącą w tę chatę, w któréj jéj uratowano życie doczesne, a czekano w niéj jéj przybycia aby żyła, iżby pozyskała żywot wieczny.

Piątego zaś dnia, to jest 22go września, jenerał Apraxyn daje znów taką maskową ochotę, a na téj Basia najpiękniéj ubrana rozmawia śmiejąc się i tańczy do upadłego, gdyż wszyscy oficerowie wiedząc kto ona jest, dobijali się o nią aby przypodobać się pułkownikowi Igielstrom. W czasie téj ochoty już nad ranem przybył z Warszawy feldjegier od księcia Repnina do jenerała Apraxyn, ale ten jenerał choć już po dwakroć chuśtany i rzucany, jednak był tak spity, iż gdy mu przywiezioną depeszę feldjegier doręczył, niemógł żadnym sposobem przeczytać co w téj napisano, czem zniecierpliwiony zaklął sobie ale jak to my napisać znów nie

możemy, a podając ją stojącemu obok niego Igielstromowi powiedział: *Czytajtie i skażytie czto choczet.*

Nie przeczytał ale tylko przejrzał szybko, tę prawie dwóch arkuszową depeszę, poczem powiedział: To rozkaz abyśmy najpóźniéj w 24 godzin po odebraniu téj opuścili Kraków, i pośli ze szlachtą polską obradować na sejmiku w Proszowicach, a jak obradować to tu jest napisane.

Ten to rozkaz ogłoszony tym sposobem w chwili w któréj nie jeden i niejedna marzyła jak rozkosznie pędzić będą dalsze życie w Krakowie, tak zasmucił to towarzystwo, iż natychmiast ustały tańce i tylko idąc za tem zdaniem: Dobry trunek na frasunek — pili do upadłego.

Stósując się do powyższego rozkazu w dniu 24 września jenerał Apraxyn z całą swoją dywizyą wojska rosyjskiego opuścił Kraków, zostawując tylko załogę.

Gdy zaś od tego dnia nie zaszło w Krakowie nic takiego, aż do końca tego roku 1768, o czemby warto spisać, więc na tych wiadomościach kończymy to sprawozdanie o wypadkach zaszłych w Krakowie w pierwszym roku konfederacyi barskiéj.

MORZE I OKRĘTY.

Kłóciły się okręty na przepaściach morza.
Dumnem czołem pod niebo sięgały zuchwale,
A piersią tak cisnęły niewolnicze fale,
Jak gdyby każdy sternik był panem przestworza.

Bóg wié jakie tam dziwy na flagach się kręcą;
Tu kogut, orzeł darty, tu sowa, tam wrona,
Tu nad lisem królewska wdzięczy się korona,
A tam jelenie rogi nad mitrą książęcą.

Pływające wulkany, srożąc się półżartem,
Ciskały sobie wzajem kule i granaty;
A na płonących masztach, niby dla oświaty,
Bił się orzeł z niedźwiedziem a kogut z lampartem.

Aż tu wichry zagrzmiały jak trąby piekielne;
I z kipiącéj otchłani sto gromów zawyje:
„Kto dziś rządzi nademną, jutra niedożyje;
„Ja jedno tu zwyciężam, jam jest nieśmiertelne!“

Nazajutrz słońce wschodzi nad jasne odmęty;
Morze jak dawniéj morzem, lecz gdzież są okręty?

Kraków 1860.

Krystyn Ostrowski.

NA ŚMIERĆ
AUTORA
PRZEDŚWITU.

„Jak Dant za życia przeszedłeś przez piekło“!
Jak Dant w żyjących zostaniesz pamięci;
Niebo cię w szatę wielkości obleklo —
Ojczyzna łzami mogiłę poświęci!
  Gdy myśl stólecia w namiętności wirze
Miotana uczuć skarlałych tumanem,
Złotego bóstwa zimne stopy liże —
Tyś zawsze ducha był wiernym kapłanem.
  Gdy w zimnych piersiach letnie serca biją;
Ostygła wiara w obojętność stęża,
Chrzczeni poganie po pogańsku żyją —
Tyś był przykładem chrześciańskiego męża.
  Gdy w jednych duma zapiera się braci,
W imię pamiątek i przodków świetności,
Drugim się w oczach krew bliźnich szkarłaci —
Tyś wołał do nich Psalmami miłości!

Gdy letniéj nocy wybiła godzina,
Czyn się dokonał przedajnéj sromoty;
Dla ciebie doba ofiar się poczyna,
Sztylet kochanka — nie męża pieszczoty!
Na ścieżkach pokus błąkają się dusze,
Chwieje się Tytan, pijąc jad zniszczenia,
Wskazałeś wszystkie za zdradę katusze,
Odkryłeś wszystkie wyrzuty sumienia.
Ideą zemsty pałały źrenice,
Do wielkich celów wiodła hańby droga,
Tyś konradowskie wstrzymywał prawice,
W imieniu Chrysta uniewinniał wroga.
Wołał do Ojca na krwawéj Golgocie:
Przebacz im! przebacz! nie wiedzą co czynią!
Obcy występkom, bo ślepi ku cnocie...
I tych co dzieje za ich zbrodnie winią.
A ciemną przyszłość okrytą żałobą;
Tyś chciał do raju prowadzić za sobą
W komedyi ziemskiéj ujrzałeś dwie sceny,
Walkę dwóch fałszów, bój silny a stary,
Dwóch gladjatorów wśród dziejów areny,
Wiarę bez czynu i rozum bez wiary.
A gdy się wiara nieczynna zachwiała,
Gdy dumny rozum zwyciężył bez celu,
Tobie się postać krzyża ukazała,
I tyś zwycięzcę uznał w Zbawicielu,
A apostołem, co sam pełen chwały,
Ku jego służbie plemiona zespoli,
Był dla cię każdy duch co zmartwychwstały —
Swobodny w jarzmie, — potężny w niedoli.
Cześć ci o mistrzu! kapłanie, proroku!
Na twoim grobie uklęka stulecie,
Które krzyż nosi niewidzialny oku,
Wielki jak żałość co nam piersi gniecie.

Widzę cię, widzę przed tronem Jehowy!
Ukląkłeś kornie przy klęczącéj Pani,
Co nam króluje z Jasnéj Częstochowy,
Którą czczą z Tobą Jéj wierni poddani;
W ręku ma kielich z krwią własnego syna,
W drugiem krew z łzami zmieszaną bez liku,
Lecz ten się dzisiaj przepełniać poczyna,
Bo tyś go dolał nowy męczenniku!

Wilno 1859 roku.

JERZY LASKARYS.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

I.

Gdzieżeś, o gwiazdo naszych Apostołów!
Czyś w niezgłębionem utonęła niebie?
Wpośród wzburzonych powszechnie żywiołów,
Jak przed rozbiciem, ja wołam do ciebie:
Wypłyń i błyśnij promieniem zbawienia,
Ukaż nam ścieżkę dalszego żywota —
Bo żyć okropnie bez łaski promienia,
I żal i rozpacz tylko sercem miota!

Ach! wypłynęłaś — a twój blask uroczy
Na tajemniczem i ciemnem sklepieniu,
Coraz jaśniejsze wieńce światła toczy,
I oczy moje trzyma w zachwyceniu! —
Tak więc nie zgasłaś, nawet żywiej świecisz,
O gwiazdo! naszym męczennikom znana —
Bo męczenników ogień w sobie niecisz,
Z którym skonali pod ciosem — dla Pana!

Więc krew — i zawsze krew na tym padole!
Jakby koniecznie téj czerwonéj szaty
Świat potrzebował, zanim aureolę
Włoży na skronie, i rzeknie: „Bogaty,
Kto w miłosierdziu Pańskiem ufność kładzie!
Pan weń potęgę, ducha swego wleje,
Że zwalczy wroga, i oprze się zdradzie,
I uwieńczone zobaczy nadzieje!“

O nietoń, gwiazdo! długa koléj nasza —
Wszakże tysiące wiernych męczenników
Ciebie zasila! A ciemność przestrasza,
I w otchłań idziem bez twoich promyków!
Spojrzyj na twarze zasmuconych dzieci,
I na oblicza starców osiwiałych —
W oczach każdego łza twem światłem świeci —
Bo u nas mało serc zakamieniałych!

Jakżem szczęśliwy! tyś mię wysłuchała,
Gwiazdo męczeńska na słowiańskiem niebie,
I apostoła Polski ukazała —
Prowadź mię za nim, ja wołam do ciebie!
Prowadź mię, święte daj widzieć oblicze,
Bym je ujrzawszy, nisko się ukorzył —
Potem jak upadł przez siły zbrodnicze,
I jak mu Ojciec niebiosa otworzył! —

II.

W pierwszych chwilach stworzenia tak zapewne było
Głucho, pusto, ponuro — tak słońce świeciło —

Lecz nigdzie żywéj duszy! — Białe piasku smugi
Ciągną się, jak brzeg morza niedojrzany, długi —
A oni sami jedni wśród téj martwéj ciszy!
I widna trwoga w oczach obu towarzyszy —
Święty mąż tylko ogniem niebieskim zagrzany,
Pragnie co prędzéj stanąć pomiędzy pogany —
I coraz śmieléj kroczy — wespół śpiewa psalmy,
I zbliża się, niewiedząc, do męczeńskiéj palmy!
Bór posępny, co drugich bojaźnią przenika,
Kościołem jest dla świętéj wiary posłannika —
Tu on ółtarz wznieść każe, po chwili wytchnienia,
I oto już brat jego śle modły i pienia —
Głucha puszcza pochłania kapłanów wyrazy,
Lecz je twarde napowrót odbijają głazy,
Jakoby tym kapłanom przez to znać dawały,
Że się słowa ich także będą odbijały
Od serc dzikich poganów! — Ofiara skończona,
I bracia sobie wzajem padają w ramiona,
Łzy ze złami, westchnienie mięszają z westchnieniem,
A oblicza ich boskim jaśnieją promieniem!

III.

Towarzysze zasnęli — lecz apostoł święty
Czuwa, i pobożnemi myślami zajęty,
Stąpa jak duch widomy, w niebo oczy wznosi,
I o błogosławieństwo Boga sercem prosi —
Czasem głośno zawoła: „Jezu słodki, miły!“
A wówczas mu łzy w oczach, jak gwiazdy świeciły.
Wreszcie znużony stawa, słania się i pada,
Ale czuwa, i księgę swych wspomnień rozkłada
Przed oczyma swéj duszy. —

„...Poświęcony sprawie
Narodu i kościoła, bywaj, Bolesławie!
Z jakimże to serdecznym żegnałeś mię bólem,
Mój królu, przyjacielu, opiekunie drogi!
O jeśli komu, tobie przystoi być królem! —
Ku obronie straż dałeś, by poganin srogi
Nie śmiał targnąć się na nas. Lecz słowo zbawienia
Nie miecz ostry, lecz miłość ogłaszać powinna!
I ja tak będę, według bożego natchnienia,
Choćby popłynąć miała moja krew niewinna! —
Wiem ja, mój królu, zbrojni mężowie, gdy wrócą,
Zdając swoję odprawę, że ciebie zasmucą!
A wszakżem ci rzekł: Maryą błagam o przyczynę,
I martwe bogi pogan obalę lub zginę! —
Tak więc bywaj, o królu wielki i wspaniały,
A niebo niech ci doda potęgi i chwały! —
Bywaj mi także ludu, co żyjesz w Krakowie,
Pobożny, cichy — nie tak jak moi ziomkowie!
Tyś się nigdy żadnemi zbrodniami nie zmazał,
I dla tegoś mię słuchał, gdym wśród ciebie kazał.—
Ach! słodkie to i gorzkie wspomnienia zarazem —
O Prago! tyś mi serce przeszyła żelazem,
Gdy zaślepiona moich mordowałaś braci!
Pomnij, Bóg ci to według zasługi odpłaci! —
Bywaj mi także święta Piotrowa stolico,
Wszelkich łask i pociechy przeczysta krynico!
Bywaj, może na zawsze!...“
Tu głowa schylona
Coraz bardziéj się chyli do świętego łona —
I reszta wspomnień w senne zlewa się obrazy,
I na ustach konają ostatnie wyrazy:
„Bogarodzico!...“
Oto chwila uroczysta —
Bór ciemny jeszcze bardziéj zaciemniają chmury,
I oto nagle jasność błysnęła u góry —

Ach! to postać anioła promienna, przejrzysta
Spływa, i swemi skrzydły śpiącego osłania,
Z tą czułością, jak zwykle w godzinach konania
Tych, co mimo ucisku, wiedli żywot prawy.

Trwoży się Anioł, bo tuż zaszumiały trawy
I gałęzie drzew gęstych. — Któż się tu pojawił,
Co Anioła-Stróża téj trwogi nabawił?...
Ach! zaledwie sennego zbudził Apostoła,
Już ich tłuszcza poganów obległa do koła. —
A mąż święty niezachwian jak cedr na Libanie,
Stał wśród burzy ryczącéj z ust zgrai zaciekłéj,
I wołał w niebo: „Ciemnych, racz oświecić Panie!“
Aż go pchnięto — i żywéj krwi zdroje pociekły...
Nie dosyć — krwawa ręka pogan ofiarnika
Rzuca się na drgające ciało męczennika,
Krępujące je szaty z wściekłością rozdziera,
I wbija nóż, by odjąć głowę poświęconą...
Lecz w téj chwili świętemu niebo się otwiera —
I gdy ofiarnik głowę na włóczni zatyka,
Już Święty i Stróż-Anioł w głębi niebios toną...
A jasność wielka trwogą poganów przenika —
Padają, bo wśród gromów niebo się zamyka,
I czarna się w około ciemność rozpościera —
Ofiarnik nóż i szatę opuszcza zbroczoną,
I wzrokiem obłąkanym na tłuszczę spoziéra,
I mówi sam do siebie z głową pochyloną:
— „Stało się! człowiek taki nigdy nie umiera —
A jam go nieśmiertelną ozdobił koroną!“

IV.

I dziś nie jeden poganin choć słucha
Słowa Bożego, modlitwę odmawia,
Zabija ciało — a nie mogąc ducha,
Własny swój żywot trucizną zaprawia!
I nie przemogą zamachy piekielne,
Bo prawo Boże, to nie martwa głoska —
Bo duchy nasze wieczne nieśmiertelne,
I od pogańskiéj wyższa siła Boska!

Przeto cześć Tobie, żeś był męczennikiem,
Żeś krew swą przelał za miłość i wiarę —
Dziś zechciéj naszym być orędownikiem,
U Boga lżejszą wyprosić nam karę —
O chciéj wyjednać podniesienie krzyża,
Bo cięży bardzo, choć do nieba zbliża —
Pomnij, że ciało, co ślepi zabili,
Pobożni, tkliwi Polacy uczcili!

Aleksander Moroz.

WIADOMOŚĆ

O POWIEŚCIOPISARZU HISZPAŃSKIM

FERNANDZIE CABALLERO.

Od lat kilkudziesięciu Powieść najpopularniejsze zdobyła sobie stanowisko w literaturze. Przeszedłszy przez najrozmaitsze cieniowania formy i treści, stała się ona w naszych czasach mniéj więcéj wiernem odbiciem rzeczywistego świata. Kiedy przeszłowieczny „Romans" takie tylko do swych obrazów brał kolory, które jaskrawością swą tem silniéj uwydatniały wyodealizowane postacie, Powieść dzisiejsza odtwarza życie pochwycone na uczynku i fotografuje że tak powiem z całą świeżością i prostotą, cokolwiek pod jéj pryzmat podpadnie.

Takiéj powieści niemiała do niedawna Hiszpania, owa kolebka „Romansu" ów kraj gajów oli-

wnych i pomarańczy, gerylasów i torreadorów, gorącéj krwi i poświęcenia, kraj wiary i miłości ojczyzny. Ale ojczyzna Cida, Cervantesa, Calderona i t. d. niemogła na tem polu pozostać w tyle za innymi. Zaledwo lat dziesięć dobiega jak się pojawiło w literaturze hiszpańskiéj nowe imie jak sfinks zagadkowe, nowy autor zaszczytnie już znany i liczony w rzędzie pierwszych powieściopisarzy europejskich. Tym autorem jest Fernan Caballero-kobieta uczuciem i miłością; mężczyzna wytrawnym poglądem na stosunki życia i logiką wiążącą ogniwa społeczeństwa w jakąś harmonijną, różnobarwną a jednak jednolitą całość.

Kto jest Fernan Caballero? nikt z pewnością nie powie; to tylko jest niewątpliwem że pod zasłoną tego nazwiska pożyczonego od miasteczka w Mancha, kryje się ktoś, co jasnowidzącym wzrokiem, jakim tylko cudzoziemiec patrzyć może, umie dośledzić w każdym ujrzanym przez siebie przedmiocie ową oryginalność, któréj oko stępione codziennem od dzieciństwa na tę samą rzecz patrzeniem najczęściéj niewidzi. Powszechnem jest przeto mniemanie że obca krew płynie w żyłach pisarza, który pomimo rozgłosu swych utworów znanych już czytającéj Europie, trwa uporczywie przy samozwańświe swojem. Niektórzy ośmielają się nawet twierdzić że Fernan Caballero i Cecylia de Arrom są jedną i tą samą osobą.

Cecylia de Arrom jest córką znanego z badań swych nad literaturą hiszpańską Jana Mikołaja

Böhl-Faber z Hamburga, który wbrew swéj skłonności, przeznaczony był do stanu kupieckiego i zanim się całkiem oddał naukom, prowadził z bratem swym wielki dom handlowy w Kadyksie. Ożeniwszy się z hiszpanką Frasquita de Larrea, odbył podróż do Szwajcaryi, gdzie mu się w roku 1797 urodziła córka Cecylia. Pierwsze chwile życia przepędziła Cecylia częścią w Hamburgu częścią w Brunświku, gdzie ojciec jéj chcąc być bliżéj swego przyjaciela od serca i dawnego nauczyciela Campego, pragnął się stale osiedlić. Udaremniła jednak ten plan tęsknota za krajem żony i wstręt do Niemiec świekry jego. Po siedmioletnim pobycie w Hiszpanii wróciła znów Cecylia z ojcem swym do Hamburga, gdzie ukończyła edukacyą. W r. 1813 przeniosła się na zawsze do Hiszpanii i dotąd za trzecim już mężem, szczodrze od fortuny uposażona, żyje w Sewilli.

Niechcąc na nieudowodnionych domysłach opierać wniosków o osobie i pochodzeniu autora znanego pod nazwą Fernan Caballero, zaprzeczyć nie można, że sercem przedewszystkiem jest hiszpanem i że kraj w którym wszystko pokochał gorącą miłością dziecięcia Hiszpanii, uważa za jedyną swoją ojczyznę. Dla tego też każdy utwor jego nosi niezatartą cechę owego uczucia lubującego się we wszystkiem co domowe i swojskie.

Fernan Caballero długo nieogłaszał swoich pism. Dziś cały szereg powieści jego tłómaczonych na różne europejskie języki, znajduje się

w rękach czytającéj publiczności. Bardziéj z pomiędzy nich znane są: „Elia czyli Hiszpania przed trzydziestu laty” „Clemencia” „Gaviota” i inne. Powieść, którą podajemy poniżéj, chcąc czytelników naszych zaznajomić z jednym przynajmniéj utworem nowego pisarza, napisał Fernan Caballero z opowiadania naocznego świadka. Ukończywszy „Rodzinę Alwaredów” dał ją do przeczytania Washingtonowi Irving, który się przypadkiem znajdował w Sewilli, a pochwała sławnego tego współziomka Fenimora Cooper pierwszym była bodźcem dla ambicyi autora, który odtąd nieprzestaje na polu tem daléj pracować.

Antoni Kłobukowski.

RODZINA ALWAREDÓW

przez

FERNAN CABALLERO.

KSIĘGA PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Idąc wzdłuż starego muru, opasującego jakby kamienną wstęgą miasto Sewillę i zostawiwszy na prawo rzekę i promenadę *las Delicias*, dochodzi się do bramy Św. Ferdynanda.

Od téj bramy ciągnie się równiną aż do stóp wzgórza zwanego *Buona Vista*, w prostéj linii droga, która przebiegłszy przez most murowany na drugą stronę rzeczki Tagarety, wspina się na dosyć stromy stok wzgórza, na którego szczycie sterczą ruiny kaplicy.

Rzuciwszy na drogę wzrok lotem ptaka, zdaje się że Sewilla wyciąga ramie do tych ruin, i umyślnie je trzyma w górę podniesione, aby ku nim zwabić uwagę; ruiny te bowiem aczkolwiek drobne i niemające na sobie śladów artystycznéj wartości, są religijną i historyczną spuścizną po wielkim królu Ferdynandzie III, którego pamięć tak jest popularną w Hiszpanii, iż dotąd naród sławi go jako bohatera, czci jako świętego, i kocha jako króla.

Z przeciwnéj strony wzgórza droga znów spuszcza się nadół i wkracza w dolinę przerzniętą łożem strumienia tak schludnie wypłukanem, że widać na dnie jego błyszczący zwir i złoto-żółty piasek.

Na drugim brzegu strumienia leży po lewéj stronie rzeki miłą powierzchownością nęcąca karczma; po prawéj wznosi się zamek maurytański dumnie rozparty na wyżynie, która zdaje się jakby dla tego tylko wyrosła, aby mu służyć za piedestał.

Zamek ten darował Piotr król Kastylii swéj pięknéj i słynnéj kochance Donna Marya de Padilla, któréj imie dotąd nosi.

Zamek i włość Donna Marya przeszły z upływem czasu, zapewne przez pobożną darowiznę, na własność katedry sewilskiéj, a kapituła sprzedała je w naszych już czasach najwięcéj ofiarującemu. Nowy dziedzic zapłacił tłuste pastwiska i piękne gaje oliwne; pamiątki historyczne niewchodziły w rachubę, wkrótce bowiem sędziwa, zmarszczkami poorana i od starości pożółkła Donna Marya ukazała się w szacie z śnieżnego wapna, w zielonych zawojach i w krzyształowych brylantach, wymuskana i strojna jak zalotna dziewczyna, a pomiędzy uradowanym tą zmianą gminem rozeszła się pogłoska, że piękna grzesznica odpokutowawszy zapewne winy swe pięciowiekowym czyścem, weszła do łaski bożéj.

Puśćmy się jednak drogą wiodącą pośród karłowatych palm przez pastwisko ku wsi *Dos Hermanas* [1]), położonéj w piaszczystéj równinie o parę mil od Sewili. Aby wieś tę używającą rozgłosu szpetności, uczynić malowniczą i piękną, trzebaby na to tworczéj, kłamliwéj wyobraźni. Ten co ją tu maluje, bierze rysy z natury.

Napróżnobyś w niéj szukał widoku jeziora lub rzeki, owych chat wiejskich z zieloną w oknach ramą, szpalerów uwitych z pnących się roślin, lub owéj pięknéj ulicy drzew, któreby jak niewolniki trzymały szeregiem baldachimy nad podróżującym, aby go od skwaru uchronić. Nieujrzysz tu ani pysznego pawia ani perłowéj kokoszy, skubiących bujną murawę. Nie — wszystko tu wyznać z żalem musimy, jest dzikie, szorstkie, bez wdzięku.— Ale zato znajdziesz hoże, wesołe twarze, jakby na dowód że szczęście samo sobie wystarcza. W ogródkach w tyle domów rosną kwiaty, przed drzwiami igrają silne i żwawe dzieci a wszędzie słodki spokój, jaki dają samotność i cisza, wszędzie atmosfera raju, niebo raju.

Wieś składa się z kilku szerokich ulic o jednopiętrowych domach. Ulice prowadzone w nużąco prostéj lecz nie równoległéj linii, wychodzą na wielki plac piaszczysty, rozsnuwający się nakształt żółtego kobierca przed pięknym kościołem, dumnym swą wieżą zakończoną krzyżem, jak wojownik swoim sztandarem.

Po za kościołem jest oaza téj pustyni. W tylnéj ścianie domu bożego znadują się drzwi prowadzące do podłużnego i obszernego dziedzińca, w którego głębi leży kaplica Św. Anny, patronki wsi. Tuż obok kaplicy stoi przybudowany do niéj mały ubogi domek jéj dozorcy, który zarazem jest kantorem i zakrystyanem kościoła. W dziedzińcu stoją tajemniczo melancholijne, stoletnie

---

[1]) Nazwa ta znaczy: dwie siostry.

cyprysy; owdzie w złotym swych owoców dyademie pomarańczowe drzewa, daléj winna latorośl jak niemowle potrzebujące opieki aby zdrowo rosło, oplata z pieszczotą dziecięcą szerokie swe liście około żerdzi wspierających jéj wątłe siły.

Na prawo i na lewo wsi ciągną się owe nieskończone lasy oliwne, tworzące główną gałęź gospodarstwa w Andaluzyi. Drzewa sadzone są w pewnych odstępach od siebie, co weselszy nadaje pozór lasom, których grunt zresztą zbyt jednostajnie pługiem bywa równany i czyszczony. Gdzieniegdzie nasuwają się oku folwarki owych włości do których lasy należą. Zabudowania folwarczne stawiane są bez symetryi i smaku, a obszedłszy je wkoło trudno nieraz front ich odszukać. W kamiennych owych masach nieujrzysz nic okazałego, prócz chyba wież gęstych wiatraków, które zdają się liczyć z góry okoliczne drzewa. Dobra należą po największéj części do arystokracyi Sewilskiéj, ponieważ jednak kobiety nie lubią życia wiejskiego, są one zwykle niezamieszkałe, zaniedbane i puste. Ztąd nieraz w odległych i samotnych tych okolicach ciszę przerywa tylko pianie koguta, pilnie dozorującego swój seraj, lub ryk osła, którego samotność znudzi.

Jednak dosłyszeć było można przy zmierzchu pięknego styczniowego wieczoru w roku 1810, dźwięczny i świeży głos dwudziestoletniego młodzieńca, który ze strzelbą na ramieniu szedł pewnym i lekkim krokiem ścieżką prowadzącą pomiędzy oliwnemi drzewami. Kształtna jego postać odznaczała się dobrym wzrostem i godnością; ruchy jego i chód objawiały ową lekkość, wdzięk i elegancyą, jaką sztuka z trudnością nadaje, a jaką natura szczodrze obdzieliła Andaluzyjczyków. Prawdziwy wzór hiszpańskiego typu trzymał on w górę podniesioną głowę, kruczym połyskującą włosem. Wielkie jego czarne oczy pałały ogniem, spojrzenie zdra-

dzało odwagę i rozum, a pięknie odkreślająca się zwierzchnia jego warga lekko skurczona figlarnym jakimś półuśmiechem, odkrywała rząd śnieżnéj białości zębów. Cała jego postawa znamienowała pełnię życia, siły i energii. Srebrna spinka błyszczała w białéj koszuli pod śniadą jego szyją. Na sobie miał krutką brązową sukmanę, takież same krótkie spodnie, spięte u kolan jedwabną taśmą z kutasami, a żółty jedwabny pas owijał się kilkakrotnie około jego wysmukłéj kibici. Juchtowe trzewiki i starannie stębnowane kamasze okrywały stopy jego i niższą część goleni, z resztą aksamitem wykładany i w jedwabne kutasy strojny kapelusz portugalski o szerokich kręgach, zsunięty w lewą stronę na bakier, dopełniał tego eleganckiego andaluzyjskiego ubioru.

Młody ten człowiek znany z czynnego umysłu i nieustraszonéj odwagi, powołany został przez rządcę wzwyż wymienionych włości na dozorcę w czasie zbioru oliwy. Idąc nucił on sobie:

Biegąc do lubéj o zmierzchu
U stóp mam skrzydła sokole,
Wprzód staję na góry wierzchu,
Nim inny z góry na dole;
Lecz gdy się z lubą rozstanę,
Nogi me jakby spętane.

Doszedłszy do parkanu otaczającego gaj oliwny, przesadził przezeń lekko nieszukając wrót i znalazł się na gościńcu oko w oko z innym młodzieńcem, mało co starszym od siebie, który w tę samą szedł drogę. Ubiór jego był taki sam jak pierwszego, wzrostem był jednak niższy i mniéj prosto się trzymał. Oczy piwne nie tak miał żywe, wzrok spokojniejszy, usta poważniejsze i łagodniejszy umiech. Zamiast strzelby niósł na ramieniu rydel, przed nim szedł osieł, zanim wielki pies białożółtój maści, z krótkim, gęstym włosem, z pięknéj owéj rasy estremadurskich psów pasterskich.

— Ach, to ty Periko! niech będzie pochwalony — rzekł przyszły dozorca.

— Na wieki wieków, Wenturo! odpowiedział zagadniony... czy idziesz na wieczernicę?

— Nie — idę za interesem, odrzekł. Z resztą tydzień już mija...

— Jak niewidziałeś mojéj świtry Elwiry, przerwał mu z łagodnym uśmiechem Periko... Tem lepiéj, możesz przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec.

— Trzymaj język za zębami Periko! i ja toż samo zrobię. Gdy sam stoisz na lodzie niepodrywaj drugiemu nóg, odezwał się dozorca.

— Tyś szczęśliwy Wenturo! mówił daléj westchnąwszy Periko; możesz się żenić kiedy zechcesz — nic ci na przeszkodzie nie stoi.

— A cóż tobie wzbrania ożenić się? zapytał Wentura.

— Wola mojéj matki, odpowiedział Periko.

— Jakto? zawołał Wentura. Wszakże Rita jest młoda, ładna i z uczciwego domu, cóż jéj zarzucić może?.... z resztą jest twoją siostrą cioteczną....

— Dla tego też właśnie matka opiera się temu małżeństwu...

— Ot przesądy staréj kobiety! Czyż chce być mądrzejszą niż kościół, który na to zezwala?

— To nie skrupuły religijne; ona powiada że związki pomiędzy bliskiemi krewnymi sprzeciwiają się naturze; ta sama krew wywiera siłę ujemną zamiast dodatniéj, a prędzéj czy późniéj wynikają z tego cierpienia, nieszczęścia i dolegliwości. Tysiąc na to przytacza przykładów...

— Śmiéj się z tego, rzekł Wentura, niech sobie wróży nieszczęścia jak ptak złowieszczy. Matki zawsze coś wynaleść muszą przeciwko ożenieniu się synów.

— Nie — odpowiedział uroczyście Periko, bez zezwolenia matki nie ożenię się nigdy.

Kilka chwil szli milcząc obok siebie; wreszcie przerwał Wentura.

— Ja tak robię jak ów kapitan okrętu, który wysłał ludzi na statek a sam na lądzie pozostał, lub jak ów kaznodzieja który powiedział: „idźcie za słowami nie za czynami mojemi“. Czyż i mnie nie wstrzymuje wola ojca, jak lwa sieć niciana? Wierzaj mi Periko! gdyby nie ojciec mój, który się temu sprzeciwia, byłbym już w téj chwili w Utrerze, gdzie się formuje szwadron ochotników przeciw tym podłym zdrajcom, którzy się w progi nasze zakradli jako przyjaciele, aby się stać panami kraju i obce jarzmo nam narzucić. Wiesz Periko, że postępujemy jako źli Hiszpanie i tchórze siedząc w domu, kiedy widzimy braci naszych spieszących w szeregi.

— I ja tak myślę, odpowiedział Periko, lecz jakże mam opuścić matkę i siostrę, które niemają nikogo ktoby się niemi zajął? Możesz mi jednak wierzyć, że jeżeli matka niepozwoli mi się żenić, to tak dłużéj żyć nie mogę i pójdę z drugimi. Jest to moje postanowienie.

— I dobrze zrobisz, rzekł Wentura z przyciskiem. Co do mnie, przyjdzie dzień, w którym niech mnie wołają jak zechcą, a odpowiedzi méj nie usłyszą, lecz w dniu tym, wierzaj mi Periko, mniéj już będzie o kilku Francuzów na ziemi hiszpańskiéj.

— A Elwira? zapytał Periko.

— Uczyni jak inne. Będzie na mnie czekać... lub mnie opłakiwać.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Dom rodzinny Perika był obszerny, wewnątrz i zewnątrz schludnie pobielony; po obu stronach drzwi wchodowych stały kamienne ławki. U powały wisiała lampa przed wizerunkiem Zbawiciela umieszczonym nad wewnętrznemi drzwiami świetlicy, jak tego wymaga obyczaj katolicki, według którego myśl religijna wszystkiemu przodkować i nad wszystkiem opiekę rozciągać powinna. W środku dziedzińca wyrastało z silnego i gładkiego pnia ogromne drzewo pomarańczowe, okryte koroną liści. Piękne to drzewo było od kilku wieków źródłem rozmaitego użytku dla rodziny. Zmarły Juan Alwareda ojciec Perika, odnosił z tradycyjną zarozumiałością początek jego aż do epoki wypędzenia Maurów, twierdząc że go sadził jeden z Alwaredów, niegdyś żołnierz za czasów króla Ferdynanda św.; a gdy proboszcz brat jego żony, wątpiąc w starożytność i nieprzerwany prąd geneologicznego potoku jego rodziny, prostować chciał to jego twierdzenie, odpowiadał spokojnie z niezachwianem ani na chwilę przekonaniem, że wszystkie rodowody świata są odwieczne, i że jeżeli pochodzenie w prostéj linii u bogatych wygasnąć może, w rodzinach ubogich niebywa nigdy tego wypadku.

Kobiety tego rodu warzyły z liści drzewa pomarańczowego napoje wzmacniające żołądek i łagodzące nerwy. Dziewczęta stroiły się w jego liście lub smarzyły je w cukrze. Dzieci zasycały pragnienie i odświeżały krew swą jego owocem. Ptaki szukały w pośród liści jego spoczynku i wesołe nuciły mu pienia, podczas gdy właściciele jego, którzy pod jego cieniem wzrośli, pilnie podlewali go w lecie, a w zimie uschłe obłamywali ga-

łązki, jak się wyrywa białe włosy z głowy ukochanego ojca, który niechciałby jeszcze wydawać się starcem.

Po prawéj i lewéj ręce drzwi wchodowych znajdowały się dwa jednakowe mieszkania złożone z świetlicy, z któréj dwa małe okienka z kratami wychodziły na ulicę, i z dwóch alkierzyków sypialnych tworzących kąt z świetlicą, do których światło padało z dziedzińca. Drzwi w głębi świetlicy prowadziły na oborę, gdzie się znajdowała kuchnia, pralnia i stajnia, a w samym środku wznosiło się drzewo figowe tak mało posiadające samolubstwa i dumy, iż w nocy nieodmawiało kurom spoczynku na swych gałęziach, i nigdy, choćby tylko na figiel, nieugięło ich pod niewygodnem brzemieniem.

Pan domu od lat trzech leżał już w grobie. Gdy przeczuwał zbliżający się już kres swój, zawołał syna swego Perika i rzekł: „Czeka cię staranie około twéj matki i siostry. Czuwaj nad siostrą, i prowadź ją, a słuchaj i daj się prowadzić matce. Żyłem w bojaźni bożéj i pamiętałem o śmierci, dla tego mnie przyjście jéj nieprzeraża ani zadziwia. Przywódź sobie na pamięć śmierć moją, abyś się jéj nie lękał; wszyscy Alwaredowie byli ludzie rozsądni; w żyłach twoich płynie taż sama krew hiszpańska; która ich takiemi uczyniła. Bądź im podobnym, a będziesz żył szczęśliwie i umrzesz spokojnie.“

Wdowa po nim Anna była znakomitością w swéj sferze, a mogła nią być i w innéj. Wychowana przez brata swego, ktory był proboszczem, posiadała wykształcony rozum, poważny charakter, takt pełen godności i instynktową miłość do cnoty. Przymioty te łącznie z zamożnością nadawały jéj nad najbliższemi przewagę, któréj umiała używać, nie nadużywając jéj. Posłuszny, skromny i pracowity jéj syn Periko był jéj pociechą i niczem niedał jéj powodu do zmartwienia, prócz miłością do swéj krewnéj Rity.

Córka jéj Elwira trzema laty młodsza od brata, była to dziewczyna urocza jak malwa, skromna jak fiołek, czysta jak lilja. W dzieciństwie była słabowitą i to nadało jéj twarzy, bardzo zresztą podobnéj do brata, ową bladość i wyraz spokojnéj rezygnacyi, które ją szczególnym darzyły powabem. Od dzieciństwa miała skłonność do Wentury, pięknego i odważnego syna sąsiada Pedro, przyjaciela i kmotra zmarłego Juana Alwaredy. Żona Pedra umarła przy urodzeniu córki, którą ojciec oddał na wychowanie siostrze nieboszczki, będącéj zakonnicą w Alkali. Po rozłączeniu się z córką przelał Pedro całą swą miłość na syna swego Wenturę, który pod okiem jego pełnem dumy ojcowskiéj i radości wzrósł na młodzieńca najpiękniejszego i najdzielniejszego we wsi.

Wprost naprzeciw mieszkania Alwaredów stał domek Maryi, matki Ritty. Marya była wdową po bracie Anny rządcy w sąsiedniéj wsi *Quintos*. Kobieta ta dobra, łagodna, rzetelna i otwarta, niemogła zdobyć się na tyle męztwa i energii, aby pokonać nieuległy, szorstki i uparty charakter, jaki od dzieciństwa córka jéj Ritta objawiała. Złe te przymioty rozwinęły się w niéj bez żadnéj przeszkody. Umysł jéj był gwałtowny, temperament porywczy, a serce zimne. Twarz jéj śliczna, czarująca, pełna wyrazu i dowcipu, ożywiona, różowa i figlarna, zupełną tworzyła sprzeczność z twarzą Elwiry; pierwszą przyrównać było można do świeżéj lecz kolcami najeżonéj róży, druga była to istny *flos passionis* nad którego listkami wznosi się jako symbol cierpienia, cierniowa korona, podczas gdy na dnie jego kielicha słodki miód jest ukryty.

Wyliczając członków rodziny i krewnych, niemożna pominąć Melampa, psa którego już spotkaliśmy w orszaku Perika. Należy mu się to wyszczególnienie, nie wszystkie psy bowiem są sobie równe. Melampo był to godny i wspaniały pies, który pomimo lwiej swojéj siły nieprzywła-

szczał sobie pomiędzy rasą swoją roli Herkulesa. Szczekał rzadko a nigdy bez ważnéj przyczyny; był wstrzemięźliwy a co więcéj niełakomy. Nigdy on się panom swoim nie łasił, nieoddalał się jednakże od nich ani na krok pod żadnym pozorem. Napady małych piesków które za nim zapamiętale szczekały, odpierał tylko dumną pogardą, lecz zato Melampo położył już trupem sześć lisów i dwa wilki, a raz rzucił się na byka ścigającego swego pana, i zastanowił go w pędzie, schwyciwszy za ucho jak niekarnego żaka. Z takiemi wspomnieniami mógł Melampo spokojnie w słońcu rozciągnięty na swych laurach spoczywać.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Młodzieńcy przybywszy na miejsce, zastali przed domem Elwirę i Ritę. Obydwie oparte o drzwi otulone były w mantylle z żółtego sukna wyłożone czarnym aksamitem, jakie podówczas zwykły były nosić kobiety z ludu, zamiast używanych dziś wielkich szalów. Niższa część twarzy ich była zakryta, widać było tylko czoło i uszy.

Periko pozdrowił swoją siostrę i rzekł:

— Uważaj Elwiro! ten ptaszek ma chęć ci ulecić, zamykaj dobrze klatkę... Pilno mu spótkać się z Francuzami, którzy się jak złodzieje w nocy zakradali do nas.

— Słychać, dodał Wentura, że są już niedaleko Sewilli. Mamyż się patrzyć na to z założonemi rękami i milczeć?

— O nie, zawołała Elwira, mam w Bogu nadzieję że do tego nie przyjdzie, tylko nie mów mi o tem. Święta

Anno, patronko moja! jeżeli to nieszczęście od nas odwrócisz, dam ci co mi najmilszego, dam ci włosy moje których splot w błękitną wstążkę obwiązany na twoim ołtarzu zawieszę.

— A ja, rzekła Rita, ślubuję kaplicę świętéj w dniu jéj uroczystości dwiema równiankami goździków przystroić, jeżeli się ztąd co prędzéj wyniesiecie i niewrócicie więcéj.

— Niegodzi się mówić tak nawet żartem, rzekła z wyrzutem Elwira.

— Niech sobie mówi, odezwał się Wentura, twój splot włosów milszym jednak będzie świętéj niż jéj równianki.

W téj chwili nadeszła Marya matka Rity. Była ona starszą od swéj bratowéj Anny, a chociaż zaledwo sześćdziesiąt lat liczyła, postać jéj drobna i wątła i szybkość z jaką się kobiety z ludu starzeją, przedstawiały ją o wiele sędziwszą. Okryta była w orzechową mantylę i drżała.

— Dzieci, rzekła, ujrzawszy stojących przed drzwiami domu, noc się już robi, po co tu marzniecie?

— My marznąć? odpowiedział Wentura, odpinając koszulę — mnie gorąco; mróz jest w waszych kościach ciotko Maryo.

— Nie igraj ze zdrowiem mój synu, odrzekła Marya, i nierachuj na twoją młodość. Śmierć w metrykę nie zagląda. Wiatr północny ostry jak brzytwa, a płuca nie z żelaza

To mówiąc weszła do domu, a za nią wszyscy prócz Wentury. Udał się gdzieś daléj za interesem.

Anna siedziała przy ognisku, około którego zwykła się rodzina w zimie gromadzić. Miedziany piec błyszczał jak złoto na swéj niskiéj drewnianéj podstawie. Izba była obszerna a podłoga wysłana grubą matą. W około stały proste stołki plecione z trzciny z niskiem siedze-

niem i wysoką poręczą. Stół jodłowy na którym paliła się wielka metalowa lampa i wielkie krzesło skórą obite, uzupełniały skromne sprzęty pokoju. W sypialni stało wysokie łóżko, okryte białą kołdrą z mocno skrochmalonemi falbanami, wielki kufer cedrowy na nóżkach, które go chroniły od wilgoci, stoliczek z takiegoż drzewa, a na nim w machoniowéj szafce oszklony piękny obraz Matki bolesnéj; obok leżały książki nabożne i „Wieniec tajemny czyli żywota świętych“ przez O. Baltazara Centellas.

Gdy się już zgromadzili wszyscy, nadszedł Pedro kmotr Anny, która poczęła odmawiać różaniec. Przestawszy się modlić, zasiadła przy kołowrotku i przędła, Elwira robiła siatkę, Pedro siedząc w wielkiem krześle zapalił sobie cygaro, Periko piekł kasztany i żołądź dla Rity, która je jadła; Marya modliła się daléj cicho, i niekiedy zdrzemnąwszy, kiwnęła głową naprzód.

— Co to będzie bez deszczu, odezwał się Periko, ziemia zeschła jak kamień, a niebo jak piec rozpalone. Przed rokiem o tym czasie tyle już było deszczu że niedojrzał ziemi z pod trawy.

— O tak, odpowiedział Pedro, tego roku bydło będzie padać z głodu, kiedy w przeszłym wszędzie podostatkiem miało paszy.

— Mnie się zdaje, rzekła Elwira łagodnym głosem, że niedługo się zadeszczy. Dziś rzeka miała brzegi czarne, a to, jak lud mówi, oznacza spiącą burzę, która gdy ją wiatry zbudzą, przeciągnie ponad ziemią.

— Ja, odezwała się Rita; widziałam dziś w nocy wodnika, a ile razy ta gwiazda świeci, burza niezawodna.

— A tak, tak, będzie deszcz, powiedziała Marya, przebudzona ze snu dźwięcznym i donośnym głosem córki, bo już mnie w kościach łupać zaczyna. Wiatr i woda to owoce czasu, a tych zabrakło. Żal mi tylko

biednych pasterzy, którzy nocy takie pod gołem niebem przepędzać muszą.

— Niech was o to głowa nie boli, rzekł wesoło stary Pedro, który zawsze miał na pogotowiu dowcip, przysłowie, bajeczkę lub wierszyk; na tym świecie wszystko od przyzwyczajenia, co jednego grzeje, to drugiego ziębi. Przyzwyczajenie wygładza wszystko jak morze i ozłaca jak słońce. Raz pewien pasterz pojął w małżeństwo dziewcze piękne jak róża; przypadek zrządził że w nocy weselnéj szatańska powstała burza z błyskawicami i grzmotem, nawałnicą i uraganem. Pasterz nieposiadał się z radości, opuścił żonę i przez otwarte zawołał okno: o czemuż nie mogę cię użyć niebiańska nocy!

— Piękną znalazła rywalkę młoda mężatka, rzekła Rita śmiejąc się w głos. —

Uderzyła godzina ósma, odmówili *animas* *) i rozeszli się.

Gdy matka sama pozostała z dziećmi, rozesłała Elwira lśniący białością obrus na stole i postawiła na nim półmisek sałaty.

Matka i córka jadły; Periko nachylony nad ogniskiem wygartywał w zadumaniu łopatką węgle tlące w popiele.

— Czy nie będziesz wieczerzał Periko? zapytała Elwira podając mu chleb, który sama piekła.

— Nie jestem głodny, odpowiedział nieoglądając się.

— Czyś chory mój synu, zapytała Anna.

— Nie matko! odpowiedział.

Wieczerza skończyła się w milczeniu, lecz gdy Elwira wyszła z talerzami, Periko nagle przemówił do matki.

— Matko! jutro pójdę do Utrery i zaciągnę się w szeregi owych prawych Hiszpanów, btórzy bronić chcą swojéj ojczyzny.

---

*) Modlitwa wieczorna za dusze w czyścu będące.

Słowa te przeraziły Annę jak piorun. Przywykła do uległości syna, który nigdy się jéj nie sprzeciwiał rzekła:

— Na wojnę! to znaczy że nas chcesz porzucić. Nie, to niepodobna... mógłżebyś opuszczać twoją matkę i siostrę? nie, ja niepozwalam na to.

— Matko! odrzekł Periko z goryczą, wiem, że czego ja chcę, tego wy nigdy niechcecie. Narzuciliście pęta méj woli, teraz chcecie i ramie moje zbezwładnić. Przeszkody tylko, zawsze przeszkody! Ależ matko! rzekł żywiéj, ulegając owym dwom wielkim bodźcom grającym tak wielką rolę w sercu męża, miłości ojczyzny w całéj czystości, i miłości kochanki w całéj potędze; matko! mam lat dwadzieścia dwa i dosyć siły i woli do pokonania każdéj przeszkody, jeżeli mnie do tego zmusicie.

Anna zdziwiona i przerażona, złożyła trwożliwie zimne i drżące swe ręce i zawołała:

— Więc niema już żadnego środka pomiędzy ożenieniem się, które cię unieszczęśliwi, a wojną, która cię życia pozbawi?

— Niema żadnego! odpowiedział Periko, którego obawa, aby w zaczętéj walce nie został pokonanym, natchnęła wbrew charakterowi jego, wzrastającym uporem — albo zostanę i ożenię się, albo ruszam w drogę aby spełnić powinność Hiszpana.

— Żeńże się więc... rzekła matka tonem stanowczym; z pomiędzy dwóch nieszczęść wybieram dalsze ale pamiętaj o tem Periko, co ci matka twoja dziś mówi: Rita jest próżna i lekkomyślna, oziębła w wierze i niewdzięczna córka. Zła córka będzie również złą żoną. Krew wasza nie dla siebie. Przypomnisz sobie kiedyś co ci dziś mówię, ale już będzie zapóźno.

To mówiąc wyszła do sypialni chcąc ukryć łzy przed synem, które tłumiła w sobie.

Periko który matkę swą czcił i kochał, mimowolny zrobił ruch, jakżeby chcąc ją zatrzymać. Silił się przemówić, lecz zwykła lękliwość i wzruszenie odebrały mu mowę. Zerwał się nagle, przesunął ręką po wilgotnem czole i wyszedł.

Gdy się to działo, Rita oczekując nadaremnie Perika w oknie, zniecierpliwiona i niespokojna pomyślała w końcu.

— Kiedy tak, to sobie teraz przychodź albo nie przychodź, a nazwiesz mnie niewiem czem jeżeli ci niekażę dłużéj czekać niż ty mnie... i zatrzasła z łoskotem drzwi od sieni.

W téj chwili uderzył kamyk o ścianę. Było to umówione hasło którem Periko dawał znać o swem przyjściu.

„Rzucaj sobie, rzucaj, aż ci zabraknie kamieni w *Dos Hermanas*, a drzwi się dla tego przed tobą nie otworzą, rzekła Rita do siebie, mamże czekać jak twoja oślica, aż ci się przyjść spodoba... o nie, nie idzie tak paniczu!

Drugi kamyk silniéj rzucony, niż to zwykł był czynić Periko, uderzył o ścianę.

— Oho, zauważała Rita, coś mu bardzo pilno! niech się dowie że czekanie mniéj słodkie jak cukier. Szkoda tylko że deszcz nie leje jak z cebra... lecz po niejakim namyśle dodała: i cóż z tego że się powaśniemy, będzie to największa uczta dla téj staréj kocicy, matki Perika. Już widzę jak mu podsuwa ową świętoszkę Marcellę, córkę Pedra, którą chytry ów lis chowa w klasztorze jak marynowanego śledzia, czekając aż Perika głód zmorzy. Nie będzie z téj mąki chleba, na to ja...

I szybko otwierając okno dokończyła zaczętą myśl:

— Tu jestem... cóżto, mówiła daléj w tonie szorstkim do Perika, czy chcesz zburzyć ścianę. Poco mnie budzisz? Gdy czekam, spać mi się chce — a kiedy śpię nielubię żeby mnie budzono. Idźże sobie zkądeś przyszedł, lub gdzie ci się podoba, wszystko mi jedno...

I zabierała się zamknąć okno.

— Rito, Rito! zawołał Periko — mówiłem z matką.

— Co mówisz? odezwała się Rita, otwierając znowu na pół zamknięte okno. Toż to cud większy niż ów z oślicą Balaama. I cóż ci powiedziała owa *mater* bynajmniéj nie *amabilis*?

— Powiedziała, rzekł Periko radośnie, że się możemy pobrać.

— Czy tak? zapytała Rita, mój Boże! jakże się to często wiatr obraca. Ale zmieniać zdanie to znak mądrości. Cóż ty na to Periko, jeżeli idąc za dobrym przykładem twéj matki, jak mi to moja zawsze kładzie w uszy, ja teraz odmienię zdanie i powiem „niechcę“?

— Rito, Rito! powtarzał Periko, ty będziesz moją.

— Zobaczemy... zresztą to „niechcę“ wydaje mi się jak piastr; im go więcéj obracam w palcach, tem się piękniejszem staje.

Tego rodzaju dowcipkowaniem zatarła Rita w sercu Perika owo uroczyste wrażenie, jakie nań słowa matki wywarły.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Następnego rana siedziała Anna smutna i strapiona, gdy wszedł stary Pedro.

— Jestem tu kmotro, rzekł, bom przyszedł.

— Witajcie kmotrze!

— Ale przyszedłem bo mam do pomowienia z wami.

— Mówcie kmotrze, tylko rozsądniéj.

— Musicie wiedzieć że temu szaławile Wenturze przyszło do głowy dać sobie skórę jak rzeszoto podziurawić

przez tych niegodziwych Francuzów, których niech piekło pochłonie!

— Ej kmotrze, zabijcie nieprzyjaciela w uczciwym boju, ale nieprzeklinajcie go. I Periko to samo myślał uczynić. Smutna to rzecz kmotrze, a okropna dla nas, ale naturalna.

— Nie przeczę tego kmotro (potępienie zdrajcom!) Ale przecież to mój jedynak, któregobym niechciał nawet za okup całéj Hiszpanii utracić. Jeden tylko mam środek odwrócenia go od téj myśli i przychodzę wam się zwierzyć.

To mówiąc usiadł Pedro w starem skórzanem krześle, zagarnął poły od płaszcza i zbliżył nogi do ognia.

— Kmotro, rzekł wreszcie z tą zwykłą gadułom płynnością słów też same oddających myśli, nie lubię długich wstępów, które tylko wysuszają język. Rzecz należy przedstawić krótko i jasno. Tędy albo owędy, oto moja zasada. Co w pięciu minutach powiedzieć można, po co na to trwonić godzinę. Po co odkładać na jutro co się dziś da zrobić. Prosta droga zawsze najkrótsza. Ale do rzeczy, nie cierpię bowiem zaczynać od stworzenia świata, ani...

— Doprawdy kmotrze! słuchając was możnaby sądzić inaczéj. Powiedźcież raz, co was do mnie sprowadza?

— Ale powoli, powoli! nie jestem przecież rusznicą, odpowiedział Pedro, przez rozmowę tylko wzajemnie porozumieć się można; czyż nas zresztą kto goni? Do kata kmotro, wyście żywi jak iskra i nagli jak oddech. Powiedziałem wam moja gorąco kąpana Jejmość, że jeden tylko mam środek przygaszenia rakiety, która co tylko nie pęknie, a środek ten zależy na tem aby uczynić krok, który i tak prędzéj czy późniéj byłbym uczynił; słowem aby rzecz krótko wyłuszczyć, przychodzę was prosić dla mego Wentury o rękę waszéj Elwiry, pra-

gnąc aby zięć którego stręczę, równie wam był miłym, jak mnie synowa, o którą oświadczam mego chłopca.

Anna nie ukrywała radości swéj z związku tak pod każdym względem stósownego i upragnionego równie dla rodziców jak dla dzieci.

Oboje, jako ludzie zamożni przeszli wprost do układów o warunki ślubne.

— Wiecie kmotrze, rzekła Anna, tak dobrze jak ja, jaki posiadamy majątek; chodzi tylko o podział. Dom ten przypadał zawsze najstarszemu. Winnica słusznie być powinna własnością Perika, bo ją ulepszył i po większéj części nowo zasadził. Krowy jemu także przeznaczam, gdyż póki żyję musi mnie utrzymywać. Osła...

— Ale kochana kmotro, przerwał jéj Pedro, cóż się zostanie Elwirze? Według tych rozporządzeń nie inaczéj ona od was wyjdzie jak Ewa z rąk stwórcy.

— Elwira dostanie gaj oliwny, odpowiedziała Anna.

— A to posag godny księżniczki! zażartował stary Pedro. Proszę kogo, gaj oliwny nie większy jak chustka do nosa, z którego olej nie wystarczy nawet do lampy przed obrazem Zbawiciela...

— Przed dwudziestu laty wydawał przeszło sto *arrobów* [1]).

— Co było a nie jest nie pisze się w rejestr, rzekł Pedro, przed dwudziestu laty dziewczęta szalały za mną.

— Chcecie mówić przed czterdziestu, odezwała się Anna.

— Niepotrzebna wcale dokładność kmotro; ale do interesu... w gaju oliwnym więcéj brakuje drzew, niż włosów głowie ś. Piotra, a te co są, wyglądają tak dorodnie jak lichtarze kościelne w wielki tydzień.

— Musieliście ich dawno niewidzieć kmotrze. Odkąd Periko wie że gaj oliwny siostrze jego w dziale przy-

---

[1]) Arroba=25 funtom.

padnie, pielęgnuje drzewa jak krzaki róż w doniczkach. Każde ma tyle miejsca dla siebie ile potrzeba aby wygodnie rość mogło. Elwira dostanie graniczne obszary, które przerzyna strumień.

— A które dla tego samego narażone są na posuchę, bo strumień przez pół roku wyschły, a przez pół roku bez wody. Bądźmy jednak otwartemi. Lubię kiedy chleb chlebem, a wino winem; w pierwszym nienawidzę otręb w drugiem wody. Obszary te kmotro, są nędzne, nic nie przynoszą i na to się nawet nie przydadzą, aby się osieł po nich mógł tarzać. — Ale — wszakże nas tu nikt nie słyszy — czyż w roku zeszłym nie sprzedaliście dwóch paśnych samur, z których każda ważyła po piętnaście *arrobów*? Liczmy tylko funt po *pezecie*; sto korcy jęczmienia po piętnaście realów; sto bukłaków wina i sto octu. Otóż nadarza się sposobność dać odetchnąć świeżem powietrzem złotemu cielcowi, którego na dnie skrzyni więzicie. Gdy król Karol IV przybył do Jerez. Przytoczę wam tę powiastkę za przykład — podano mu wyborne wino. Ale jakie wino! kmotro, bodaj czy nie lepsze jak z waszéj winnicy. Jego Królewska Mość, który się znał jak mało kto na tym szlachetnym trunku, oddał mu należną pochwałę. Miłościwy Panie, rzekl Alcada napuszony próżnością — bo trzeba wam wiedzieć że mieszkańcy w Jerez dumniejsi są jeszcze na swoje wino niż ja na mego syna — miłościwy panie, znajdzie się jeszcze i lepsze. Tak? rzekł król, to go schowajcie dla lepszego gościa. Otóż kmotro, to wam opowiedzieć chciałem, a wy możecie z tego zrobić zastósowanie.

— No, to się rozumie kmotrze, wszystkie te pieniądze i więcéj coś jeszcze zaoszczędziłam i uciułałam dla ukochanéj mojéj córki, odpowiedziała Anna.

— Takiéj mowy to aż miło słuchać, rzekł uradowany Pedro; dalibóg kmotro, warciście skarbów Peru. Co zaś mego Wentury się tyczy, weźmie on wszystko po mnie

bo Marcella chce wstąpić do klasztoru. Otóż widzicie że niebędzie charłakiem... dostanie dom...

— Ej to buda, rzekła Anna.

— Muły...

— Stare jak świat, dorzuciła Anna.

— Kozy...

— Od których więcéj płacicie kar za szkody sąsiadom, niż warto ich mleko, sery i namiastek...

— I mój ogród... mówił daléj Pedro nieodpowiadając na żarty Anny, któremi poprzednie jego przycinki odwetować chciała.

Wśród téj rozmowy porozumieli się względem głównych zarysów ślubnéj ugody i jak dawniéj pozostali najlepszymi w świecie przyjaciołmi.

Gdy Pedro odszedł zarzuciła Anna wełnianą mantylę na siebie i tłumiąc boleść swą i wstręt, udała się do domu Maryi.

Marya, która bratowéj swéj za uczynność jéj dla siebie nie w jednym razie doświadczoną okazywała wdzięczność i miłość, przyjęła ją z największą radością.

— Błogosławione oczy, które cię w domu tym widzą, zawołała, ujrzawszy wchodzącą, jakaż myśl szczęśliwa sprowadza cię do nss?

I szybkiem ruchem podała jéj krzesło.

Anna usiadła i objawiła cel swego przybycia.

Propozycya ta taką radością napełniła biedną wdowę że jéj zabrakło słów na odpowiedź.

— Ach siostro, zawołała przerywaną mową, jakież to szczęście! O drogi mój Periko! Pomyślność tę zawdzięczam świętemu Antoniemu. A ty Anno, czy cieszysz się z tego? Rita jest wprawdzie nieco porywcza, ale w gruncie nie złe to dziecko; trochę krnąbrna, ale to moja wina siostro. Gdybym ją była tak wychowała jak ty twoją Elwirę, byłoby inaczéj. Zobaczysz że będzie dobrą żoną. Lekkomyślność ustąpi z latami. Wszy-

stkiemu powodem moja wielka miłość i jéj młodość. Rito, Rito! zawołała, chodź prędzéj, ciotka twoja przyszła. Co mówię? matka; gdyż matką chce ci być żądając twéj ręki dla swego syna.

Rita weszła do izby sztywna jak bankier i zimna jak dyplomata.

— Cóż mówisz na to córko, zawołała uradowana Marya.

— Wiedziałam już o tem odpowiedziała Rita.

— Ależ, rzekła do niéj matka, po cichu, czemuż tak jesteś obojętną jak królewna i zimna jak mróz grudniowy.

— Czyż dla tego że mnie żądają w zamęście, mam tańczyć fandango, odpowiedziała Rita głośno.

Anna wstała i wyszła.

Marya zasmucona odstręczającem obejściem się swéj córki, odprowadziła bratowę aż do drogi, wyrażając jéj wdzięczność swą i przywiązanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Zaczęto robić przygotowania weselne. Ślub Elwiry z Wenturą miał się wprzód odbyć niż Perika z Ritą, niepotrzebowali bowiem czekać na dyspensę z Rzymu.

Pedro chciał aby córka jego Marcella mogła być na weselu brata przed rozpoczęciem nowicyatu, i postanowił sprowadzić ją z Alkali. Marya, która miała w Alkali dług do odebrania, a w chwili téj całéj swéj potrzebowała gotówki, korzystała z podróży starego przyjaciela aby swoją w jego towarzystwie odbyć.

Tak się wybrała w drogę para starców na mułach. Marya przeżegnała się odmawiając modlitwę do archanioła Rafała, patrona podróżnych od czasów Tobiasza.

Marya siedząc wygodnie na poduszkach kobiecego siodła, ubrana była w suknią z materyi bawełnianéj fałdowaną w stanie, i w czarny wełniany kaftanik, którego wąskie rękawy spięte były na zgięciu rzędem srebrnych guziczków. Około szyi miała obwiniętą białą muślinową chustkę, zapiętą w tyle dużą szpilką. Końce w trójkąt złożonéj chustki, którą miała na głowie, związane były pod brodą [1]).

Pedro w takim samym był prawie ubiorze, w jakim wyżéj przedstawiliśmy syna jego, z tą różnicą że sukno u niego było nieco grubsze, pas jak wdowcowi przystało, czarny, całe ubranie przestrzeńsze; kapelusz bez żadnych ozdób i z szerszemi kręgami prosto miał na głowę włożony, nie zaś jak syn jego zuchwale na bakier zsunięty.

— Prześliczny dzień, rzekła Marya, ujrzawszy się wśród pól rozległych, zdaje się że słońce pobudza do radości śmiejące się niwy...

— Tak, rzekł Pedro, słońce sobie dziś pięknie wymyło złotą twarz swoją i wyostrzyło promienie, które kłują jak igły.

I dobył kapczuk z króliczéj skóry z tytoniem, z którego jął sobie zwijać cygaro.

— Maryo, rzekł ukończywszy robotę, pewny jestem że z próżnemi rękami wrócicie z Alkali. Ale jakiż bis podszepnął wam, żeby takiemu hołyszowi pożyczać? Czyż niewiedzieliście że niema nawet gdzie głowy położyć aby skonać, i że na dwie tylko porcye liczyć może: porcyę głodu i porcyę nędzy?

---

[1]) Kobiety z ludu do dziś dnia tak się ubierają.

— Ależ mój dobry Pedro, odpowiedziała Marya, kiedy się ma pożyczać, to się pożycza ubogim, bogaci tego niepotrzebują. Zresztą był to przyjaciel...

— Niewiecieżto że pożyczając przyjacielowi traci się przyjaciela i pieniądze? Ja wam przepowiadam że ów wierzyciel spłaci wam w trzech terminach: późno, źle, nigdy.

— Wy bo zawsze co najgorszego przypuszczacie Pedro.

— I zgaduję prawie zawsze. Przysłowie mówi: Lękaj się najgorszego a niezawiedziesz się.

Po chwili począł nucić piosnkę, której nie kończąca się nigdy zwrotka brżmi:

Noc była, godzina wtóra,
W tem harce zawrzały diable —
Zrywam się — drży na mnie skóra,
W dłoń nagą porywam szablę,
Każdy kąt zwiedzam dokoła,
I... nieznajduję nic zgoła.
Lecz że traf to arcyrzadki,
Powtórzę wam więc wypadki.
Noc była, godzina wtóra i t. d.

Marya nic nie mówiła i niewiele więcéj myślała; ukołysana lekkim chodem muła poddała się cała znużeniu, akie piękny dzień wiośniany wywierał i zaczęła drzemać.

Na pół drogi stała karczma. Gdy się do niéj zbliżyli, leżało kilku żołnierzy, rozciągając się na ławkach kamiennych, znajdujących się po obu stronach drzwi pod wystawą dachu. Zaledwo ujrzeli zbliżającą się parę podróżnych, rozwinęli cały zasób dowcipów, żartów i igraszek zwyczajnych pomiędzy ludem a szczególnie pomiędzy żołnierzami.

— Dokądże to, rzekł jeden z nich, dążycie staruszku z tą waszą wielkopostną twarzą?

— Matko, rzekł inny, czy stoi jeszcze kościół, w którym byliście chrzczeni?

— Matko, odezwał się trzeci, pamiętacie też jeszcze o waszéj nocy ślubnéj?

— Ojcze, zagadnął czwarty, czy jedziecie do Alkali aby poślubić tę dziewczynkę?

— Nie — odpowiedział Pedro powoli zsiadając z muła, poczekam aż będę wieloletnim i aż dziewczynka ta wyrośnie.

— Matko, zapytali żołnierze, czy wam niepomódz zsiąść z waszego rumaka.

— Otóż to co najlepszego zrobić możecie, odrzekłaj poczciwa staruszka.

Żołnierze zbliżyli się z uprzejmością i ostrożnie zsadzili ją z muła.

Pedro wszedł do szynkowni i zastał tam kilku znajomych, którzy go poczęstowali wódką, do czego niedał się zmuszać, wypiwszy kieliszek rzekł:

— Kiedy byłem gościem, koléj na mnie być gospodarzem. Nieodmówicie mi przyjaciele i wy panowie, których nieznam lecz których jestem najniższym sługą, wypić za zdrowie moje kieliszek anyżówki.

— Ojcze Pedro, rzekł młody mulnik z *Dos Hermanas*, opowiedźcie nam co, a ja tymczasem nie omieszkam dolewać wasz kieliszek aby wam w gardle nie wyschło.

— No, rzekła Marya, która wypiwszy kieliszek anyżówki, usiadła na worach z pszenicą, teraz trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jak stary Pedro język rozpuści, to niestaniemy dziś na miejscu, chyba jeżeli się powtórzy cud Jozuego.

— Bądźcie spokojni Maryo, powiedział Pedro, nie przyjdzie wam tak długo siedzieć na worach, ażbyście dostali odcisków tam, gdzie słońce nie zagląda.

— Czy to prawda ojcze Pedro, zapytał mulnik, co

matka moja mówi, żeście w młodości byli zaręczeni z Maryą?

— Nieinaczéj, i za wielki sobie to poczytuję zaszczyt, odpowiedział Pedro.

— Bajka, zawołała Marya, bajka! tak wielka jak ten dom. Nie chełpcie się daremnie Pedro! niebyłam z nikim w życiu zaręczoną prócz z moim mężem; panie świeć nad duszą jego.

— Seńora Marya, jakże to słabą macie pamięć, czy nie wiecie że:

Król stracić może koronę i ludy,
Nie straci chwały, że był królem wprzódy.

— Prawda, odrzekła Marya że mi się raz na weselu mojéj krewnéj oświadczył i jednego wieczora pod okno moje przyszedł, lecz taka go ogarnęła trwoga, że zostawiwszy mnie sam uciekł, jak gdyby bojaźń stopom jego skrzydeł dodawała i pewna jestem, iż nie pierwéj się zatrzymał aż nosem o krawędź świata uderzył.

— Jakto? zawołali słuchacze śmiejąc się na całe gardło, to tak umiecie dawać drapaka kiedy was trwoga ogarnie, ojcze Pedro?

— Nie udaję też śmiałka, odrzekł spokojnie Pedro, i nie chcę odbierać nagrody Franciszkowi Estevan.

— Więcéj w tem tchórzostwa jak wstydu, zauważała zniecierpliwiona Marya.

— Widzicie moi panowie, rzekł Pedro figlarnie mrugnąwszy okiem, że mi nieprzebaczyła jeszcze. A co, czy mnie niekochała? Lecz chciałbym wiedzieć, mówił daléj kto też z was jest jak ów Cid Campeador, coby chciał mieć do czynienia z nadprzyrodzonemi rzeczami.

— Nic tam niebyło nadprzyrodzonego prócz waszéj trwogi, a jedynym powodem kamień, który zapewne kot strącił z dachu.

— Opowiedźcie jak to było ojcze Pedro, zawołali obecni, chcemy być sędziami w tym sporze.

— Musicie wiedzieć moi panowie, zaczął Pedro, że okno które mi wskazała Marya, znajdowało się w tylnéj ścianie domu, a widok z niego wychodził na odległe i samotne miejsce w końcu wsi. W pobliżu był obraz przedstawiający dusze w czyścu, przed którym paliła się lampa. Ujrzawszy światło przypomniało mi się zdarzenie niedawno temu zaszłe. Co noc przechodził po przed tym obrazem owcarz z prożnemi łagwiami, w które o wschodzie słońca mleko na drugi dzień zabierał. Ile razy do miejsca tego zdążył, zdejmował bez ceremonii lampę z przed obrazu i zapalał sobie cygaro. Jednéj nocy — było to przed dniem zadusznym — gdy jak zwykle chciał od lampy cygaro zapalić, nagle światło zagasło. Zdziwiło go to, noc bowiem była pogodna i bez najmniejszego wiatru.

Zawiesił lampę i puścił się w dalszą drogę.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy obejrzawszy się po chwili, ujrzał lampę jaśniéj niż kiedykolwiek płonącą.

Uznał w tem przestrogę bożą i pełen pokuty i żalu za swój czyn świętokradzki, chcąc się sam zań ukarać, uczynił ślub że nigdy więcéj niezapali cygara. I moi panowie, dodał Pedro poważnie, ślubu tego dotrzymał.

W téj chwili nastąpiło milczenie, którego nikt nieprzerwał.

— Tu dałoby się zastósować, odezwała się Marya po chwili, to co zwykle mówią, gdy wszyscy na raz zamilkną, że anioł po nad nami przeleciał i powiewem swych skrzydeł pobożne rozlał milczenie.

— Cóż daléj?... zawołali mulnicy, kończcie ojcze Pedro.

— Otóż moi panowie, mówił Pedro w dawniejszym żartobliwym tonie, lampa ta przejęła mnie poszanowa-

niem, zaprawionem niejaką dozą trwogi. Godziż się, pomyślałem sobie, w obec cierpiących i pokutujących dusz nieboszczyków, do dziewczyny smalić cholewki. Wierzajcie mi jak jestem Pedro, iż szczególny wpływ na mnie wywarło to światło, które płonąc świętym blaskiem na cześć umarłych, zdawało się czuwać i napominać, patrzyć na mnie i czynić mi wyrzuty. Niekiedy było blade i ponure jak *de profundis*, niekiedy zdawało się nieruchome jak oko umarłego zwrócone ku mnie, to znów płomień przedłużał się w górę, jak grożący ognisty palec, który zdawał się mnie przestrzegać.

Jednéj nocy, gdy światło to wydawało mi się groźniejszem niż kiedykolwiek, ugodził mnie tak silnie w głowę kamień rzucony niewidzialną ręką, że zostałem odurzony, i gdym chciał uciekać, stało mi się, chociaż to było w otwartem polu, tak zupełnie jak owemu murzynowi *Przygodzie*, który mając troje drzwi przed sobą do żadnych trafić nie mógł; to jest biegąc wpadłem zamiast do domu do łomów kamieni.

— Ojcze Pedro, rzekł ktoś z obecnych, tyle razy słyszałem o murzynku *Przygodzie*, a nigdy dojść nie zdołałem, dla czego mu tak dziwną nazwę dano. Czy nie moglibyście mnie o tem objaśnić?

— Czemuż nie? odrzekł Pedro, przecież to rzecz znana.

Był raz bardzo bogaty murzyn, który mieszkał naprzeciwko sławnéj z piękności kobiety. Pani ta oburzona pochlebstwami i oświadczeniami czarnego wielbiciela, opowiedziała całą rzecz mężowi. Mąż namówił ją, aby mu w nocy dała *rendez-vous*. Uczyniła to i murzyn przyszedł przyniosłszy z sobą podarunków bez liku. Przyjęła go w sali z trojgiem drzwi, gdzie zastawić kazała obfitą wieczerzę. Lecz zaledwie usiedli do stołu, zgasiła świecę i mąż wpadł z batem, którym murzynowi plecy do sina wychłostał. Biedny murzyn tak był przerażony

trwogą, że chcąc uciekać niemógł drzwi znaleść, i za każdem cięciem bata wołał wyskakując w górę:

Cóż za przygoda! — ach trupem padnę . . .
Wszak jest drzwi troje, nie trafiam w żadne.

W końcu znalazł przecie drzwi i wyleciał niemi jak wiatr. Niesyty w zemście małżonek wybiegł za nim i strącił go na dół ze schodów. Na to wyjrzał służący i zapytał co znaczy ten łoskot. Cóż ma znaczyć odpowiedział murzyn:

Na palcach biegłem po rozkosze
Teraz na plecach się wynoszę.

— I to było przyczyną, zapytał śmiejąc się mulnik, dla czegoście się z sobą poróżnili?

— Nie — odpowiedział Pedro, w tydzień późniéj uzbroiłem się w odwagę i pobiegłem pod jéj okno, lecz Marya go nieotworzyła.

— Matka Marya niechciała abyście byli ukamionowani jak święty Szczepan, rzekł mulnik.

— Nie tak się rzecz miała mój chłopcze, odrzekł Pedro, oto Miguel Ortiz, który czas swój wysłużył, pozbywszy się munduru wrócił do wsi, a Marya przeniosła go nademnie. . .

— Bo się niebał, przerwała Marya, rozmawiać z dziewczyną w uczciwym zamiarze, w pobliżu obrazu z duszami w czyścu. Czyście sobie wyobrażali, że wszystkie dusze na obrazie przedstawione były wolnego stanu?

— To się rozumie Maryo! bo ożenieni na tym świecie cierpią już męki czyścowe, mężowie przez żony swoje, a matki przez synów. Tak byłem tem moi panowie strapiony, że niechciałem pozostać w czasie wesela w *Dos Hermanas*, lecz udałem się do Alkali. . .

— Gdzie, dodała Marya, tak o mnie myślał, że wrócił ożeniony z drugą.

— Prawda, potwierdził Pedro, gdyż zawsze trzymałem się zasady: „król umarł, niech żyje król."

— No, stary gaduło, rzekła Marya wstając, komu w drogę temu czas.

— Ruszajmy więc, odezwał się Pedro, bo słońce doskwiera, może nas deszcz zaskoczyć.

— Dziękuję za nic, rzekła Marya, już wolę słońce i osy, choćby mnie nawet skąsały.

— Zkądby się wziąść miał deszcz, wszak to marzec, zauważył mulnik.

— A niewiesz to Jose, rzekł Pedro, że raz styczeń marcowi przyrzekł jagnie, gdy jednak marzec nadszedł, jagnięta tak były piękne i tłuste, że styczeń obietnicy swéj dotrzymać niechciał. Wtedy rzekł doń marzec z oburzeniem:

Sam jeszcze trzy dzionki mam pełne,
A trzech mi kmotr kwiecień ustapi;
Poczekaj nim czas ten się nastąpi,
Oskubię ja z owiec twych wełnę.

A teraz bywajcie zdrowi panowie!

— Czego wam się tak spieszy matko Maryo, rzekł jeden z obecnych, czy się lękacie żebyście w ziemię nie wrośli.

— Nie — ale muły nasze nie takie jak twoje Jose.

— To prawda, rzekł Pedro, podsadzając Maryę, tu wszystko stare: jeżdczyni, giermek i muły. Moja mulica tak jest rozważna, że nie wie na którą nogę ma kuleć, bo kuleje na wszystkie cztery, a Maryi taka stara, że gdyby gadać umiała, mówiłaby do wszystkich ty. Żegnam was moi panowie.

— Zdrowia i pieniędzy, ojcze Pedro!

Podróżni nasi puścili się w dalszą drogę a przybywszy do Alcali poszło każde w inną drogę za swemi interesami.

W godzinę potem znowu się zeszli. Pedro przyprowadził córkę, która się Maryi rzuciła na szyję z tym wylaniem czułości, jakie właściwe jest zakonnicom i dzieciom, to jest istotom których serce przez zetknięcie się z społeczeństwem nie skaleczyło się, nie zraniło i niewyziębło. Marya nieszczędziła jéj pieszczot.

— Odebraliście pieniądze? zapytał Pedro.

— Ofiarowano mi odpowiedziała Marya, albo połowę zaraz albo wszystko po żniwach, nie będąc jednak przy pieniądzach, wolałam pierwsze.

— Salomon niemógłby mądrzéj postąpić Maryo, szczęśliwy kto posiada, a lepszy wróbel w ręku niż sto na dachu.

Pedro wziął na siodło przed siebie córkę swoją i puścili się w drogę. Marya czuwała nad swemi pieniądzmi, Marcella nad kwiatami, plackami i t. d. które otrzymała w darze, a Pedro nad obiema niewiastami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Przybycie Marcelli uradowało wszystkich. Rita sama jedna niezdołała ukryć swego zmartwienia z obecności dziewicy, która przez obydwie rodziny przeznaczoną była za żonę dla Perika. Nienawiść i zimna obojętność, jakich Rita od Perika w obejściu się z Marcellą wymagała, były pierwszym szronem, który padł na czystą, wiośnianą duszę młodziana.

Marcella niedomyślała się wcale owych przywar w charakterze Rity. Niemogła nawet mieć pojęcia o nich, albowiem jakkolwiek dziewica wiekiem, dziecięcą miała duszę. Od najpierwszéj młodości wychowana w klasztorze, stworzyła sobie w ciasnem kole, jaki interes i namiętność kosztem szczęścia i niewinności rozszerzają, oderwane od świata, swobodne życie. Kochała ona swoje zakonnice; ogród i ciche, spokojne zatrudnienia najwięszą były dla niéj rozrywką, a całym celem zajęcia pobożne ćwiczenia, kościół, obrazy świętych.

Są ludzie którzy tego niepojmują lub udają że pojąć niemogą. Swiat pojmuje z resztą wszystko: zbrodnie rozpustę, najochydniejsze żądze; tylko skłonność do spokojnego, odosobnionego, o teraźniejszość i przyszłość beztroskliwego życia, jest dlań niezrozumiałą zagadką. Świat wierzy we wszystko, wierzy w emancypacyą kobiety, w moralność kradzieży, w filantropią gilotyny; wierzy w mieszkańców księżyca i inne baśnie, które Anglicy zowią u siebie *puff*, a Francuzi *canard*. Świat, ów satyr niedowierzający, wszystko da w siebie wmówić, gdyż nic nie jest tak łatwowiernem jak niedowierzanie, nic tak zabobonnem jak bezbożność. Ale w czyste dążności, w skromne pragnienia, w pokorne serca, w religijne uczucia nie wierzy. Są to w przekonaniu jego baśnie, których weń wmówić niemożna. Dla filozofa roszczącego sobie prawo kierowania opinią, zakonnica jest albo ofiarą, albo wyrodkiem, wypowiadającym posłuszeństwo ustawom natury i świętym jéj popędem. Wasze „święte popędy“ wzniosłe są zaiste i szlachetne, kiedy stworzyły wolną niewiastę, a potępiają czystą, religijną i pokorną!

Pierwsze wyjście Marcelli było w towarzystwie Anny i Elwiry do kościoła i kaplicy świętéj, patronki wsi. Żona zakrystyana służyła im za przewodniczkę. Kaplica była długa a wąska. W głębi stał ołtarz z wizerunkiem

świętéj. W szklannéj urnie osadzonéj w ołtarzu widać było krzyż drewniany i dzwonek.

Wizerunek świętéj Anny był bardzo stary i rozszerzał się u spodu w kształcie dzwonu. Na piersiach miała Święta obrazek Matki boskiéj z dzieciątkiem Jezus. Piętno starożytności cechujące ten obrazek wraz z symbolem odwiecznéj idei, podnosiły pobożny umysł po nad krańce teraźniejszości.

Na ścianie po prawéj ręce wisiały dwa wielkie malowidła. Na jednem z nich widać było dwie dziewice, którym się aniół objawił, na drugiem obok tychże samych dziewic mężczyzna zajęty był kopaniem dołu w samotnéj, wiejskiéj okolicy.

Po lewéj krata żelazna otaczała wnijście do podziemnego sklepu, do którego małe schodki prowadziły.

Marcella i towarzyszki jéj odprawiwszy modlitwy, usiadły w altanie na stołkach, które im żona zakrystyana przyniosła. Marcella prosiła uprzejméj gospodyni, aby im opowiedziała co przedstawiają obydwa obrazy wiszące w kaplicy. Poczciwa staruszka lubiąca gawędę, cofnęła się w opowiadaniu swem w dalszą przeszłość i następnie mówić zaczęła:

Kronika „Dos Hermanas“ według ludowego podania.

Przed bardzo dawnym czasem panował w Hiszpanii Don Rodrigo, monarcha znany z rozpusty. Był wtedy zwyczaj że wszyscy panowie hiszpańscy córki swe na dwór wysyłali. Zdarzyło się więc że hrabia Julian wysłał tamże piękną swą córkę Florindę, znaną pod nazwiskiem *La Cava*. Król ujrzawszy ją rozpłonął ku niéj miłością; że jednak była cnotliwą, jak na kobietę z jéj rodu przystało, król niewahał się zdobyć przemocą czego mu dobra wola odmówiła. Florinda schańbiona napisała zalewając się krwawemi łzami nstępujący list do ojca:

„Ojcze! twój i mój honor został zbezczeszczny. Lepiejby było dla mnie i dla ciebie gdybyś mi był śmierć zadał, zamiast mnie tu wysyłać. Pomścij siebie i mnie“.

Gdy hrabia Julian list przeczytał odszedł od zmysłów, a odzyskawszy je na powrót, przysiągł na krzyż swego miecza że zemsta jego świat zadziwić i ogromowi hańby wyrównać musi. Wtym celu wszedł w układy z Maurami i oddał im Tarifę i Algesiras. Jak wezbrana rzeka, która tamy pozrywa, zalali Maurowie Andaluzyę.

Wpadli do Sewilli, która się wtedy nazywała Hispolis i do téj wsi, zwanéj podówczas Oripus. Zanim chrześcianie uciekli, ukryli w ziemi obraz patronki swéj św. Anny. Tu przez lat pięćset przeleżał, aż król Ferdynand święty kraj opanował, Maurów wypędził i Sewillę obległ. Maurowie stawiali jednak tak zapamiętały opór, iż król upadać zaczął na duchu. Wtedy ukazała mu się we śnie na zawalonéj teraz wieży w *Dos Hermanas* Matka boska, zagrzewała jego męztwo i przyrzekła mu wygraną. Pełen otuchy wrócił król do swéj armii w Alcali. Tam zwołał malarzy, ile ich zgromadzić było można i rozkazał im taki sam zrobić obraz, jaki widział we śnie; gdy się jednak żadnemu z nich niepowiodło dopełnić woli jego, król bardzo był zafrasowany.

Wtedy ukazali się dwaj cudnéj urody młodzieńcy ubrani za pielgrzymów, i podjęli się wykonać obraz całkiem podobny do tego jaki król widział we śnie. Król przeznaczył im pracownię, w któréj znajdowały się wszelakie przyrządy, lecz gdy nazajutrz party niecierpliwością wszedł tamże aby zobaczyć, jak daleko postąpiła robota, pielgrzymów już nie było. Narzędzia leżały na ziemi nietknięte, a w ołtarzu wisiał obraz N. Panny, jak dwie krople podobny do tego, jaki się królowi we śnie objawił. Król niewątpiąc że pielgrzymami owemi byli aniołowie, rzucił się twarzą na ziemię

i przelewał łzy przed obrazem, którego tak pragnął, a który mu królowa aniołów sama przez tychże zesłała.

Gdy święty ów król Sewillę zdobył, kazał obraz N. Pannie na rydwanie zaprzężonym sześcią białemi końmi w tryumfie po mieście obwozić, sam idąc boso. Umieścił on obraz ten w katedrze, gdzie do dziś dnia czczony jest pod wezwaniem „N. Panny królewskiéj". W kaplicy u stóp jéj spoczywają zwłoki króla.

Wkrótce po tym wypadku gotował się król do innéj wyprawy, licząc z niezachwianą ufnością na pomoc nieba. Rozłożył obozem wojsko swe na niedalekiem wzgórzu *Buena-Vista*, z kąd rozciągało się dwoma skrzydłami oczekując na jego rozkazy. Skwar i pragnienie znużyły armię i osłabiły w niej ducha. Wtedy król kazał z broni postawić ołtarz i umieścił w nim obraz Matki boskiéj który zawsze woził z sobą u siodła przypięty. Wesprzyj mnie o Pani! zawołał, a jeżeli za wstawieniem się twojem krzyż w Sewilli zatknąć zdołam ślubuję ci wznieść na tem miejscu kaplicę poświęconą twéj czci i złożyć w niéj chorągwie zdobyte w Sewilli.

Wtéj chwili wytrysło u stóp wzgórza z siedmiu otworów źródło czystéj jak kryształ wody, które do dziś dnia płynie i „źródłem królewskiem" się zowie.

Ludzie i konie ugasiwszy pragnienie, nowéj nabrali siły i ochoty do czynów; Sewilla została zdobytą a król Maurów Aira przyniósł boso na złotéj tacy świętemu zdobywcy klucze miasta, które dotąd w skarbcu katedry pomiędzy relikwiami się przechowują.

W owych czasach — mówiła daléj opowiadająca — żyły w prowincyi Leon dwie pobożne siostry Elwira i Estefania. Razu jednego objawił się im anioł, i kazał im natychmiast odszukać obraz, który chrześcianie w ziemi ukryli.

Ojciec pobożnych tych dziewic Gomez Nazareno, równie świątobliwy jak córki jego, towarzyszył im. Pu-

ściwszy się w drogę frasunek ich był wielki, gdyż niewiedzieli w którą się stronę udać. Wtem posłyszeli w powietrzu głos niewidomego dzwonka, za którym idąc doszli do miejsca, gdzie dzwonek u stóp ich w ziemi zniknął.

Wtedy miejsce to puste i gęsto zarosłe cierniowemi krzakami nosiło miano „zaklęta dolina“, Maurowie bowiem którzy się gorliwie zajmowali uprawą tych okolic, niemogli go uzyżnić, gdyż strzegł go anioł z mieczem.

Zaczęli więc kopać w ziemi i napotkali płytę kamienną, a podniósłszy ją w górę ujrzeli to samo wnijście do podziemnego sklepu, które się dziś pod kaplicą znajduje. Tu zobaczyli obraz świętéj, krzyż i dzwonek, który ich jak gwiazda trzech królów, zaprowadził w to miejsce i lampę która paliła się jeszcze i dotąd płonie przed obrazem świętéj, na cześć któréj już od przeszło tysiąca lat niezagasa.

Siostry zabrały obraz świętéj i wystawiły jéj kaplicę. Pod ich opieką powstał z czasem szereg domów a w końcu wieś, która na pamiątkę swych założycielek nazwę *Dos-Hermanas* zachowała. Patrzcie, rzekła daléj żona zakrystyana prowadząc pilnie słuchające kobiety do kaplicy, oto jest obraz, którego nic niezdołało zniszczyć, ani wilgoć ziemi, ani pył powietrza, ani ząb czasu. Na tych obu malowidłach wyobrażone są obie pobożne siostry.

Po obu stronach ołtarza wisiało mnóstwo wotów.

Pomiędzy temi szczególniéj zwróciło na siebie uwagę Marcelli siedm małych nóg srebrnych związanych różową wstążką.

— Cóż znaczy ten dar? zapytała żona zakrystyana.

— Złożył go tu kowal Markos, odpiedziała. Biedny ten człowiek takiego raz dostał bólu w nodze, że ani żyć ani umrzeć niemógł. Żona jego wyczerpawszy wszelkie środki, jakie jéj doradzano, przywiozła go na wózku

do Sewilli. Ale i tu lekarze nie znaleźli ulgi na jego cierpienie.

Cały majątek biednych tych ludzi przeszedł na kuracyą. Pewnego dnia przywiedziony do rozpaczy nieszczęśliwy Markos cierpieniem i płaczem dzieci nadaremnie o chleb wołających, zwrócił głęboko strapione swe serce do Boga za pośrednictwem świętéj naszéj patronki, którą gorąco błagał, aby mu przywróciła zdrowie, póki dzieci pomocy jego potrzebują. Jak tylko dzieci moje bezemnie się obejdą rzekł, z radością zstąpię do grobu; lecz jeżeli za twojem wstawieniem się o Święta! odzyskam zdrowie, ślubuję ci corocznie małą srebrną nogę jako świadectwo cudu, na ołtarzu twoim złożyć. Nazajutrz zaraz przyszedł Markos podziękować świętéj za wysłuchanie swéj prośby.

Ubiegły lata, synowie Marka wyrośli na młodzieńców i zarabiali na chleb; miał tylko jeszcze córkę zaledwie wyszłą z dziecinnego wieku Wkrótce znalazł się narzeczony, który o jéj rękę ojca poprosił. Wesele odbyło się w pośród powszechnéj radości. Markos sam jeden był zadumany i milczący. Następnego dnia czując się niezdrowym, położył się do łóżka i niewstał już więcéj. Prośba jego została wysłuchaną.

— A te kłosy? zapytała Marcella spostrzegłszy błękitną wstążką owiniętą wiązankę kłosów.

— Przyniosła je tu, odrzekła żona zakrystyana, Petrola żona Gomeza. Mają oni ośmioro dzieci, a całym ich majątkiem jest zarobek ojca. Kawałek gruntu, który tenże uprawia był nadzieją ich i rozkoszą — i słusznie gdyż ziemia była tak wdzięczną i tak obficie rodziła, iż sądzić było można, że jest święconą wodą skrapiana.

Raz sąsiadka wracając z pola zawiadomiła Petrolę, że szarańcza na pszenicę ich padła. Szarańcza! jedna z plag egipskich! — Gdyby grom padł był z nieba, niemógłby bardziéj biednéj kobiety przerazić. Bezprzytomnie

prawie porzuciła dom i dzieci, i szeroko rozciągnąwszy ramiona biegła jak obłąkana wołając: Święta Anno! chleba, chleba dla dzieci moich!

Przybywszy na pole ujrzała z kraja łanu pszenicę, zjedzoną doszczętnie przez szarańczę, lecz daléj zdawał się mur niewidomy wznosić, aby uchronić łan pobożnéj matki wzywającéj świętą o pomoc. Możecie sobie wyobrazić radość i wdzięczność biednéj kobiety. W ubóstwie swem niemogła ona świętéj innéj złożyć ofiary jak tę wiązankę kłosów.

Anna, Elwira i Marcella słuchały mówiącą z wzruszonem sercem i zwilżonemi oczyma. Z takiem samem uczuciem opowiadanie to spisane zostało. Oby z równem czytanem być mogło.

ROZDZIAŁ SIODMY.

Maj z złocistem słońcem, z wesołym śpiewem ptaków, z muzyką tysiąca owadów, z wonią kwiatów, nadszedł śmiejący się, zielony, uroczy.

Był to dzień ślubu Wentury z Elwirą. Słońce zeszło tak promiennie jak twarz przyjaciela który spieszy pierwszy przyjacielowi złożyć powinszowanie. Wybierano się do kościoła. Anna przyciskała do serca ukochaną córkę swoją Elwirę, która w szczęściu swem tak była pokorną i pomieszaną, iż głowę schyliła jak gdyby jej szczęście to ciężyło, i oczy miała spuszczone jak gdyby je ono raziło swym blaskiem. Stary Pedro bardziéj niż kiedykolwiek oddany radości, sam się przewyższał w dowcipach, żartach i igraszkach. Marya nie posiadając się

z pociechy nad własnem szczęściem i radością drugich, roniła łzy, które jak krople spadające z pogodnego nieba błyszczą promieńmi słońca, błyszczały jéj uśmiechem.

— Siostro, rzekła Marcella do Elwiry, po moim niebieskim oblubieńcu, twój trzyma prym, pomiędzy wszystkimi. Patrz jaki on piękny! Gdyby miał kwiat lilii w dłoni, wyglądałby jak Józef przy świętych zaślubinach.

Marcella mogła się słusznie chełpić swym bratem, gdyż Wentura ubrany strojniéj i bogaciéj, ożywiony ogniem jakiejś uroczystéj żądzy za zbliżającą się chwilą szczęścia, mógł służyć rzeźbiarzowi za wzór do posągu Achillesa.

Periko zapomniał o Ricie, aby wzrokiem niewysłowionéj miłości spojrzeć w łagodne, ciemne oczy swéj siostry.

Rita miała wyraz obojętny i smutny.

Melampo czekając końca położył się pod drzewem pomarańczowym, które kwiat swój szeroko rozwiało, jak gdyby chcąc nim wysłać drogę pannie młodéj.

Właśnie miano wyruszyć w pochód, kiedy dziwny zgiełk jakiś dał się nagle słyszeć. Zdawał on się złożony z ryku rozjuszonego byka, żałosnych kwileń postrzelonéj łani i strasznego jęku we śnie ranionego lwa.

Powodem téj wrzawy był krzyk wściekłości i przerażenia nadciągającego taboru zbiegów i głos trwogi i rozpaczy mieszkańców wsi, którzy się gotowali do ucieczki.

Francuzi którzy krokiem olbrzyma do Sewilli wtargnęli, posuwali ku Kadyksowi dalszy swój pochód i zniszczenie

Periko przewidując nieszczęśliwy obrót rzeczy, postarał się o schronienie dla swéj rodziny w samotnem od

wszelkich gościńców odległem miejscu, i miał w stajni na pogotowiu muły na każdy wypadek.

Gdy mężczyźni pobiegli siodłać i kiełznać muły, kobiety wiązały w tabołki suknie, bieliznę i najpotrzebniejsze naczynia ładowały w kosze.

— Jakiż to zły prognostyk Wenturo, rzekła Elwira, dzień który nas miał połączyć, rozdziela nas.

— Nic nas rozdzielić nie może, odpowiedział Wentura. Biada tym, którzyby to uczynić chcieli! Idź bez obawy my tu przygotujemy wszystko i dogonimy was.

Wentura długo patrzył za oddalającą się pod opieką Perika, i wtedy dopiero wrócił do domu, gdy mu znikła z oczu.

Na wstępie do wsi zapowiadał już przeraźliwy huk bębnów nadciąganie groźnéj falangi, która się na bezbronnych i przestraszonych mieszkańców rzuciła, obchodząc się z niemi jak z niewolnikami.

— Chodź ojcze, chodź siostro, rzekł Wentura, uciekajmy.

— Już zapóźno, odpowiedział Pedro, ty Wenturo skryj się wraz z siostrą, wieczorem możemy się ucieczką ratować.

— A ty ojcze! zapytał Wentura, chwiejąc się pomiędzy koniecznością i wstrętem, jakim go napełniała myśl ukrycia się.

— Ja, odpowiedział Pedro, tu zostanę. Cóż mi się stać może staremu? Lecz żywo! zróbcie co mówię i ukryjcie się. Czegoż jeszcze stoisz Marcello zimna i sztywna jak posąg kamienny. Wenturo! o czemże tak myślisz żeś przyrósł do miejsca? Czemuż siebie i siostrę wtrącić chcesz w nieszczęście? Wenturo, synu mój! nie zabijaj mnie.

Ten krzyk przerażenia ojca wyrwał Wenturę z odrętwienia, w które go niepewność, zdumienie i wściekłość pogrążyły.

— Ja mam się kryć ojcze, kryć jak niewiasta? zawołał zgrzytając i ściskając pięście. Jak długo żyć będę niezmyję sromu tego z siebie. I pochwyciwszy drabinę przystawił ją do otworu w dachu, prowadzącego na strych, gdzie były nasiona i stare żelaziwa, kazał siostrze swéj wyjść naprzód, sam za nią się puścił i drabinę pociągnął za sobą.

Czas już był, gdyż właśnie zapukano do drzwi. Pedro otworzył.

Grenadyer francuzki wszedł do izby.

— Jeść i pić! rzekł do Pedra łamanym językiem Pieniędzy! jeżeli ich sam niemam zabrać, i córkę twoją, jeżeli niechcesz, abym ją sobie wyszukał.

— Tego co żądasz niemam, odpowiedział Pedro.

— Jak to, nic niemasz łotrze? czy wiesz z kim mówisz? czy wiesz że jestem głodny i spragniony?

Pedro, który dzień weselny syna swego spędzić miał w domu Anny, i żadnych nie przygotował zapasów, zbliżył się do drzwi prowadzących wewnątrz i odpowiedział wskazując na wygasłe ognisko:

— Powiedziałem wam że nic w domu niemam do jedzenia prócz chleba.

— Kłamiesz, krzyknął Francuz z wściekłością.

Pedro nasrożył oczy swe, w których przez chwilę błyszczała cała popędliwość, cały gniew i oburzenie grające w duszy jego, i utkwił je silnie w grenadyera, lecz inna jakaś myśl nagle przejęła go trwogą, spuścił wzrok i rzekł łagodnym głosem:

— Powiedziałem wam prawdę.

Żołnierz, którego już wzrok Pedra rozdrażnił, widząc niezłomny opór jego, zbliżył się doń.

— Ty się naigrawasz ze mnie? odmawiasz mi tego coś mi dostarczyć winien? obrażasz mnie spokojną swoją pogardą? Nauczę ja cię, zmiękniesz jak rękawiczka.

W téj chwili podniósł rękę i głośne echo policzka rozległo się po izbie.

Jak orzeł czyhający na zdobycz, zeskoczył Wentura ze strychu, rzucił się na Francuza, wyrwał mu szpadę z pochwy, i przeszył go na wskróś. Francuz runął nieżywy o ziemię.

— Cóżeś uczynił mój synu! zawołał starzec, w którym pamięć własnéj obelgi zatarło niebezpieczeństwo syna.

— Powinność moją ojcze!

— Wtrąciłeś się w przepaść.

— Ale pomściłem cię ojcze.

— Uciekaj, uciekaj, niema ani chwili do stracenia.

— Niepierwéj aż się pozbędę dłużnika, który nic już więcéj niewinien. Gdyby go tu znaleziono, pokutowałbyś za mnie ojcze!

— Mniejsza oto rzekł ojciec, bylebyś ty mógł się ratować.

Wentura niesłysząc słów ojca, wziął trupa na barki i wrzucił go do studni, potem ojca który szedł za nim, prosił o błogosławieństwo i jednym skokiem przesadził mur dziedzińca wychodzący w pole. Biedny ojciec wdrapawszy się na drzewo figowe, chwycił się rękoma jego gałęzi i z ciężkiem sercem, wytrzeszczonemi oczyma i piersią w któréj oddech przytłumiał, odprowadzał wzrokiem ubóstwionego syna swego, który z lekkością jelenia pędził w poprzek pól ku oliwnemu gajowi, aż w końcu zniknął pomiędzy drzewami.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

BOSKA KOMEDYA DANTA

W PRZEKŁADZIE

JULIANA KORSAKA

w Warszawie nakład Orgelbranda 1860.

W chwilach kwitnącego u nas romantyzmu, Julian Korsak należał do plejady ówczesnych litewskich śpiewaków zdążających szybszym lub słabszym lotem za orlim mistrzem. Poezye jego używające wtedy pewnéj wziętości, jako należące do szkoły, uroniły ją ze zmianą kierunku. On też uczuł to, i zamilkł na wiele lat, aby dziś, po zgonie swoim odżyć w nieśmiertelnéj pieśni Dantego.

Kilkonastoletnia praca przekładu tego arcydzieła wychodzi teraz na widok publiczny. Tłómacz chcąc sobie

zwolnić w trudnościach, odstąpił od *tercinów* oryginału, przez co mógł osiągnąć tę zrozumiałość, jaka nigdy nie jest zbyteczną w utworze noszącym odcisk odległych wieków niezrozumiałych dzisiejszemu pokoleniu. Jednak mimo tego zwolnienia, umiał być wiernym, a co więcéj: pozostać artystą, poetą. Nie jest to zatem jedno z tych tłómaczeń prozą, lub białym wierszem, które porównałbym do figur woskowych, niemających żadnéj wartości artystycznéj, ale mogących mieć zasługę wierności..... Znać tu że niepospolity talent poetyczny, w połączeniu z żelazną wolą i pracą, potrafił się wznieść na wysokość wzoru, i wtajemniczyć się po pięciuset latach w te same uczucia jakie wielkiem sercem florenckiego wieszcza miotały, oddając je jeżli nie ze świeżością i jasnością dziś niepodobną, to z mocą odpowiedną, nadewszystko zaś w duchu oryginału, niezacierając jego znamion, co sprawia, że tłómaczenie rymowe Korsaka jest o ile być może wierną, a razem poetyczną kopią, dantoskiej kreacyi.

Literatura nasza zbogaca się od razu przez wpuszczenie téj wielkiéj rzeki w sieć ojczystych strumieni.

Olbrzym poezyi, Dante, zstępuje między nas z cieniów średniowiecznych; dla uczoności dzisiejszéj tajemniczy, niezgłębiony, nieogarniony; istna gotycka katedra tworząca nieregularną, a harmonijną całość. Pospolitość, dzika nieokrzesaność w częściach, niepotrzebne ozdoby, brzydota i okropność spotykane tu i owdzie, łączą się przecież w dziwny obraz przemawiający taką potęgą prawdy, że każdego nią zwycięża. Kto wstąpi raz pod sklepienie olbrzymich łuków Boskiéj Komedyi, kto się zapuści w ten las kolumn biegnących w nieskończone perspektywy, kto myślą pytać zechce tych powikłanych symbolów służących im za naczółki i fryzy, tego owionie cała groza tęsknic i przeczuć przywiązanych do nauki za którą Chrystus dał się umęczyć na krzyżu.

Nie sama tam lampa katolickiéj wiary goreje przed ołtarzem i rozlewa łagodne, tajemnicze półświatło na wszystkie przedmioty — bo oto ze wszech zakątów, z ciemnych przepaści kościelnéj nawy wysuwają się w greckich tunikach filozofowie starożytni, za nimi mędrce wschodu, toż w mniszych kapturach asceci i doktorowie, trzymający gorejące pochodnie, od których, gdzie bądź się posuną, rozświecają się arabeski i rzeźby po ścianach... Odgłos stąpań tych mędrców rozlega się pod sklepieniami i złamanem echem wpada w głąb kaplic i niży, a kiedy całym korowodem ściągną się w milczeniu w przybytek świętości, takie morze światła bije z ich pochodni, że olśniona źrenica wraz z kolanem chyli się ku ziemi. Jak promieniejącą jest filozofia Dantoska, tak znową piekielną potęga jego sądu, ilekroć występuje w urzędzie surowego karciciela swoich współczesnych; choralna uroczystość jego słowa zlewająca się z przepysznym rymem co jak grzmiące tony organów rodzi dreszcz w uchu i myśli czytelnika; groza namiętnéj wzgardy i bólu szarpiącego serce poety, znachodzą równowagę w tkliwości jego uczuć, a mianowicie w szczytnem, niedościgniętem natchnieniu którem ogarnia widome i niewidome ogromy światów. Główną jego zaletą nie jest doskonała piękność całości, chociaż ślicznych ozdóbek tam niebrak; wartości poematu niestanowi tam symbolizm mistyczny i alegorya poetyczna, chociaż były to żywioły owoczesnéj poezyi; raczéj jenialność mieści się w nieskończonéj rozmaitości myśli, uczuć, widoków dotykających najwyższych prawd rodu ludzkiego, które podobne do promieni słonecznych wpadających przez kolorowe szyby gotyckiéj katedry, łamią się i odbijają w kolosalnem wnętrzu troistego gmachu: piekła, czyśćca i nieba.

Niebyło sztukmistrza któryby podobnie jak Dante wszystkie wielkie pomysły kończącéj się epoki, umiał

w swem dziele skupić i przedstawić; a zarazem taki potężny nadać kierunek współczesnym i przyszłym kolejom swéj ojczyzny.

Jest on poetą wolności; nienawistna mu wszelka samowola i tyrania, czy od jednego, czy od milionów pochodzi. Dobrowolny zwolennik i sługa prawa, szanuje je, byle niezłomność jego zaręczoną mu była czy przez lud czy przez panującego. Republikanin florencki silnie przywiązany do ludowych instytucyj swego miasta, będących wynikiem długiéj pracy i przeobrażeń wewnętrznych, niewidzi dla nich niebezpieczeństwa w opiece monarchy chcącego szanować tę przywileje, lecz przeciwnie lęka się ich upadku przez burzliwą pychę i prywatę demagogów podnoszących gorączkowe i zuchwałe głowy z łona ludu. Dante, Gwelf z urodzenia, zrywa z ludem i z papieżem pozornie sprzyjającym ludowi, odkąd przekonał się że popierają szalone plany występnéj samowoli; przechodzi zatem, on republikanin, do obozu arystokratycznych Gibelinów gromadzących się pod chorągiew władzy Cesarskiéj, aby we włoskiéj ojczyźnie wystąpić nie w charakterze ciemięzców, lecz wybawców i obrońców zagrożonéj wolności. Polityczna ta dwoistość w życiu Danta daje się zupełnie usprawiedliwić i pogodzić, jeżeli dobrze zastanowimy się nad duchem owych wieków, niemających nic wspólnego z naszemi rewolucyami wydającemi najczęściéj jeden tylko odcień: uciskających i uciśniętych. Ktoby dziś śmiał rzucić kamieniem na Danta Gibelina, za to że Gwelfów odstąpił? Największy nowożytny liberał jeszczeby niezrównał w bohaterstwie republikanckiemu Gibelinowi, chociażby nawet nienapisał traktatu o monarchii (de Monarchia) i niezłożył go jak Dant u stóp Cezara. Szlachetny, prawy sposób myślenia jest rdzeniem dantoskiego charakteru; nizaprzał się on go żadnym czynem, żadnym wierszem, żadnem słowem swoich rozlicznych pism.

Katolik głęboki, republikanin szczery, zarówno od stolicy rzymskiéj, jak od ojczystego miasta, obłożony karnemi wyroki, wycierając przez wiele lat twarde wschody tułactwa, potrzebował utulić zbolałe wielkie serce, znaleść zadosyćuczynienie za tyle krzywd — i stworzył dzieło, w którem upokorzył swoich wrogów, nie tem że ich postrącał na dno piekieł, lecz że zajaśniał światu w całym majestacie jeniuszu. Ubogi tułacz niemiał zaciężnych hufców aby stoczyć bój z prześladowcami — wołał ich okuć w brzęczące łańcuchy swoich tercinów i cisnąć jak wiązkę suchego chrustu do piekieł; niemogąc mieć udziału w zarządzie rodzinnej Florencyi— stanął jako odrodziciel mowy włoskiéj, i takie wydobył tony, że dotąd podług nich urabia się język. Duch Danta jak wiecznie ruchliwe morze, pracował za żywota, a i po śmierci jeszcze spocząć nieumie.

Przez lat dwadzieścia, do samego ostatka, jadł on gorzki chleb wygnania. Kiedy Florencya zamknąwszy drzwi przed nim, tylko pod krzywdzącemi warunkami pozwalała przyjąć go w swoje mury, wołał pukać do pałaców obcych mu panów którzy wielkiego gościa przyjmowali z otwartemi ramiony. Nigdy w tułaczce nieznižał się do roli dworaka-pochlebcy, i porzucał takich gospodarzy co nieumieli być jego przyjaciółmi. Niczego nieszukał i o nic nie prosił, tylko o przytułek; innym trefnisiom i pospolitym lutnistom zostawiał sławę dzienną i względy, kiedy sam w wytartéj wełnianéj tunice z nasuniętym na głowę kapturem rzucał gdzie z kąta płomienne spojrzenia lecące w daleką przyszłość... Na wygnaniu ciosał on te olbrzymie kwadraty głazów, z których miała powstać świątynia Boskiéj Komedyi, mieszcząca w katakumbach tyle trumien z zabalsamowanemi poezyą ciałami, a nakryta kopułą o złotym krzyżu wskazującym drogę do nieba...

Jeniusz najczęściéj dojrzewa i doskonali się w nieszczęściu. Dante najwymowniejszym jest dowodem tej żałosnéj prawdy, co się stała powagą w sztuce chrześciańskiéj. Czarny cień niedoli wlókł się za nim przez cały bieg żywota; serce jego w męczarniach i bólach wyrzucając jak Wezuwiusz gorącą lawę, pokryło się rodzajną skorupą, na któréj mogła tylko róść taka poezya, jak tam wino *lachrimae Christi*. Miłość, co w początkach tyle cudnych sonetów i kancon mu natchnęła, zamarła w nim; w domowem ognisku nieznalazł szczęścia; małżonka nietowarzyszyła mu na wygnaniu; najbliżsi krewni zamienili się w nieprzyjaciół; ojczyzna dla któréj tyle nocy niedospał, wyrzekła go się jak zdrajcy. Zwyczajny duch byłby stokrotnie upadł pod ciosami takiéj doli; Dante nieupadł, owszem wzniósł się nad przeciwności czarnego losu i rzucił go sobie pod nogi.

Potrzeba długich wieków nim tak potężny jeniusz dojrzeje — podobnie w lesie wiele generacyi drzew ściętych lub zbutwiałych, sobą użyznia ziemię aby jedna latorośl na olbrzymiego dęba się wybrała. Boska Komedya jest takim dębem; korzenie jéj sięgają w najgłębszą przeszłość; ktoby ją chciał wykopać musiałby od północy do południa przewrócić całą Italię, bo chociaż ziemia ta obfita w wielorakie skarby sztuki, niema nic kosztowniejszego nad Boską Komedyę.

Rozmiary tego przeglądu, i siły moje nie wystarczają aby posąg Danta w całéj wielkości wyrzeźbić. Im się bardziéj wiekami oddalamy od niego, tem więcéj on rośnie, tem silniéj przyciąga umysły pragnące go pojąć i wytłumaczyć. Zaraz po jego zgonie, właśni synowie komentarzem go objaśniają, na publicznych katedrach występują uczeni robiąc zadaniem swéj uczoności, wyłożenie i komentowanie Boskiéj Komedyi. Trwa to nieustannie przez pięć wieków; aż powstała osobna biblioteka komentarzów, na co Wolter powstał dowcipnem

słowem, że właśnie dla tego mnóstwa objaśniaczy Dante stał się niezrozumiałym. Mojem zdaniem wszyscy ci, co w nim szukali wysokich natchnień religii i poezyi, lepiéj na tém wyszli niż zwolennicy alegoryi i symbolu, lub tajemnic gibelińskiéj masoneryi popadający w rozpacz, jak Ugo Foscolo, co po dziesięcioletniem badaniu, napisał te słowa: „Niezbrodzony las poezyi dantoskiéj, po pięciowiekowych szperaninach, stoi pogrążon w pierwotnéj ciemności. Cudzoziemcy którym się zdaje że go rozumieją, na słowo komentatorów, podobni są do tych podróżnych co dla poznania jakiego kraju biorą ślepego przewodnika, i dając się mu prowadzić, wierzą jak w Ewanielię w słowa ciemnego cicerone.“ — Kto pilnie czyta Boską Komedyę, przekona się iż owa ciemność i niezrozumiałość wywołująca żale komentatorów, ma swoją przyczynę w sposobach emblematycznych, w aluzyach do nieznanych stosunków i wyobrażeń, używanych nietylko przez Danta ale i współczesnych mu, a nawet następnych pisarzy. Cała poezya włoska od początku dwunastego do końca 15go stólecia głównie opiewa miłość platoniczną. Każdy z tych poetów ma panię swoich myśli, Laurę, Fiamettę, Beatryczę, która dziwną koniecznością umierać musi pierwéj niż kochanek, która mu wykłada kurs teologii moralnéj, platonizuje i zacieka się w subtelności mistyczne. Zazwyczaj idealna ta istota pojawia się tak Petrarce, jak Dantemu i Bokacyuszowi w kościele, w czasie wielkiego tygodnia. Niewidać nic rzeczywistego i żywego coby różniło te wymazrone istoty od zwykłych śmiertelniczek. Poeta mówi do nich językiem pobożnéj exaltacyi, przedstawia je jako typy cnoty i szczęścia, a nie jak niewiasty żyjące. Gdy zaś przyjdzie zapytać historyi i dokumentów objaśniających szczegóły życia tych poetów, odkrywa się całkiem co innego. Obok téj Laury, Fiametty, Beatryczy znajdujemy inne kobiety wcale niesymboliczne, i często tak okropne

jak Sokratesowa Xantyppa; co tylko prowadzi do wniosku iż była to moda ówczesnéj poezyi, moda naśladowana z Dantego, który kochając od dzieciństwa piękną Beatriczę Portinari, zbożył ją potem i zrobił uosobieniem teologii.

Dodać tu jeszcze potrzeba wzgląd na stanowisko Danta, jakie zajmował, i na okoliczności towarzyszące napisaniu Boskiéj Komedyi. Florencki wieszcz był najznamienitszą i najwięcéj wpływową figurą stronnictwa Gibelińskiego; a wiadomo że Stolica Rzymska doznała najpotężniejszego natarcia od Gibelinów występujących za prawami Cesarstwa przeciw wpływom Papieżów. Poeta jak wiadomo przez lat dwadzieścia upornie popierał tę myśl, któréj nawet poświęcił osobne pismo: *De Monarchia*, w którem dowodzi że władza Cesarzów rzymskich niepochodzi od Papieża, lecz od samego Boga; że Papieże przywłaszczyli sobie władzę doczesną, że niemają żadnego prawa dawać i odbierać korony monarchom. Te same myśli i wyobrażania, choć pod alegoryą, często przychodzą w Boskiéj Komedyi, i ćwiczą przenikliwość komentatorów. Otóż między innymi uczony Włoch Rossetti napisał przed trzydziestą laty klucz do symbolów i alegoryj Dantoskich. Powiada on że tylko poezye gibelińskie noszą znamiona erotyczno-platoniczne tworzące główną zawiłość; gdy przeciwnie poezye gwelficzne używają języka jasnego, gdzie miłość niegra żadnéj roli, ani jako namiętność, ani jako zasada. Z téj różnicy wyciąga wniosek że platoniczna miłość Gibelinów służyła tylko za pokrywkę namiętności politycznych. — Podług niego stronnictwo to było rodzajem tajemnego stowarzyszenia porozumiewającego się osobnemi znakami. Kiedy chcieli być pojętymi od ogółu pisali po łacinie; w przeciwnym razie używali włoskiego języka nastrzępiając go alegoryami. Ma to za sobą pewną słuszność, gdyż dopiero Gibelinowie zaczęli pisać w mowie

pospolitéj ludu, a co osobliwsza, odrazu wpadają w ton metafizyczno-mistyczny. Jąkająca się muza pierwotnéj poezyi Piotra Delle Vigne, Cesarza Fryderyka II, Gwida Guinizelli równie jest tajemniczą, jak późniejsze utwory Danta. — Wszyscy oni byli Gibelinami; podobnie jak współcześni mu: Gwido Cavalcanti, Lappo Gianni, Cina da Pistoja, Giglo Lelli, których niepodobna rozumieć biorąc ich literalnie. Mężowie ci bowiem przy całéj swojéj nauce i powadze, jakiéj nadawało im wysokie w kraju stanowisko, niemogliby się bawić niedorzecznemi apostrofami do miłości ani się otaczać jakąś mglistą atmosferą sentymentalnych mżonek, gdyby pod tem nieukrywała się rzeczywistość, mocno obchodząca umysły całkiem rzeczom publicznym oddane. System uczonego Rossetti dający się trafnie w niektórych punktach zastósować, posunięty do ostateczności, robi z najpyszniejszych utworów poezyi włoskiéj jakiś stek samych formułek spiskowych, rebusów i szarad, i jeszcze bardziéj zawikływa tekst, bo kusi czytelnika do odkrywania w każdem słowie, czegoś innego, jak się przedstawia w prostem znaczeniu.

Napomknąłem o tych usiłowaniach komentatorów, posuniętych od najwyższego dziwactwa, jak przed kilkoma laty dał tego dowód niefortunny tłumacz Boskiéj Komedyi, Francuz, Aroux, który rozwijając daléj system p. Rossetti ogłosił Danta heretykiem i bluźniercą, nieprzebaczając nawet najniewinniejszemu ustępowi o Franciszce Rimini i kochanku jéj Pawle Malatescie, i odkrywając w nim zupełnie co innego, jak się wydaje każdemu czytelnikowi biorącemu rzecz naturalnie i po prostu.

Dla tego radziłbym czytelnikom Boskiéj Komedyi, szukać w tym utworze, wielkich myśli, prawd moralnych i obrazów obleczonych w najcudowniejszą szatę poezyi, a nie tracić drogiego czasu w dociekaniu i roz-

wikływaniu ciemnych alegoryj i symbolów, z których w najszczęśliwszym przypadku, niewiele się dowiadujemy; jest bowiem przywiązana pewna kara do zbytniego anatomizowania utworów poezyi, — oto poezya ulatnia się w ręku naszym, i zostaje suchy szkielet niebogacący umysłu, niegrzejący serca. Przypomina mi to obchodzenie się tych uczonych archeologów, co pragnąc dójść chemicznego składu miedzi korynckiéj, zapominają że ich experyment ma się odbyć na arcydziele sztuki starożytnéj. W najlepszym wypadku dójdą z jakich cząstek składa się materyał, ale któż wróci uszkodzony posąg?!

Trzeba przejąć się dobrze tym pewnikiem, jako zrozumienie poematów Danta należy do największych trudności, jeżeli z cząstek będziemy chcieli dójść do całości; przeciwnie idąc za zdrowym instynktem, za wrażeniem jakie dusza odbiera, umysł nasz z łatwością ogarnia strukturę trzech pieśni, równie jak tłómaczy sobie głębokie pomysły, obrazy i najdziwaczniejsze fantazye i kaprysy poety. Bijąc tedy czołem przed majestatem natchnionéj prawdy przemawiającéj z całości, przeskakujemy zawiłe, do innych wieków należące drobnostki i Dante staje w obec nas, jako szczytny wieszcz, i w najgłówniejszych punktach zrozumiały. —

Zamierzając w niniejszym artykule ułatwić czytelnikom przystęp do Boskiéj Komedyi, niemógłbym wdawać się w rozliczne gałęzie składające tę encyklopedyę średniowieczną, w któréj kto chce wszystko znajdzie: literaturę, umiętność, teologię, astronomię, stare i nowe wieki, umarłe i żyjące ludy; gdzie różnorodne formy potrącają się: dramat, kazanie, satyra, epopeja, hymn; a ogół tworzy niezmierny karton przedstawiający w głównych rysach: zapał religijny, namiętność polityczną, entuzyazm dla klasyków rzymskich, a wszystko przewleczone kolorytem miłości mistycznéj .. Tyle też książek napisano

wykładając to filozofię i teologię Danta, to jego wyobrażenia kosmogoniczne, to politykę, to klasycyzm! Wielki ten bogacz, karmił i długo karmić będzie zgłodniałych księgorobów, zadając im wiecznie zagadki do rozwiązania.

Dla nas mniemam, gdzie komentarstwo dantoskie jeszcze się nierozgałęziło, a gdzie czuć pewną świeżość usposobienia do godnego przyjęcia arcy-tworu podanego nam w ojczystéj mowie — ważniejszą rzeczą jest skreślić treść trzech pieśni Boskiéj Komedyi, treść w pobieżnem czytaniu niezmiernie do pochwycenia trudną, z tego względu, iż niektóre ustępy robiąc zbyt żywe i mocne na umyśle wrażenie, przeszkadzają niekiedy do ogarnięcia téj ogromnéj i nieskończenie rozmaitéj kompozycyi, złożonéj z wyobrażeń rozsianych w Biblii, w Homerze, Platonie, Arystotelesie, Wirgiliuszu, w Ewanielii, Apokalipsie, z tego co się mieściło w ówczesnéj literaturze prowensalskiéj, i z rzeczywistości zajmującéj tak obszerne miejsce w duszy Gibelina.

Ze czterech głównych żywiołów składa się wewnętrzne życie Dantego: z miłości, religii, polityki i umiejętności; wypełniają one cały świat jego myśli i uczuć z razu w osobnych traktatach jak: Nowe życie (*vita nuova*); Biesiada (*convito*) i O Monarchii, powiązanych węzłem pojęć religijnych, następnie zlanych ze sobą i przetopionych ogniem poezyi w Boskiéj Komedyi. Wrząca masa świata ideów pośród których żył, treść rzeczywistego świata który go otaczał, wszystko to poeta wrzucił w jedną formę i jedną myślą ożywił, a dokonał tak piorunną siłą twórczości, że poemat ten policzono do najwznioślejszych płodów literatury średniowiecznéj, a zarazem do rzędu najcudowniejszych objawień ludzkiego ducha.

Wstrzymując się od podziwu, będącego, że tak powiem w porządku dziennym, ilekroć się zaczepi o Danta i jego Komedyę — winienem rzucić ważne pytanie: Jaki jest zasadniczy pomysł Boskiéj Komedyi? — Że to poemat alegoryczny; na to zgodzili się wszyscy, a głównie sam poeta w dedykacyi pieśni o Raju do Cangrande. Biorąc zaś literalnie, jest to opis pielgrzymki poety po piekle, czyścu i niebie, z przedstawieniem stanu w jakim zostają dusze, stósownie do grzechów i zasług w życiu doczesnem.

Za tą jednak treścią, łatwą do pochwycenia, właściwie co innego szukać należy. Różni różnie starają się tłómaczyć i przedstawić główny pomysł Boskiéj Komedyi. Sądzą jednak, że jak sam Dante wyraził się w dedykacyi do Cangrande (della Scala), poemat ten jest alegoryczną historyą duszy samego poety, opiewającą jego upadek, pokutę i pojednanie się, czyli wewnętrzną walkę, stoczoną ze swemi namiętnościami, w skutek czego oderwawszy się od ułud świata, wrócił do Boga i do poznania Boskich widoków względem ludzkości. Zastanawiając się nad kolejami życia poety, przychodzi się do przekonania, że w tem największem swem dziele, nic innego niechciał, tylko myśl Bożą ludziom objawić, aby w doczesnych stosunkach urządzili się podług niéj; czyli, żeby królestwo Boże stanęło na ziemi. — Cała Boska Komedya tchnie tą myślą; państwo i religia, dogmat polityczny i religijny, stają tam obok siebie i równoważą się i posiłkują nawzajem, niewyłączając negacyjnego stanowiska przeciw zepsuciu szerzącemu się między członkami władzy kościelnéj. — Naprawa doczesnych stosunków wiąże się u niego ze zbawieniem duszy w przyszłem życiu. Dążność ta spływa się z główną alegoryczną ideą poematu. Poeta ubierając w szaty poezyi dzieje swéj duszy, pokazuje ludziom jak we zwierciedle cały zaświat, oprowadza ich po miejscach

kary, pokuty i wiecznéj szczęśliwości, w czem niema innego celu, tylko żeby wzbudzić opamiętanie się i wskazać, jakiemi drogami wrócić do Boga i do zbawienia. Dążność tę nieraz wypowiada on, a między innemi w trzydziestéj pieśni *Czyśca*, kładąc ją w usta przemawiającéj do niego Beatryczy, która tak opisuje stan duszy jego:

Potem samochcąc zszedł na drogi krzywe,
Gonić dóbr ziemskich obrazy kłamliwe,
Co swych obietnic dotrzymać niemogą.
Daremnie jego przez sny i natchnienia
Chciałam odwołać w przeszłość dlań tak błogą [1]),
On spadł tak nisko! Z środków wyczerpnionych
Pozostał jeden *dla jego zbawienia*,
Dać jemu poznać męki potępionych...

W podróży swéj po zaświatach rozdaje poeta kary w piekle, pokuty w czyścu, nagrody w niebie, idąc w tem za wskazówką swoich religijnych i politycznych dogmatów, z których pierwsze uznane były powszechnie, a drugie on sam sobie stworzył na swojem stanowisku Gibelińskiem.

Pomysł odpadnięcia, odpokutowania i pojednania się z Panem Bogiem, jest najszczytniejszym w duchu chrześciańskim, a zarazem i najpoetyczniejszym. W każdym narodzie bywały kuszenia się o utwory w téj myśli, które mniéj więcéj wypadły szczęśliwie — lecz jeden tylko Dante otrzymał palmę. Trzeba było do tego mieć tak silną męzką, a oraz tak delikatną duszę jak on; trzeba było dziwnego taktu, aby przez mistrzowskie dotknięcie

[1]) Kiedy był niewinnym i kochającym.

obecność i przeszłość, świat zmysłowy i nadzmysłowy połączyć tak niewymuszenie z własną swoją osobą i z dziejami własnego serca. — Bardzo mu tu były na rękę ówczesne legendy gminne o wizyach i o podróżach różnych świętych i nieświętych na tamten świat odbytych. Forma ta popularna nastręczała się Dantemu, gdziekolwiek się obrócił — wziął ją, a nalawszy skarbami poezyi, stał się prawdziwym jéj wynalazcą.

To co tu rzekłem, zmierzało do wyjaśnienia myśli głównéj w Boskiéj Komedyi. Teraz, szczególniéj przebiegnę każdą z trzech wielkich pieśni, aby pokazać, jaką koleją rozwijała się myśl i jakich żywiołów użył poeta.

Pierwsza pieśń złożona z trzydziestu czterech ustępów, nosi napis: *Piekło* i jest najwięcéj znajoma, bo jest najhistoryczniejsza; kiedy inne dwie wprowadzając w świat nadziemskich cudów i wspaniałości, odstręczają czytelników nieusposobionych do pojmowania obrazów i języka mistycznéj poezyi.

W sam wielki piątek r. 1300, a w 1266 rocznicę śmierci Jezusa Chrystusa, Dante licząc lat trzydzieści pięć, jak sam powiada na wstępie:

Z prostego toru w naszych dni połowie
Wszedłem w las ciemny; jaka gęstwa dzika,
Jakie w tym lesie okropne pustkowie
Żyjący język tego niewypowie. —

Zabłąkany, wydostawszy się nakoniec z lasu, chciałby wdrapać się na pagórek, przez co daje do zrozumienia, że pragnie porzucić nieporządne życie jakie wiódł od śmierci Beatryczy, i poświęcić się mądrości. W tem troje dzikich zwierząt: pantera, lew i wilczyca, troje namiętności, zastępuje mu drogę przeciwiąc się świątobliwemu postanowieniu. Dante gotów już cofnąć się przed

niemi w głąb doliny, gdzie „milczy słońce“ — gdy oto ujrzał osobę „długiem milczeniem ochrzypiałą“. — Był to Wirgili. W słowach mantuańskiego wieszcza chciał Dante przedstawić poezyę i nauki moralne, słowem mądrość humanitarną, za pomocą któréj uczymy się oceniać czyny ludzkie podług praw sprawiedliwości i rozumu. Błaga zatem Wirgiliusza, aby mu dopomógł do wyjścia z niebezpiecznego lasu i z téj doliny grzechu; na co przystaje książę rzymskich poetów. Idą więc razem, a w ciągu drogi Wirgiliusz opowiada mu, że to właśnie Beatricze, królowa cnót, wstąpiwszy do otchłani wskazała mu, ażeby Danta wybawił z téj niebezpiecznéj toni i nawrócił na prawą drogę żywota. — Na te słowa w poecie krzepi się duch:

Jak chłodem nocy kwiatki pochylone,
Gdy ranek słońcem zaświta wesołem,
Ze słońcem swoją podnoszą koronę,
Tak i odwaga do mojego łona
Wstąpiła rzeźwo z strachu otrzeźwiona.
Aż odważony, w sobie wykrzyknąłem:
O litościwa, troszcząca się o mnie!
O dobroczynna dusza twa bez skazy,
Co spełnia świętéj (Beatryczy) tak szybko rozkazy.
Czuję jak we mnie od słów twoich żaru,
Iskrzy się zapał pierwszego zamiaru,
Wspólna chęć nasza, w niéj dotrwam niezłomnie.
Pójdę za tobą z sercem niezachwianem,
Tyś moim wodzem i mistrzem i panem! —

Tak tedy dwaj poeci rozmawiając, kierują się ku bramie piekieł. — Komuż nieznany napis na niéj, a mianowicie ostatni wiersz?

Wchodzący we mnie, zostawcie nadzieję! —

Ażeby z łatwością towarzyszyć Dantemu w miejscach które przebywa od téj bramy aż do stopni tronu niebieskiego, gdzie ma znaleść siłę doskonałego poznania i zgłębienia Boga — wypadałoby obeznać się wprzódy z topograficznem położeniem i miejscowością Piekieł, Czyśca i Raju. Trzeba bowiem wiedzieć, że twórca Boskiéj Komedyi, tak jest ścisłym i dokładnym w płodach swojéj wyobraźni, że wielu komentatorów zajmowało się osobną jeografią tych trzech światów, zaopatrzoną w mapy jakby przy rzeczywistéj podróży.

W onéj epoce kiedy żył Dante, trzymano się wyłącznie systemu Ptolomeusza; on też nieodstępując od niego, uważa ziemię jako punkt środkowy i nieruchomy w ogromie wszechświata. Siedlisko piekieł umieszcza w środku ziemi; nad ziemią wznosi się góra, która jest czyścem, na wierzchołku leży raj ziemski, zkąd wzlatując z planety na planetę, ze sfery na sferę dostajemy się do Empireju.

Prowadzony przez Wirgila, zstępuje florencki wieszcz do piekieł i zwiedza wszystkie dziewięć obwodów, które w miarę jak idą w głąb, coraz się zwężają na podobieństwo lejka. Oto jest ich porządek, i kary jakie w każdym obwodzie potępieni ponoszą.

W pierwszym obwodzie są otchłanie, gdzie był Wirgiliusz i inni starożytni poeci, gdzie zwykle przebywają dusze tych, co mieli cnoty za życia, ale nieotrzymali łaski chrztu ś. Takim jest: Hektor, Eneasz, Cezar, Brutus Starszy, Lukrecya, Kornelia; potem Sultan Saladyn siedzący na uboczy; a daléj Sokrates, Platon, Cicero, Seneka moralista, Hipokrates, Awicena, Gallen i Awerhoes. — W drugim obwodzie poeta osadza Minosa i przepysznie go maluje:

Tam straszny Minos z czołem nasrożonem
Patrząc ponuro i zgrzytając wściekle,
Bada i sądzi wchodzące grzeszniki,
Wyroków swoich znak dając ogonem;
Dusza na któréj ciężyy grzechu plama,
Gdy przed nim staje, spowiada się sama.
A on głęboki znawca wagi grzechów,
Wiedząc, gdzie miejsce zasłużyła w piekle,
Ile się razy ogonem obwinie,
O tyle szczebli, śród szatańskich śmiechów,
Dusza w dół spada w piekielne głębinie.

Szczytna to komika, w tym sądzie pogańskiego bożka! — Lecz idźmy daléj: drugi ten obwód mieści potępionych za grzechy cielesne, i w nim poeta umieścił najwdzięczniejsze, najtkliwsze małowidło, na jakie surowa i szorstka jego muza zdobyć się mogła — jest to postać Franciszki Rimini i Pawła jéj kochanka.

W trzecim i czwartym obwodzie umieścił żarłoków, marnotrawców i skąpców; w piątym heretyków, karanych w osobnym grodzie zwanym Dité. Każdy z następnych trzech obwodów ma trzy dzielnice, gdzie potępieni za najstraszniejsze zbrodnie, ponoszą równie okropne kary. Ósmy obwód najbardziéj zawikłany. Zawiera on dziesięć dolin, gdzie siedzą ci co się stali winnymi symonii, również fałszywi prorocy, hipokryci, złodzieje, schizmatycy w których liczbie Mahomet, również zdrajcy ojczyzny.

Ztamtąd oba poeci wchodzą w dziewiąty obwód podzielony na cztery części: Kaina, Antenora, gdzie hrabia Ugolin gryzie czaszkę arcybiskupa Rugieri; Ptolomeusza przeznaczoną dla niewdzięcznych; a nakoniec Judasza, gdzie siedzi Lucyfer, ściśnięty lodami i oto-

czony największymi zdrajcami. Przytaczam ten w olbrzymich rysach nakreślony wizerunek Lucyfera:

Król piekielnego państwa, jakby kawał
Głazu, nad lody półpiersią wystawał;
Jak wzrost mój dosyć ogromny, nie kłamię,
Tak wielkie było jego jedno ramię.
Zważ jaka całość mogła być niemała,
Zastósowana do téj części ciała.
. . . .
Nieustającym swych skrzydeł trzepotem
Wiał na trzy strony trzy wiatry z łoskotem,
Od których marzły kocytowe lody.
Sześcioro oczu miał, z tych każde oko
Nie łzami, krwawą płakało posoką,
Która spływała jak łza na trzy brody.
I trzech grzeszników przeżuwał jak źwierze,
Każdego żuła osobna paszczęka,
Jako cierlica drze lniane paździerze
Lecz ząb łagodniéj kąsał, porównany
Z szponami, takie zadawały rany,
Zdało się skóra aż do kości pęka
„Duch co największe bodaj cierpi męki,
Którego wewnątrz czarnéj paszczy głowa
A sam na zewnątrz niéj, nogami miota“.
Mistrz mówił: „oto Judasz Iskaryota!
Dwaj, co głowami zwisają z paszczęki,
Pierwszy, to Brutus! choć ból rzeczywisty
Szarpie go, jednak milczy jak niemowa;
Drugi, patrz dobrze, to Kassyusz barczysty. —
Noc już powraca — teraz czas iść daléj
Bośmy już w piekle wszystko oglądali...

Na tem prawie kończy się pieśń o piekle, będąca najpotężniejszym biczem na występki, zbrodnie i zdra-

dy współczesne Dantemu. Kogo on tam osadził, tego nikt niewyratuje, przynajmniéj w opinii świata. Sąd poezyi straszniejszy stokroć niż sąd historyi.

(Dokończenie w przyszłym numerze).

Lucyan Siemieński.

KRONIKA.

Paryż w marcu.

Wielka reprezentacya, którą miał dać Ocean dla Paryżanów, nie dopisała. Nie pierwszy to już zawód, jaki im zrobił Babinet, ale ten ostatni *prima aprilis* najwięcéj dał się we znaki, bo wywiódł w pole samą rozpieszczoną ludność stolicy: ilu kaszlów, katarów, reumatyzmów i niedyspozycyi nabawił koronkami broniące się od wichru damy i kawalerów, co bez szopów wybrali się kontemplować marcowe zjawiska natury— tego i on sam, choć astronom, zliczyćby nie potrafił. To też Paryżanie przezwali swego ulubionego Babineta astronomicznym Katyliną, i rozdąsani pytają go, jak niegdyś Cicero starożytnego konspiratora: „*Quousque tandem abuteris patientia nostra?*“

Jednak, chociaż Ocean, skutkiem przeciwnych wichrów nie wypełnił ogłoszonego przez Babineta w *Almanach prophetique* programatu, poetyczniejsi, a mianowicie ciepléj odziani członkowie wyprawy, nie żałowali spędzonéj nad morzem nocy.

Ósmego marca o dziesiątéj wieczorem, wybrzeża przy ujściu Sekwany w okolicy Caudebec i Villequier dziwnie malowniczy i ożywiony przedstawiały widok. Tłum postrojonych kobiet i mężczyzn (przynajmniéj dziesiąta część Paryża) zmienił dzikie odłogi we włoskie bulwary; wykwintni goście, niby lud oczekujący na tryumfalny wjazd monarchy, zalegli przestrzeń ogromną. Księżyc, jak powiadają, sprawca morskich niepokojów — podniósł się wysoko, i pełną twarz swą przeglądał w Oceanie, jakby ciekawy obaczyć własne dzieło. Noc była piękna, choć mroźna; tu i owdzie pozapalane ognie, przy których grzali się spektatorowie, nadawały temu nadmorskiemu zgromadzeniu czarowną cechę jakiegoś mytologicznego święta lub starego guślarzy obrzędu, przypominającego nasze Sobotki i ten wiersz Bohdana:

„Łado! Łado! o Kupało!
„Oby nam się dobrze działo!
„Bohu! Wszystkie bohy w Niebie
„Jako w tęczę patrzą w ciebie!
„Bohu! Bohu! modlim ciebie
„Módl za nami Bohu w Niebie!“

Około północy Ocean podniósł się znacznie, bałwany piętrzyły się majestatycznie... znać miał ochotę zapędzić się daléj niż zwykle, ale wiatr południowo-wschodni coraz silniejszy, coraz mocniéj zaganiał fale na angielskie brzegi; na wybrzeżach francuzkich woda podniosła się tylko o ośm metrów nad zwykły poziom; przypływ okazał się o 35 centimetrów niższy od tego, który 25 października roku zeszłego wylądował na wybrzeża Havru i Cherbourga.

Przypływ tedy nie miał w sobie nic nadzwyczajnego — ale odpływ był zadziwiający. Najstarsi ludzie zapamiętać nie mogą, aby morze ustąpiło kiedy tak daleko. Podwodne skały, zwane *Vaches-noires*, odkryły się całkowicie; woda ustępując odsłoniła blisko na jedną *lieu* szerokie ławy; od skał zwykle morzem zalanych, odrywano ostrygi na sucho; muszle różnego rodzaju, omary, krapy i ślimaki opuszczone na piasku, koszami na ląd znoszono, równie jak ryby, które nie mogły zdążyć za szybko oddalającem się morzem.

Prawdziwie cudowny połów bogacący mnóstwo ubogich rybaków, filantropijnym widzom wynagrodził sowicie zawód doznany dla oka.

Astronomiczny początek listu, mimowolnie dalèj w kwestye nadziemskie mnie plącze i nasuwa pod pióro głośne niesnaski, które w tych czasach skandalicznie zakłóciły spokojne głębie Akademii Nauk. Leverrier, Dyrektor Obserwatoryum paryzkiego, wypowiedział wojnę kollegom, niby za omyłki popełnione w *Annuaire des Longitudes*, a rzeczywiście za to, iż w tych Rocznikach nie wspomniano o ostatniéj przez tegoż astronoma wynalezionéj planecie. Wojna wybuchła zawzięta. Astronomowie chętnie byliby sobie rzucali na głowy wszystkie ciała niebieskie — samo słońce nawet — ale ponieważ nie mają pod ręką tych bomb palących, poprzestali na grubych woluminach *Conaissance des temps* i Rocznikach, które, jak gwintowane działa nabite po gardziel trygonometryą i logarytmami, daleko niosą i stosy trupów kładą.

Do dziśdnia szala zwycięztwa jeszcze ani na jedną ani na drugą stronę się nie przechyliła. Jest nadzieja, że dopiero po zupełnem uśmierzeniu się morza, gniew Akademii się uśmierzy.

A tu mnie spytasz zapewne, jaki stosunek zachodzi pomiędzy dąsami Oceanu a dąsami Akademii? — Bardzo ścisły. Wiadomo, że księżyc wywiera wpływ na fale morza; po wszystkie także czasy utrzymywano, że taż gwiazda i na mózgi ludzkie działa... zastanów się bliżéj nad tem powinowactwem, a podzielisz ze mną nadzieję, że wraz z uciszeniem morskich bałwanów i uczone grono zwykłą spokojność swą odzyska.

Żart na stronę. W kilku słowach rzecz była taka. Całą tę burzę, która od miesiąca niepokoi Akademię i aż po dziennikach się rozlega, wywołała następująca notka Dyrektora Obserwatoryum umieszczona w *Comptes-Rendus* z 6 lutego: „Pan Leverrier zwraca uwagę Akademii na niedokładność pism *Connaissance des Temps* i *Annuaire du Bureau des Longitudes*. Obie te publikacye nie mają już żadnéj wagi astronomicznéj; potrzeba śpiesznie gruntownéj reformy, któraby je podniosła z poziomu, na jakim względem swych zagranicznych siostrzyc się trzymają“.

Obrażeni zarzutem Leverriera członkowie Bióra Astronomicznego, a redaktorowie dwóch dzieł potępionych, ludzie uczeni i poważni, oświadczyli Akademii, iż na przyszłe posiedzenie obronę swoją złożą.

Spodziewano się burzy. Na zapowiedziane tedy posiedzenie wszystkie miejsca zajęła wcześnie publiczność zbiegająca się tłumnie, ilekroć wyprowadzanie na scenę osobistości czyni nadzieję skandaliku...

Oczekiwanie nie zupełnie zawiodło. Po odczytaniu kilku memoryałów, na które nikt nie zważał, prezes dał głos panu Mathieu. Nastało grobowe milczenie — wiedziano bowiem, że p. Mathieu najstarszy członek Bióra Astronomicznego, szwagier Franciszka Arago, będzie odpowiadał na uczynione kolegom zarzuty.

„Pan Leverrier rzekł bez ogródki: Mathieu oskarża nas dla tego, że *Connaisance des Temps* zamilczała o jego planecie Neptunie; Rocznik zaś mylnie ją umieścił. Otóż Roczniki nie dają nigdy dokładnéj pozycyi planet; obejmują tylko tabellę żywiołów eliptycznych planet, i epok odpowiednich średniéj długości każdé z nich. Co się tyczy *Neptuna*, pomyłka stała się w następujący sposób: w Roczniku na r. 1851, jego długość geograficzna jest odniesiona dokładnie do 1 stycznia — kiedy dla innych planet epoka wspólna jest 1 stycznia 1800. Przerabiając powyższą tabellę w 1852, epokę Neptuna (1 stycznia 1850) zastąpiono słowem *idem*, a tem samem cofnięto ją o lat 50. Oto ważna pomyłka, to zbrodnia, dla któréj pan Leverrier oskarża nas przed Akademią, i dla tego drukarskiego błędu, uznaje za stosowne poniżać prace nasze i szkalować naszą wiedzę przed światem“.

Pan Mathieu wielki weredyk i gorączka, zacząwszy w ten sposób, nie szczędził swemu koledze słów prawdy. Ten podskakiwał w krześle ale milczał, przerywanie bowiem, wykluczone jest pod utratą powagi z Akademickiego grona.

Skoro skończył Mathieu, zabrał głos sławny geometra Lionville, professor mechaniki racyonalnéj w Sorbonie, i blisko przez godzinę nadużywał jeszcze cierpliwości biednego Leverrier; mówił mu wiele rzeczy nieprzyjemnych, jak np. że w cudzem oku spostrzega słomkę a w swojem belki nie widzi; że jeżeli kolegom jego zda-

rzyło się popełnić drobne pomyłki, to on nieraz ogromne błędy popełniał w swoich pracach, a nikt mu tego za złe nie brał, bo każdy wie, że nieomylnym jest tylko ten kto nic nie robi; że Dyrektor Obserwatoryum popełnił rzeczywistą zbrodnię, bo pod kolegami dołki kopie — bo zamiast rozmówić się z nimi i omyłkę naprawić, spotwarza publicznie uczonych mężów Francyi, na czem sława ojczyzny cierpi i t. d.

Tak mocno przyciśnięty Leverrier, trzęsąc się od gniewu jął zrzucać z siebie zarzut złego patryoty i kolegi, oświadczył, że dopiero po kilkakrotnych napomnieniach widział się zmuszony złożyć skargę Akademii; że *Connaissance des Temps* nie tylko jego jedną planetę, ale 53 małych planet od 1845go roku pominęła, że *Ceres*, *Pallas*, *Juno*, i *Westa* także opuszczone — że więc sprawiedliwie powtórzyć może, iż wyżwspomniane dzieła nie mają żadnéj dla astronomów wartości itd. itd.

Leverrier gadał już trzy kwandranse — a ponieważ rozdąsanie obustronnie rosło, dyskusya zaś coraz więcéj do kłótni stawała się podobną, prezes rozwiązał posiedzenie o godzinę wcześniéj niż należało — i tak się skończyła sessya 13 lutego.

Astronomowie rozeszli się, obiecując sobie dopowiedzieć resztę na przyszłem zebraniu.

Następne posiedzenie 20 lutego, było tak burzliwe, że Akademia nadzwyczajną uchwałą postanowiła uznać wszystko co było powiedziane na téj sessyi za nieważne i że drukować tego w *sprawozdaniu* nie pozwala.

Bardzo rozsądnie unikniono tym sposobem publikowania kłótni krzywdzących Akademię i jéj członków.

Najważniejszem na téj sessyi było wystąpienie Leverriera przeciw pracy, którą kolega jego Delaunay obecnie kosztem rządu wydaje pod napisem *Théorie de la Lune*. Autor dzieła którego sam druk kosztuje już 35,000 franków, domagał się przerażony, ażeby Leverrier natychmiast kategorycznie wymienił zarzuty jakie ma przeciw teoryi księżycowéj, bo tak ważne dzieło, podobnie jak żona Cezara nie powinno podpadać podejrzeniu — i nie może pozostawać ani chwili pod naganą odejmującą mu zaufanie uczonych.

Prezes przedłożył zwaśnionym, że rozprawy przeciągnęłyby się za długo; że z resztą dla honoru Akade-

mii należy zaprzestać gorszących sprzeczek, i jak na uczonych przystoi, przedyskutować rzecz spokojnie przy drzwiach zamkniętych.

Strony walczące nie bez szemrania poddały się zdrowéj radzie prezesa. Myślano, że pokój został raz na zawsze przywrócony wymowną apostrofą pana Chasles — że teorye księżycowe i obrażony Neptun, załatwią polubownie swe urazy — ale inaczéj się stało.— Na ostatnie posiedzenie, 5 marca, Leverrier przybył z ogromnym rękopisem pod pachą przygotowany do odpowiadania panu Delaunay i *Longitudom*, czyli sprowadzenia do absurdum tak Roczników, jak księżycowych teoryj.

Burza groziła większa niż poprzednio. Ale na szczęście, niespodziewana okoliczność wstrzymała krytyczny zapał Leverriera i jego pioruny w tece zostały. — Delaunay napisał do prezesa Akademii, że z powodu interesów familijnych, nie może się stawić na posiedzenie — że więc odpowie panu Leverrierowi piśmiennie, skoro zarzuty swe w sprawozdaniu ogłosi.

Dyrektor Obserwatoryum nie uznał za stosowne wytaczać procesu zaocznie. Ograniczył się więc na odczytaniu listu astronoma Gotajskiego pana Hansen, który w przedmiocie teoryj księżycowych zupełnie jednego z nim jest zdania.

Tak więc dysputa astronomiczna, jak rozbiegany koń, ręką szczęśliwego trafu została osadzona w miejscu. Brak walczących zakończył walkę. Teraz, aczkolwiek zawiści pokątne nie ucichły — jest nadzieja, że publiczne turnicje w pałacu Mazariniego już się na nowo nie rozpoczną.

Wyłożywszy dwie najnudniejsze sprawy które Paryż w tym miesiącu prócz polityki zajmowały, przechodzę do rzeczy mniejszéj wagi.

Komedya Rolanda przedstawiana teraz w Odeonie pod tytułem „*Un Parvenu*“, głośne otrzymała powodzenie, powiedziałbym nawet zbyt głośne, gdyby literackie koleżeństwo nie było rzeczą tak rzadką, że nawet kiedy przesadą grzeszy, szanować je należy.

Autor słuszne zdobył sobie prawo do sympatyi: dwa poprzednie literackie jego wystąpienia zrobiły zeń literackiego dorobkowicza w najlepszem znaczeniu tego wyrazu. Trzeci utwór mniéj wart od poprzednich pod wzglę-

dem budowy dramatycznéj, ale piękne wiersze szczęśliwie zapełniają niedostatki sceniczne. W kilku słowach treść sztuki następująca:

Pan Mercier były młynarz, obecnie pan milionowy, odznacza się zacnością i rozsądkiem. Miliony pracowicie po groszu uzbierane nie odebrały mu ani rozumu ani prostoty. Krezus pozostał rubasznym Janem jak dawniéj — i nie tylko nie wstydzi się swéj przeszłości, ale się nią szczyci.

Około téj figury, na którą autor zlał wszystkie zalety, grupują się drugo-rzędne osoby sztuki: żona młynarka — rodzaj pani Jowialskiéj, pocieszna babina bez mózgu, syn Albert, już jako panicz wychowany, siostrzenica Laura, rodzaj mgły sentymentalnéj, w końcu, jako czarny zdrajca niezbędnie w każdéj sztuce potrzebny, hrabia Mosca, rodzaj herbownego Kartusza.

Laura, jak to już musiałeś odgadnąć, kocha swego kuzyna. Albert jest jéj wzajemny — ale na nieszczęście przypiął sobie do guzika jakąś kamelię na bardzo niskiéj grzędzie wyrosłą.

Panna Carmin (tak na imię téj kamelii) kosztuje wiele... tak wiele, że młodzieniec wnet zadłużył się dla niéj po uszy.

Jednocześnie hrabia Kartusz uznaje potrzebę pozłocenia swego wytartego herbu — a widząc że związek kuzynka z Laurą nieochybny, przystawia mu stołka; tak rzeczy układa, żeby Albert przed kamelią z kuzynki swéj szydził. Laura będąc w pobliżu, słyszy ubliżające sobie żarciki — zamiast jednak oburzyć się, dowiedziawszy się także, iż Albert w wielkim kłopocie pieniężnym, długi jego swoim posagiem spłaca — ale ręki jego już przyjąć nie chce i wybiera się do klasztoru.

Albert nie wiedząc kto za niego długi zapłacił, przypisuje ten czyn wspaniałomyślny hrabiemu. Hrabia niby przeczy, ale tak jakby przyznawał — Albert tedy chcąc mu się wywdzięczyć, podejmuje się oświadczyć go kuzynce.

Laura odmawia — i wtedy dopiero cała rzecz się wydaje. Hrabia sam, w gniewie z szyderstwem powiada, że panna która za kawalerów długi płaci, podejrzanéj jest skromności itd. itd. Albert wyzywa zdrajcę na pojedynek — ojciec zwraca wyłożony przez Laurę kapi-

tał — ona zaś zostaje panią Albertową *è finita la comedia.*

Sztuce téj pięknym napisanéj wierszem, ten główny zarzut zrobić można, że w niéj nie ma dorobkowicza. We właściwem znaczeniu tego wyrazu, Mercier nie jest dorobkowiczem. Jeżeli się nie mylę, na całym świecie dorobkowiczem zowie się człowiek rzutki, który przez śmiałe, awanturnicze spekulacye doszedł szybko do znaczenia czy fortuny; kupiec gromadzący po groszu majątek, i dochodzący w końcu na starość do milionów, zwie się zbagaconym kupcem — nigdy dorobkowiczem, bo to miano wyłącznie awanturnikom finansowym przynależy.

Ponsard pozazdrościwszy Mocquardowi powodzenia „Kabalarki", otrzymał pozwolenie przedstawienia w Porte-Saint-Martin swéj dawno ułożonéj sztuki *„Agnès de Méranie"*. Jestto dramat napisany w tymże duchu co *„La Tireuse des Cartes"*; Papież figuruje jako przeciwnik Filipa Augusta i niepochlebnie jest przedstawiony.

Siedemnasty tom Thiersa „Historyi Konsulatu i Cesarstwa" wyjdzie w końcu tego miesiąca. — Jest także zapowiedziany nowy tom Historyi francuzkiéj Micheleta. Obejmować będzie panowanie Ludwika XIV i dojdzie aż do roku 1690.

Nowy tom „Portretów Historycznych" Castilla zawiera biografię Biskupa Orleańskiego. W poprzednich mieści się biografia Cesarza Austryackiego, króla Belgijskiego i Mazziniego. Każda książeczka z portretem i autografem sprzedaje się po 50 cent. Wyszło nowe dzieło Proudhona, pod tytułem *„Economie politique et la justice, Examen critique et réfutation des doctrines économiques"*. Poprzedza dzieło „Introdukcya do Studium kwestyi socyalnéj" napisana przez Leona Walras.

Ot i wszystkie ważniejsze nowiny z niwy literackiéj. Z salonowéj widowni ta tylko, że Paryżanie bawią się w najlepsze. Post nie połamał smyczków. Bal dany świeżo w Ratuszu nie był mniéj świetny niż poprzednie. W hotelach pańskich na przedmieściu Saint-Germain, grają komedye z pomocą aktorów z *Théatre Français*. Po tych reprezentacyach zwykle następują tańce. Arystokracya francuzka téj zimy skrupuły sumienia dla miłości sztuki poświęca.

W lasku Bulońskim tymczasem zajmują się czynnie przysposabianiem Paryżowi przyjemności na lato. Urządzenie ogrodu zoologicznego czyli zwierzyńca, już prawie ukończone. Część lasu przeznaczona na menażeryę, pięknie ogrodzona kratą żelazną; wewnątrz elegancko narysowane ulice, wiją się w różne strony; nad drogami, tu i owdzie powstają wykwintne domki przeznaczone na mieszkanie dla rozmaitych zwierząt.

Ukończono jeszcze jedno wielkie dzieło w lasku Bulońskim: ogromną lodownię miejską, która może pomieścić sześćdziesiąt milionów funtów lodu. Dzięki mroźnéj zimie tegoroczněj, całą tę lodownię wypchano aż po sklepienie. Dodawszy do tego zapasu drugie tyle lodu znajdującego się po prywatnych lodowniach, można liczyć 120 milionów funtów lodu. Z taką śpiżarnią Paryż będzie mógł wytrzymać tropikowe upały... Dobrze zrobił że się tak zaopatrzył — bo przyszłe lato obiecuje być gorące... Przepowiedni téj już nie od Babineta się dowiedziałem.

Londyn w marcu.

Pomiędzy mnóstwem dzieł co tu wciąż wychodzą, a jakich nie już co miesiąc, lecz co tydzień po dziennikach spore bywają ogłaszane spisy, natrafiają się niektóre nas interesować mogące. Pod tym względem jedno zasługuje na szczególną uwagę naszą. Jest to „Historya Europy“ (*History of Europe*) od 1815 do 1852 roku, napisana przez Sir Archibalda Alison, nad którego po zmarłym lordzie Macaulay Anglia nieposiada słynniejszego historyka. Obszerny rozbiór jego dzieła umieszczony w *Blackwoods Magazine* na kwiecień, dokąd ciekawego czytelnika w braku samego oryginału odsyłam; tu zaś dla powszechnéj wiadomości przywodzę tylkio słowa, w jakich recenzent we wspomnionem czasopiśme dział dotyczący Polski ocenia. „Sir Archibalda Alisona— mówi on — opisanie owéj cudownej walki, jaką Polska od roku 1815 do 1831 wiodła o swą niepodległość, jest

zaiste jedynem w piśmiennictwie naszem. Uderza w niem, co właściwą bywa cechą znamionującą jego pióro, żywość w skreślaniu wojennych czynów, jasność ogólnych zarysów, niemniéj jak malowniczość w najdrobniejszych szczegółach. W ten sposób równie trudność położenia w jakiem się Polacy wtenczas znajdowali jako i okoliczności sprzyjające im, najwybitniéj są przez niego skreślone. Wszelką oddaje on sprawiedliwość waleczności Polaków, jakoteż wysokim talentom wojennym Skrzyneckiego".

Na tem krótkiem wspomnieniu o téj nowoczesnéj Historyi Europy przestając, polecam ją światłym ziomkom do czytania. Nieraz cudzoziemcy wiedzą i piszą więcéj o nas niż my sami Do obcych źródeł przeto wypada nam często uciekać się po oświatę i gruntowniejsze nas samych pojęcie. W obcych językach zdarza się nieraz widzieć także pisma swojskie, lubo bezimienne, jak się to zaraz okaże.

Niemasz kraju gdzieby religia niewywierała przeważnego wpływu na polityczny jego stan i rozwinięcie. Prawdę tę, ile ją poświadczają dzieje świata, można w szczególności zastosować także do Rosyi, i ona musi kiedyś wywrzeć wpływ na jéj przyszłość. Do zrobienia téj uwagi spowodowała mnie świeża broszura historyczno-krytyczna o sektach religijnych w państwie rosyjskiem, napisana po francuzku pod tytułem: *Le Raskol.* Wydał ją bezimiennie księgarz londyński Nutt. Ile z jéj osnowy i znajomości przedmiotu wnosić można, autorem jéj nie mógł być cudzoziemiec, lecz zapewne rodowity Rosyanin, jeden z owych co znają dolegliwości, cierpienia i potrzeby swéj ojczyzny, a widząc niemożność objawienia swych myśli na własnéj ziemi, wywnętrzają się z niemi w obcych krajach i w obcych językach. Autor przyznaje, iż Car jest głową rosyjsko-greckiego kościoła, jak to wszystkim wiadomo; ale oraz dodaje, iż w państwie pod jego berłem zostającem mnóstwo znajduje się innowierców. Najliczniejszą z nich klasę stanowią *Raskolniki* albo rozkolnicy, jak my ich nazywać zwykliśmy, — a pod którą to nazwą autor obejmuje ogólnie odszczepieńców od prawosławia, wywodząc wyraz Raskolnik od słowa *raskołot,* znaczącego rozkłócenie, odróżnienie się.

Odszczepieństwo to, według niego, miało nastać w wieku XVII, skutkiem rewizyi liturgii za patryarchy Nikona. Zmiany jakie do niéj dumny ten prałat zaprowadził, trudnoby nazwać reformą; dotykały bowiem mniéj istoty rzeczy, jak powierzchownych, a małéj wagi obrzędów, jako to: klękania, żegnania się, odpowiadań i śpiewów. Lud przywiązany do prostoty dawnego rytuału kościelnego, oburzył się na te nowości, podżegany do tego będąc przez bojarów nienawidzących Nikona; lecz ten prałat i rewizyoniści znaleźli silne plecy u dworu. Po śmierci Cara Fiedora 1662 r., rozkolnicy stawili Piotrowi I. silny opór; Strelice byli rozkolnikami, i wiadomo jaką rzeź ten Car sprawił w ich szeregach. Nikon był ostatnim patryarchą kościoła rosyjskiego; przez zaprowadzenie bowiem pomienionych zmian, powaga samego patryarchatu została podkopaną. Przyszło w końcu do tego, że Piotr W. całkiem zniósł tę godność, w swéj łącząc osobie tak duchowną jak doczesną władzę, a ustanowił w miejsce jéj najwyższy Synod, który podziś dzień sprawami kościelnemi zawiaduje. W skutek innych tego Cara urządzeń w celu ucywilizowania Rosyi, szlachta rosyjska przejęła z czasem europejskie obyczaje i okrasę; lecz czerń pozostając wierniejszą swéj narodowości, przechowywała w łonie swem nasiona innowierstwa jakie oddawna w niéj było zakorzenione i widziano ją niejednokrotnie stawiącą nieprzełamany opór Synodowi i polityce Carów. W różnych czasach, rząd przedsiębrał różne środki przeciw rozkolnikom: czasami uważał ich jako buntowników i prześladował jako nieprzyjaciół kościoła i państwa, a czasami z pobłażaniem tolerował jako nieszkodliwych, obłąkanych fanatyków. Nie należy mniemać, że ci dysydenci zgadzają się w dogmatach między sobą; nie różnią się oni w tym względzie od wszelkich innych sekt w obec panującego kościoła; nienawiść tylko łączy ich przeciw wspólnemu uciskowi. Rozkolniki rozpadają się na dwa główniejsze oddziały popowców i bezpopowców; pierwsi mają księży, drudzy ich nie mają. Dla ostatnich, na zebraniach ich, zwykle, kto ze starszyzny czyta pismo Święte. Schadzki odbywają się najczęściéj w nocy, w ukrytych zaciemnionych miejscach. W nich bezpopowcy, podobnie jak kwakry oczekują natchnienia ducha. Nieuznają oni sa-

kramentów; dzieci przy narodzeniu chrzczą baby (akuszerki), małżeństwa zawięzują za ugodą i zrywają je według woli. Popowcy, w skutek ściślejszéj organizacyi najniebezpieczniejsi są dla rządu, bezpopowcy mniéj, z powodu braku spójni i panującego między nimi rozprzęgnienia; niemniéj przecie szkodliwsi są dla ogółu społeczeństwa, z powodu przewrotnych swych socyalnych dążeń i praktyk. Obie sekty w tem jednak z sobą zgadzają się, że wszelkiemi sposobami unikają zapisów do skazek, ilu ich się rodzi lub umiera, nie cierpią spisu ludności, odmawiają rekruta.

Autor broszury podaje nader ciekawą wiadomość, jakim sposobem udało się tym innowiercom, na pewnych fundacyach, przeznaczonych pierwotnie na cmentarze dla chowania zmarłych w Moskwie podczas panującego moru roku 1772 — zaprowadzać różne centralne zakłady, skupiając w taki sposób na około siebie nie tylko pobożne i dobroczynne, ale i handlowe przedsiębiorstwa na obszerną skalę. Skład i urządzenie tych korporacyj stawia je w związku i komunikacyi z innowiercami w całem państwie, podając im możność dawania przytułku różnego rodzaju opryszkom i zbiegom, szukającym schronienia i unikającym baczności policyjnéj, a to utrudzając sprawdzanie tożsamości osób i różnemi przebiegami udaremniając usiłowania władz. Od epoki panowania Piotra W. starowiercy ciągle ukrywali się przed spisem ludności, co mniéj więcéj im się udawało. Nie tajno to nikomu w Rosyi. Dla tego też, jeśli kto widzi potrzebę zagubienia wszelkiego śladu pierwszego swego życia, zbiega do nich. Jakkolwiek innowierstwo to było w początkach niewinne, i mogło mieć jakieś pobudki reformy za sobą; lecz za ostatnich lat przybrało na się groźniejszą niżeli kiedykolwiek polityczną postać, stając się organem protestacyi tak przeciw hierarchicznym roszczeniom panującego kościoła, jakoteż przeciw nadużyciom biurokracyi rządowéj.

Jak dalece ci dysydenci niechętni są rządowi, sądzić można ztąd, że cieszyły ich klęski jakich wojsko rosyjskie doznawało w wojnie krymskiéj. Wiadomości zaś o tem co się w Krymie działo, spieszniéj odbierali niż poczta dochodziła — tak rozległe miewali stosunki. Zważając na rozstrój społeczeństwa w niektórych guberniach,

nawet na demoralizacyę, z powodu zbytniego szerzenia się rozkolników, Cesarz Mikołaj już przedsiębrał przeciw nim surowe środki. Godłem jego jak wiadomo było: prawosławie, jedność i narodowość. Roku 1852 ustanowił osobną komisyę rządową na ukrócenie rozkołu. I wkrótce niedaremnemi okazały się jéj prace.

Główniejsi naczelnicy starowierców mający szafunek funduszów cmentarzowych, a którzy mieli je obracać na wyścielanie pierzem własnego gniazda, zostali przyaresztowani, wyświeceni i ukarani; kilku innych zagorzalców przywiedziono do rozumu, a duchowieństwo prawosławia wyjaśnieniem sprawy i perswazyą skłoniło zbory starowiercze do pojednania się i posłuszeństwa. Policya nadto odebrała polecenie śledzić tych, którzy pod płaszczem schizmy chcieliby jeszcze bróździć i popełniać zbrodnie. Z tem wszystkiem postępowanie to okazało się w skutkach zawodnem, niezasadzało się bowiem na uznaniu praw sumienia, ani na warunkach dobrze pojętéj polityki. W Rosyi, jak wiadomo, taka jest samowolność czynowników i taka korupcya policyi, iż zamiary rządu, choćby najzbawienniejsze, muszą się rozbić o ich drapieztwo i bezsumienność. Ztąd to, pod koniec panowania Mikołaja postępowanie rządu względem rozkołu nosi na sobie cechę ucisku i prześladowania.

Za wystąpieniem na tron Aleksandra IIgo, jak w niektórych innych rzeczach, tak i względem starowierców nastąpiła niejaka reakcya przeciw rządom jego poprzednika. Sprawa ich wkrótce po objęciu steru rządu przez nowego Cesarza skierowała na siebie jego uwagę. Zwołaną była rada ministrów w tym celu, a gdy ministrowie prowadzili dyskusyę, niemogąc przyjść do stanowczéj decyzyi, Cesarz miał zakończyć posiedzenie Rady w tych słowach: (str. 158).

„Panowie, widzę że środki przedsięwzięte przez ministra spraw wewnętrznych przeciw cywilnym zbrodniom rozkolników, a jakie środki ojciec mój świętéj pamięci potwierdził, stają się koniecznemi. Policya winna dopełniać swego obowiązku, duchowieństwo niech każe i oświeca. Lecz należy mieć poszanowanie dla szczerych przekonań; bo chcę aby we wszystkich(?) krajach pod moim rządem była tolerancya. Spodziewam się, iż wszy-

scy zgadzacie się ze mną szczerze, by postępować w téj sprawie sprężyście i stale na drodze sprawiedliwości.“

Trudności jakie od dwóch wieków miał rząd z rozkolnikami, mniema autor, mogą i dziś jeszcze zawikłać sprawę usamowolnienia włościan. Rozkół znaczny ma wpływ w rolniczych prowincyach, nie tylko pośród włościan, ale i pomiędzy wyższą klasą, a po miastach między wyrobnikami. Od tak licznéj a rozjątrzonéj klasy ludu niemożna oczekiwać spokojności, dopóki się jéj żądaniom zadosyć nieuczyni. Dla dobra więc społeczności, równie jak dla rozszerzenia swobód, jednem z pierwszych zadań dla rządu będzie zapewnienie temu wyznaniu zupełnéj wolności religijnéj; drugie, odciągnienie ich od tajnych kryjomych schadzek, których potrzeba sama przez się upadnie, skoro się im dozwoli odbywać jawnie religijne obrzędy; a potrzecie, stósowny rozkład podatków i ciężarów publicznych, zarówno na wszystkie klasy, i równa w obliczu prawa dla wszystkich sprawiedliwość. Autor, jak widać, znał doskonale swój kraj, jego potrzeby i życzenia Rosyan, i takowe w swéj broszurze wyłuszczył.

Biblioteka Muzeum Brytańskiego zawiera w tym roku do 600,000 tomów dzieł drukowanych; do liczby téj corocznie prawie 20,000 nowych dzieł przybywa W ostatnich czasach powiększyła się zbiorem ksiąg hebrajskich, zakupionych w Hamburgu po śmierci p. H. J. Michaela. Zbiór ten liczył 4,420 tomów rabińskich dzieł rozmaitéj treści. Policzywszy wszystkie razem z temi które już dawniéj biblioteka posiadała, zbiór samych ksiąg hebrajskich znajdujący się w Muzeum dochodzi do 8,000 woluminów, i niema nadeń liczniejszego w Europie prócz bodlejańskiéj biblioteki w Oxfordzie. Księgi te są skatalogowane i poukładane na osobnych pułkach następnym porządkiem: 1) Biblie hebrajskie z komentarzami i bez komentarzy; 2) Komentarze nad biblią; 3) Tałmudy; 4) Komentarze nad tałmudami; 5) Kodeksa prawa; 6) Wyroki prawne; 7) Midrasz; 8) Kabbała; 9) Kazania; 10) Liturgie; 11) Filozofia; 12) Matematyka i nauki przyrodzone; 13) Gramatyki i słowniki; 14) Geografia, historya i życiorysy; 15) Poezya, krytyka i dzienniki. Pod względem dziennikarstwa hebrajskiego szczególniéj na wzmiankę zasługuje, że w Elku

miasteczku Prus wschodnich, wychodzi od półtora roku Tygodnik hebrajski pod nazwą: *Hamaged*. Wydawcą jego jest tameczny rabin Silbermann. *Athenaeum* twierdzi, że *Hamaged* jest jedynem pismem peryodycznem w hebrajskim języku i hebrajskiemi czcionkami drukowanem. Wychodzi wprawdzie w Konstantynopolu inne pod tytułem: *El Manadero*, *Phuente de Sensee* tj. „źródło umiejętności“, z drzeworytami i rabińsko-hebrajskim drukiem, czytającym się od prawéj do lewéj. Język jednak pisma samego jest hiszpański, jakim mówią żydzi w Turcyi i Maroku, i jakiego podziśdzień używają, pochodząc od owych żydów, co za Ferdynanda i Izabelli wywędrowali z Hiszpanii.

Przy téj sposobności dorzucam kilka słów o obecnym stanie dziennikarstwa angielskiego. Statystyka jego przedstawia uderzające daty. Według *Press Directory* na rok 1860, wychodziło w zjednoczonem Królestwie 472 dzienników 1840 roku. Zmniejszyła się nieco ich liczba w r. 1850, bo było ich tylko 443. Lecz w roku teraźniejszym 1860, w skutek zniesienia od kilku lat stępla nietylko od gazet, ale i od obwieszczeń w nich ogłaszanych, wychodzi wszystkich dzienników 1,041, mianowicie: w Anglii 734, w Księstwie Walii 25, w Szkocyi 138, w Irlandyi 129 i na wyspach brytańskich 15. Liczba to jedynie dzienników czyli gazet, nie licząc rozmaitych czasopismów miesięcznie lub kwartalnie wychodzących, a których także drukuje się mnóstwo. Celniejszych mieliście już listę; czytelnicy znajdą ją w dawniejszych numerach *Dodatku*. Z tych czasopism, czyli *Magazines* jak je zowią, najpopularniejsze na teraz są: *Blackwood*, *Fraser*, *Macmillan- Taits*, *National Magazine*, *Colburn's New Monthly*, *Bentley's Miscellany*, *Englishwoman's Journal*, *Art-Journal* i *United Service Magazine* (czasopism wojskowy).

Do liczby dawniejszych nowe przybyło od nowego roku czasopismo miesięczne: *Cornhill Magazine*. Wydawcą jego jest p. Thackeray, znakomity popularny pisarz. Trzy numera dotąd tego czasopisma wyszło, i rozkupiono, jak mówią, od 70,000 do 80,000 egzemplarzy. Odbyt prawie bajeczny! I miałbym go za taki, gdyby z innéj strony nie usprawiedliwiała go ustalona sława literacka wydawcy i jego współpracowników. Odbyt

takowy może tylko iść w zawód z cenami, za jakie pisma za dawnych wieków, dla ich rzadkości nabywano. S. Hieronim, jak sam mówi o sobie, zrujnował się prawie dla nabycia kopii pism Origenesa. W zamian za pismo o kosmografii przez króla Alfreda, oddano znaczne dobra ziemskie w r. 872. W zamian za pojedynczą Homilię dano w trzynastym wieku 200 owiec i 50 korcy pszenicy. Za naszych czasów illustrowana Biblia Macklina przyniosła 500 gwineów, a drugi piękniejszy tejże Biblii egzemplarz leży assekurowany w jednym banku londyńskim, za 3000 fst. Naszą Biblię radziwiłłowską, przed kilku laty nabył na publicznéj licytacyi antykwaryusz Thorpe, jeśli dobrze pamiętam, za 72 fst. Widziałem ją sam u niego, pięknie oprawną i w najlepszem zachowaniu. Na licytacyi r. 1812, książę Marlborough nabył *Decameron* z roku 1471 za ogromną cenę 2,260 fst. Trudno znaleść kraju, w którymby lubownictwo ksiąg daléj posuwano jak w Anglii; niema też domu osobliwie dawnych zamożnych familij, gdzieby nie było sporéj a częstokroć bogatéj biblioteki, wyglądającéj bardziéj na własność publiczną jak obywatelskiego domu. W sukcesyach jeśli więcéj jest spadkobierców, biblioteki zwykły przechodzić w ręce reprezentanta rodziny.

Znany powieściopisarz Dickens napisał ostatniemi czasy dramatyczną sztukę: *Fall of two Cities* (upadek dwóch miast). Przedstawioną ona była na teatrze Lyceum, lecz pierwszy i podobno ostatni raz, gdyż przyjęto ją z obojętnością. Główną jéj wadą było, że z treści i osnowy swéj niebyła dość dramatyczną, a krom tego, niektóre w niéj sceny z paryzkiego społeczeństwa wzięte, nazbyt były jaskrawo i przerażająco skreślone, by się mogły podobać publiczności angielskiéj. Dickens pisał kilka sztuk na przedstawienia sceniczne, sam nawet niektóre ich role jako amator odgrywał, z żadną jednak nie mógł się trwale utrzymać na teatrach londyńskich. Brak im dramatycznéj formy. Toż samo powiedzieć można o p. Thackeray, drugim słynnym powieściopisarzu, który próbował także pisać dla teatru; lecz dla braku dramatyczności, utwory jego nie zasiliły żadnego repertoaru z tutejszych teatrów. Rzecz dziwna i uwagi godna, zwłaszcza, że ani jednemu ani drugiemu niemożna odmówić wysokiego daru w piśmiennictwie. Widać, że autorstwo

dramatyczne wymaga oddzielnego talentu od powieściopisarstwa. Wyjątek jednakże stanowi tu sir E. Bulwer Lytton, którego główniejsze sztuki: „Lady of Lyons“, „Richelieu“ i „Money“ utrzymują się na teatrach.

Uczony świat poniósł stratę przez śmierć pułkownika Mure, autora wielce poważnego dzieła: *Critical History of the language and Literature of ancient Greece.* Umarł w 63 roku swego życia. Umarła także pani Jameson, znana z wielu szacownych pism poprawę i umoralnienie ludu na celu mających.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wydawnictwo Biblioteki Polskiéj p. Turowskiego przerwało milczenie całomiesięczne wypuszczając na widok publiczny kilka ważnych dzieł; i tak: *Historyi Narodu Polskiego* Naruszewicza do dawniejszych czterech zeszytów przybyło nowych pięć, obejmujących dzieje nasze do r 1177. Ważność historyi Naruszewicza nie traci nic pomimo postępu jaki u nas zrobiła literatura historyczna; jestto bowiem pisarz który czerpał z największéj masy źródeł. Niebyłoby od rzeczy aby Wydawnictwo zajęło się przedrukiem ostatniego wydania Historyi Bandtkiego, który do późniejszych czasów mieści szacowne wiadomości, a zawsze jako zwięźlejsze dzieło przyczynić się może do łatwiejszego nabycia umiejętności dziejów ojczystych. — Wszakże wydawnictwo nie same tylko daje przedruki, ale owszem stara się o historyczne i literackie materyały które po pierwszy raz są wydane. Do téj liczby należą: *Podróże i poselstwa polskie do Turcyi*, zebrane przez J. I. Kraszewskiego; w téj liczbie podróż Otwinowskiego w r. 1557, Jędrzeja Taranowskiego komornika j. k. m w 1569 odbyte, a nakoniec poselstwo Piotra Zborowskiego z r. 1568. — Wielce pomocnem dziełło dla uczącéj się młodzieży jest także: *Wybór mów staropolski h świeckich sejmowych i innych*, zebrany p. Antoniego Małeckiego prof. lit. polskiéj przy uniwersytecie lwowskim, i opatrzony wstępną rozprawką rzucającą światło na wymowę naszą i na krasomowców. Znajdują się tu różne publiczne i prywatne przemowy od r. 1454 do ostatniego czteroletniego sejmu. — Wydawnictwo byle tylko wspieranem było o tyle, o ile na to zasługuje mogłoby przy pomyślniejszych stosunkach nietylko same robić przedruki dzieł rzadkich i potrzebnych, ale nadto ogłaszać spoczywające dotąd w rękopisach ważne materyały do historyi, jak to już spełnia pomimo że usiłowania wydawcy nie są dość przez kraj poparte, jakby nieraz zdawało się

że mu jest cała przeszłość obojętną. Ileż to domów znajdziemy takich, gdzie nawet o Bibliotece niewiedzą, a nie dopiero o tem co się w niéj mieści. Tacy zdają się zapominać że przeszłość jest przyszłości matką. — W drukarni Czasu wychodzi: *Historya naturalna i hodowla ptaków* zabawnych i użytecznych, czyli dokładne opisanie wszystkich śpiewających, naśladujących mowę ludzką, pięknie ubarwionych, domowych i użytecznych *Ptaków* z podaniem najnowszych sposobów i doświadczeń jak takowe łowić, przyswajać, chować, karmić, rozmnażać, od chorób ochraniać i z tychże leczyć przez Stanisława Konstantego z Siemuszowéj Pietruskiego członka wielu Tow. Naukowych — Dzieło to znamienitego i za granicą znanego Ornitologa przyczyni się do wzbogacenia ubogiéj naszéj literatury przyrodniczéj. — Teofil Żebrawski znany z prac swoich w przedmiotach matematyki, mechaniki, archeologii, numizmatyki i t. d wydaje pierwsze u nas w tym rodzaju dzieło; jest to: *Opis motylów krajowych*. Autor mając zbiór motylów do 600 sztuk liczący, przez lat kilkanaście starannie w kraju zbierany, zamierzył opisać go i stósownemi tablicami ozdobić. — Pani Ludwika Leśniowska autorka historyi polskiéj dla ludu niedawno wydanéj w skutek ogłoszonego konkursu hr. Pinińskiego wydała małą broszurkę pod napisem: *Sposób najłatwiejszy szerzenia oświaty* między ludem prostym, oparty na własnem doświadczeniu. Autorka przekonawszy się że wieśniacy pożyczali od niéj książek i takowe czytali; radzi zakładać po wsiach czytelnie Zapewne można będzie z czasem przyzwyczaić lud do czytania, ale gdzież pewność, gdzie rękojmia że raz zasmakowawszy w czytaniu niebędzie czytał złych książek, z których więcéj może być zgorszenia jak pożytku.

Lwów. Wyszedł *Rozpraw c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego* tom XXV i zawiera: Protokół czynności 26go ogólnego zgromadzenia w dniach 25—28go lutego i 1—3go marca 1859 r. odprawionego. Sprawozdanie z czynności Towarzystwa od 1go lipca do 31 grudnia 1858. Wniosek Włodz. hr. Russockiego w przedmiocie żeglugi parowéj na Dniestrze Sprawozdanie Ludw. Skrzyńskiego, referénta Zakładu Dublańskiego. Zdanie sprawy o stanie tegoż Zakładu przez dyrektora Wojciecha Studzińskiego. Rachunki z funduszów Towarzystwa za rok 1858. Obrachunek szkoły rolniczéj i folwarku Dublańskiego. Sprawozdanie o próbie żniwiarki Franciszka Arendta, odbytéj w Tuturkowicach, w lecie 1858, przez Michała Oleksińskiego. Wniosek p. Erazma Wolańskiego, względem założenia banku rolniczego, Sprawozdanie o jedwabnictwie przez Ludwika Komarnickiego. Protokół wyboru nowych członków, dnia 26go lutego 1859 odbytego. Statuta wystaw gospodarskich. O cemencie lwowskim z fabryki pana Krzysztofa Ressyka, przez Dra Feliksa Strzeleckiego. Uwagi nad drenowaniem ziemi przez Karola Tyca. Sprawozdanie komisyi oceniającéj przedmioty wystawy pomologiczno-gospodarskiéj w roku 1859. Wniosek ku zabezpieczeniu przyszłości dla oficyalistów prywatnych, podany przez Bolesława Augustynowicza. Sprawa opodatkowania gorzelń, zawierająca podania, odezwy i memoryały w tym przedmiocie z polecenia Towarzystwa gosp. wypracowane przez referen-

ta Kornela Krzeczunowicza. Odezwy komitetu z d. 30go marca i z dnia 14 maja 1859, przez Kornela Krzeczunowicza.

— Nakładem J. Milikowskiego wyszło: *Pogląd na żywot i pisma księdza Hugona Kołłątaja przez Henryka Schmitta.* Początkowe rozdziały drukowane były w dzienniku literackim z r. 1859 Dwa ostatnie całkiem nowo napisane. Książka zawiera dwadzieścia dwa arkusze druku.

— P. Michał Suchorowski wydał w drukarni Michała F. Poremby: „Wieniec pieśni żebrackich z żywotów świętych i innych podań prawdziwych (z notami i objaśnieniami)". Dochód z tego dziełka, wydanego osobno i obejmującego legendy, pieśni, powiastki, wierszem i prozą, oraz modlitwy, przeznaczony jest na wsparcie biednéj wdowy z ośmiorgiem dzieci.

Poznań. Zeszyt Przeglądu Poznańskiego na pierwsze półrocze zawiera następujące artykuły: O rozwodach — Obrzędy unickie — Mowa ks. Prusinowskiego na zebraniu stowarzyszeń katolickich we Friburgu brizgowskim powiedziana. — Wspomnienie o bateryi pozycyjnéj konnéj gwardyi królewsko-polskiéj. — O starych zapiskach podatków papiezkich wybieranych w Polsce, jakie posiada archiwum watykańskie. — List Wacława Maciejowskiego do redakcyi Przeglądu. — Nekrologi itd.

Nakładem Żupańskiego wyszły *Pamiętniki Kosmowskiego* odnoszące się do końca 18go wieku, i opisujące kilka lat po ostatecznym rozbiorze kraju.

Tamże: *Dwie Prelekcye* o Mickiewiczu ze stanowiska narodowego — i o Wojnie Chocimskiéj Wacława Potockiego przez Dra Gruszczyńskiego Autor zbija śmieszny zarzut robiony utworem Adama że tchną niemczyzną, angielszczyzną oryentalizmem, a bardzo mało są narodowe. Szkoda pisać o téj próżnéj kwestyi — bo kogo naród cały tak do serca przycisnął, jak Adama, ten już tem samem niepotrzebuje patentu na narodowość.

Warszawa. W marcowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj znajdujemy następujące artykuły:

Król Ryszard II dramat W. Szekspira. Akt pierwszy przekład J. Korzeniowskiego.

Kobieta, studyum historyczno-obyczajowe p. Zygmunta Kaczkowskiego. — Literatura włoska. — Rzut oka na obecne piśmiennictwo. III Tomasso Grossi. — Apoteoza wierności. — Śmierć bohaterkom! Berchet. — Carrér. — Włoska fantastyczność. — Niebo za jasne i słońce za świetne dla duchów — ale nie dla kochanków. — Wesoły Romani i smutny Doll' Ongaro. — Parnas Krynolin. — Szkoda papieru, pióra i czytelników przez W. M.

O ptakach drapieżnych w Król. Pols. p. Wład. Taczanowskiego. Literatura francuzka. La légende des Siecles par Victor Hugo. — Powieściopisarze w Galicyi. — Kronika paryzka literacka; naukowa i artystyczna. — Les Grands Peintres avant Raphaël nowa publikacya Wiktora Didron. — Macaulay i jego dzieła. — Madame Swetchine sa vie et ses Oeuvres par Comte Falloux. Kandydatura Lacordaira. — Le Grandes Usines de France przez J. Turgau — Wiadomości literackie.

Kronika literacka. Dzieje Mazowsza za panowania książąt przez F. Kozłowskiego m. n. p. b. prof. gimn. guber. warsz. Mazowszanina. Warszawa 1859, przez Juliana Bartoszewicza Metoda czytania poczynająca się od pisma czyli metoda Gressera. Przez Albina Kohna. Poezye Antoniego

Edwarda Odyńca. Wydanie nowe poprawne i pomnożone. Wilno 1859. Przez Kazimierza Kaszewskiego.

Rozmaitości. Mennica Łabińska p. Józefa Przyborowskiego. Wiadomości z nauk. Chemik. Rozmowy John Humphry Davy przełożył L. Zeiszner. Próby chemiczne wody pochodzącéj ze studni w possesyi p. Temlera pod Powązkowskiemi rogatkami. Przez T. L.

Korespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. O komedyach konkursowych od K. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od prezydenta Cesarsko-królewskiéj Medyko-chirurgicznéj Akademii. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza, od Józefa Łepkowskiego. —

Z wiadomości literackich podajemy następujące szczegóły:

S. Orgelbrand, księgarz i typograf, w ozdobnéj edycyi wydał tłumaczenie Boskiéj komedyi Danta Alighieri przez ś. p. Juliana Korsaka, który téj pracy mozolnéj, 12 lat życia poświęcił. Żałujemy, że ci, którzy zajmowali się rękopismem zmarłego naszego poety, nie umieścili na czele wiadomości o jego życiu i pracach; przypomnienie stósowne i potrzebne.

— Konstanty hr. Tyszkiewicz od kilku lat pracował nad ułożeniem karty rzeki Wilii od jéj źródła, do pierwszéj handlowéj przystani w Kostykach. Odbywał w tym celu naukowe wycieczki badał miejscowe osobliwości, lud nadrzeczny, zbierał pomiędzy nim podania i spisywał szczególne zwyczaje. Teraz, owoc swéj mozolnéj pracy, przedstawił komisyi archeologicznéj wileńskiéj ukończoną już mapę Wilii, wykonaną przez zdolnego geometrę p. Szantera. Atlas ten składa się z 12 tablic i 62 rysunków. Szanowny autor zamierza ogłosić drukiem tę pracę; drzeworyty wykonane są w Dreźnie. Dar ten szlachetnéj gorliwości, przyjmie kraj cały z wdzięcznością.

— Druk „Encyklopedyi powszechnéj postępuje bez przerwy: tom trzeci w większéj połowie wydrukowany. W r. b. według prospektu, wyjdą cztery tomy tego olbrzymiego dzieła, na które kraj od tak dawna oczekiwał. Wielu z miłośników literatury zrażeni niedojściem do skutku pierwszéj Encyklopedyi, wstrzymują się z zakupywaniem zeszytów wychodzącéj teraz. Próżna obawa, sama firma nakładcy S. Orgelbranda, który tyle dzieł ważnych i kosztownych wydał, powinna być tu dostateczną rękojmią. Grono współpracowników coraz wzrasta, a dział polski pierwszy raz wyjdzie tu tak zasobny i ważny, jakiego niemieliśmy dotąd. Wydane zeszyty już mogły czytelników objaśnić o staranności redakcyi, z jaką ten dział traktuje, nie mówiąc już o innych.

— Tygodnik illustrowany powiększywszy ramy swoje: gdyż pół arkusza dodaje co drugi tydzień, zyskuje coraz większe upowszechnienie. Zasługą jego nie małą jest, że za główny żywioł wziął krajowość, zkąd czerpie wyłącznie i nie żywi się żadną obczyzną. Od marca wprowadzić ma dział pożądany przeglądów krytycznych literatury krajowéj, opracowany przez zdolnych i światłych pisarzy. Dział ten prowadzony poważnie i sumiennie, nada wysoką wartość samemu Tygodnikowi. Pan Jan Lewicki znany illustrator pamiętników Paska, okazawszy jak umiał wniknąć w myśl i ducha tego szlachcica rycerza, godnie zajął miejsce po

zgasłym ś. p. Piwarskim. Jego rysunki, które dał nam Tygodnik (Husarze polscy), dowodzą, jakiego talentu jest to artysta Przypominamy redakcyi, ażeby postarać się mogła o dokładny portret Kazimierza Brodzińskiego, który jako reprezentant naszéj epoki, zasługuje na pomieszczenie.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, wychodzących pod redakcyą pani Seweryny hr. Ż. Pruszakowéj, już tom drugi wkrótce się ukończy w druku. Zwracamy uwagę na piękny życiorys ś. p pułkownika Paszkowskiego, skreślony ręką redaktorki, obok innych zajmujących i nauczających artykułów.

— Pamiętnik religijno-moralny równie jak Ruch muzyczny pod redakcyą Józefa Sikorskiego, bez przerwy wychodzą i w r. b

— Uwieńczoną komedyę Wacława Szymanowskiego pn „Dzieje serca“, nabyła Gazeta Codzienna za rs. 200, które otrzymał autor drugiéj: „Po naszemu“. Zebrana zaś suma za sprzedaż jéj Tygodnikowi illustrowanemu w ilości rs. 100, ma być zawiązkiem do mającego się ogłosić nowego konkursu, w téj nadziei, że powiększoną zostanie darami gorliwych o wzrost u nas literatury dramatycznéj Może nowy konkurs nie saméj wyłącznie dany będzie komedyi: należałoby pomyśleć i o poważnym dramacie.

— Znany nasz rzeźbiarz Oskar Sosnowski pracuje nad posągiem Mickiewicza Najpodobniejsze oblicze zmarłego wieszcza mamy w posągu Władysława Oleszczyńskiego w Poznaniu. Rodzina Mickiewicza wydała to zdanie, przyznając w tym utworze znakomitego rzeźbiarza wierność podobieństwa, co nie małą jest zasługą artysty.

— Aleks. Przeździecki przygotował do druku zbiór listów Jagiellonek O nich dbał takie zdanie Julian Bartoszewicz: „Z wydania listów tych skorzyste sama historya rzeczypospolitéj, żywoty królewien, dzieje postaci historycznych, zyska na nich powieściopisarstwo i życie rodzinne kraju “

— Dzieje biskupstwa żmudzkiego wydane przez biskapa tejże dyecezyi J. X. Wołonczewskiego, przetłumaczone zostały przez Maurycego Hryszkiewicza w 2 tomach.

— W Wilnie wyszła pierwsza część poematu Władysława Syrokomli: „Wrażenie pielgrzyma“ z Litwy do Wielkopolski. Część druga obejmująca Wielkopolskę, a trzecia wspomnienia Krakowa, wkrótce dopełnią całość.

— Prof Antoniego Wagi wyszła część pierwsza „Historyi naturalnéj“ zawierająca wstępne wiadomości

— Wyszła rozprawa Augusta Heylmanna p. n. „Pogląd pobieżny na uwagi bezimiennych, odnoszący się do Rozprawy o klasyfikacyi hipotek, jakoteż praw hipotekowanych w ogólności“, odnoszący się do dwóch rozpraw w Bibliotece Warszawskiéj, w zeszytach sierpniowym i listopadowym r. z. drukowanych.

— Profesor z Berlina Pietraszewski, znany oryentalista, autor dzieła o Zendaweście i Collectaneów tureckich, mianowany został dragomanem poselstwa pruskiego do Ispahanu, które się tam wybiera teraz.

— Rękopism herbarza Baranowskiego, o którym mieliśmy już sprawozdania, nabył Włodzimierz hr. Plater i ma zamiar, dopełniwszy go tablicami Mniszcha, które mu się dostały w Wiśniowcu, i własnemi uwagami wydać. Zmarły ś. p. Mniszech, ojciec

tych, którzy sprzedali Wiśniowiec i wynieśli się za granicę, całe życie poświęcał pracom heraldycznym, jako ulubionéj nauce; wiele zebrał, wiele wyjaśnił.

— Gazeta Codzienna donosi o archiwach Markiewiczów znakomitéj rodzinie małoruskiéj. Mieszczą się tam materyały do historyi, etnografii, statystyki i żywota społecznego Małorosyi, do dziejów Polski w ostatnich czasach Prawie wszystkich hetmanów małoruskich, hanów krymskich, hetmanów i panów polskich, królów, urzędników, panujących i t. d. znajdują się tu autografy. Samych oryginalnych przywilejów jest kilkaset. Cała liczba aktów złożonych w tekach wynosi numerów 6500. a 600 oryginalnych. Oprócz tego jest 100 tomów rękopisów a między innemi i z pierwszéj połowy 16 wieku. Miłośnik rzeczy ojczystych Włodzimierz Broel-Plater stara się o nabycie tego archiwalnego zbioru.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother, Rządca druk.

TERACKA

ane przez J. I. Kra
téj liczbie podróż C
w r. 1557, Jędrze
iego komornika j.
byte, a nakoniec p
. Zborowskiego z
Vielce pomocnem dzi
j się młodzieży jes
r mów staropolski
jmowych i inny
Antoniego Małe
polsk éj przy
rowskim, i opatrz
zprawką rzucająca
ymowę naszą i n
w. Znajdują się
iczne i prywatne
1454 do ostatni
iego sejmu. —
le tylko wspierane
ile n to zasług
y pomyślniejszyc
etylko same rob
ieł rzadkich i pot
dto ogłaszać spoc
d w rękopisach
ały do historyi, ja
pomimo że us
wcy nie są dość
parte, jakby niera